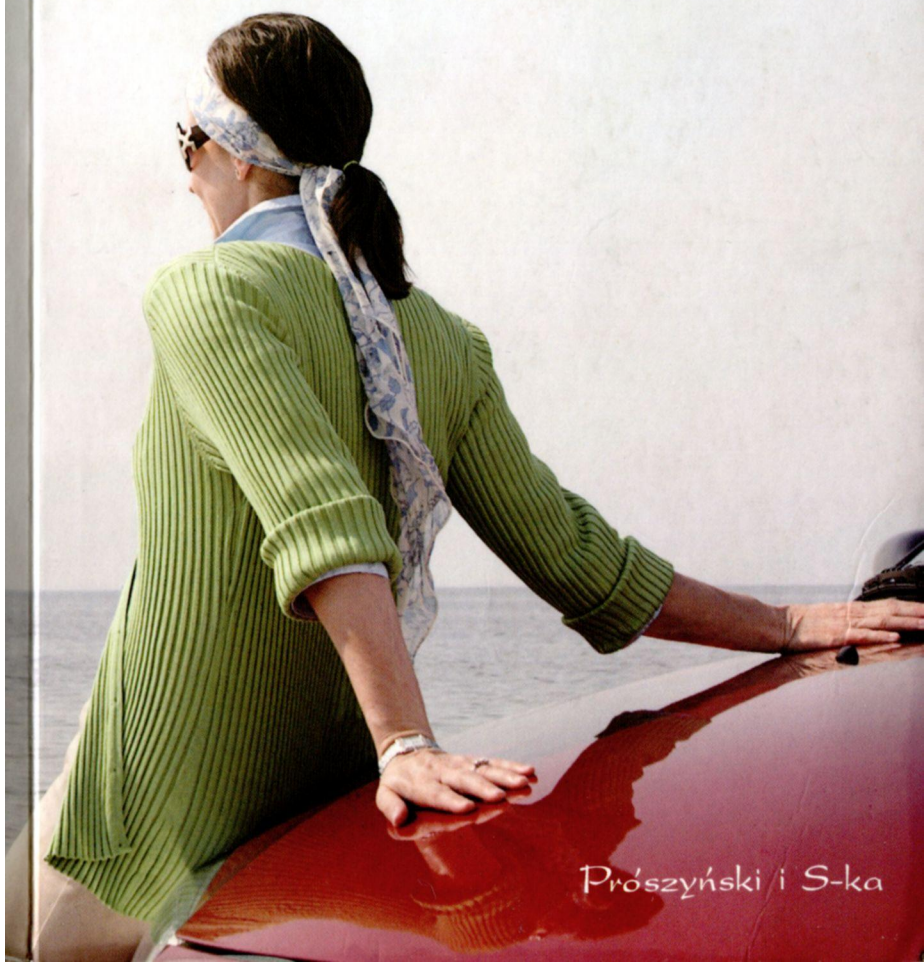


Piękna opowieść o granicach przebaczenia i kruchości rodzinnych więzi.

DENNIS LEHANE

ANITA SHREVE NA RATUNEK



Prószyński i S-ka



ANITA SHREVE

pisarka amerykańska, pracowała jako nauczycielka, dziennikarka, prowadziła także kurs kreatywnego pisania. Jest autorką bestsellerowych powieści, m.in. „Wyznania”, „Trudne decyzje”, „Skradziony czas”. Mieszka w Massachusetts.

NA RATUNEK

Peter Webster, początkujący w zawodzie paramedyk, ratuje z wypadku samochodowego młodą alkoholiczkę, Sheilę Arsenault. Nie potrafi o niej zapomnieć i mimo złych przeżyć angażuje się w romans.

Osiemnaście lat później Sheila mieszka sama, a Peter wychowuje ich córkę, Rowan. Dziewczyna zaczyna sprawiać kłopoty, ojciec obawia się o jej bezpieczeństwo. Szuka pomocy u jedynej osoby, do której może się zwrócić, choć spotkanie po latach może wydobyć na światło dzienne trudne pytania, dotychczas starannie usuwane w cień.

„Na ratunek” to historia o winie i przebaczeniu, o mrocznych tajemnicach i niewyobrażalnej sile prawdy, o walce z namiętnością i o potęgze miłości. To mistrzowski portret rodziny, jednej z wielu, a przecież, jak każda, wyjątkowej...




Cena 29,90 zł

ISBN 978-83-7648-829-5



9 788376 488295

 www.proszynski.pl

ANITA SHREVE

NA RATUNEK

Przełożyła Agnieszka Barbara Ciepłowska

Prószyński i S-ka

Webster na bosaka schodzi po wąskich stopniach.

- Grzanki - stwierdza, skracając do kuchni.

Zarumieniona Rowan stoi nad patelnią, na której więcej rys niż teflonu.

Websterowi zawsze podobała się twarz córki. Już jako niemowlę miała ten dodatkowy centymetr nad brwiami, jakby ktoś szczypcami minimalnie rozciągnął głowę, przez co szerzej otworzyły się niebieskie oczy. Wygląda na lekko zaskoczona życiem. To też mu się podoba. I jeszcze włosy, rosnące tak samo jak u niego, schodzące niżej na środku czoła, bardzo ciemne, prawie czarne. Rowan maskuje linię włosów grzywką. Webster, u którego ta linia jest z powodu zatoczek wyraźniejsza, ukrywa ją pod czapką baseballową. Taka linia włosów w kształcie litery V zawsze stanowi problem, tak było, jest i będzie.

Webster automatycznie otwiera lodówkę, sięga po sok.

- Już wyjęłam - mówi Rowan.

Webster odwraca się, dostrzega nakryty stół. Talerze, sztuce, serwetki, masło w starej maselnicy, a nie zwyczajnie na spodeczku, sok w szklankach przeznaczonych do soku. Rowan ma na sobie jasnoniebieski sweter z sieci J. Crew, który jej kupił na Gwiazdkę. Coś się kończy, oboje chcą to podkreślić. Webster duma nad tym od kilku miesięcy.

Urodziny trzeba świętować rano, bo Webster ma dziś nocną zmianę.

Rowan zsuwa grzanki na talerze.

- Powinnaś iść do szkoły gastronomicznej - oświadcza Webster, siadając i przysuwając krzesło bliżej stołu.

Błąd. Widzi lekkie skrzywienie ust córki, które pojawia się i od razu znika.

Rowan została odrzucona przez trzy szkoły, między innymi Middlebury, na której bardzo jej zależało. Webster pamięta córkę piętnastego marca, siedzącą w kuchni przed laptopem, czekającą na godzinę siedemnastą. Tego dnia o tej godzinie niektóre szkoły wieszają na stronie internetowej informacje o kandydatach przyjętych i odrzuconych. Webster tkwił przy zlewie, myjąc drugi raz tę samą szklanekę, udając, że go tam w ogóle nie ma. Wiedział doskonale, kiedy wybiła piąta. Wybiła i minęła. Przepływały kolejne minuty. A Rowan milczała. Kompletnie cicha. Żadnego radosnego wrzasku, przepełnionego szczęściem krzyku.

Może szkoły spóźniają się z publikacją wyników, pomyślał Webster, chociaż wiedział, że jeśli człowiek ma nadzieję na boską interwencję, zwykle czeka go zawód.

Tamtego dnia przyglądał się córce. Siedziała bez ruchu, ze wzrokiem wbitym we własne dłonie, obracała srebrny pierścionek na środkowym palcu. Webster chciał coś powiedzieć, chciał jej dotknąć, ale nie mógł. W ten sposób jedynie by ją zawstydził, pogorszył sprawę. Lepiej nie pozbawiać dziewczyny godności. Po dwudziestu minutach wstała i wyszła z kuchni. Poszła do swojego pokoju i tego dnia już nie zeszła na dół, nawet na kolację. Webster był zły na szkoły, a potem opanował go smutek. Do rana wzięt się w garść na tyle, żeby znaleźć słowa pocieszenia. Mówił o University of Vermont, który stanowił jej edukacyjne koło ratunkowe i na który faktycznie została przyjęta. Chociaż wcale nie chciała się tam uczyć. Miała nadzieję na mniejszą uczelnię. A Websterowi najbardziej brakowało tego radosnego wrzasku, przepełnionego szczęściem krzyku.

Miała do tego prawo.

Websterowi też się to należało.

- Pychota - mówi teraz.

Grzanki są grube, nasiąknięte jajkiem roztrzepanym z mlekiem, idealnie wysmażone. Rowan nalewa syropu na swój talerz. Webster je grzankę bez dodatków, jak zawsze, chociaż czasem na ostatni kawałek nakłada dżem. Nie przypomina sobie, żeby kupował jajka, a w puszcze z syropem na pewno zostały tylko zaschnięte resztki na dnie.

- Mam zmianę od szesnastej do północy - mówi. - Zastępuję Koeniga. Wydaje córkę za męża, robią dzisiaj próbę ślubu.

Rowan kiwa głową.

Może już jej to mówił?

- I tak mam praktyki do szóstej - mówi Rowan.

A co z kolacją dla córki?

Webster zadaje sobie to pytanie od piętnastu lat. Podnosi głowę, dostrzega na kuchence zakryty folią talerz z dodatkowymi grzankami.

Sprawa załatwiona.

- Czas na prezent - mówi Rowan.

Pierwsza wzmianka o dzisiejszej okazji, o urodzinach. Czterdziestych. Rowan, wzrost metr siedemdziesiąt, lat siedemnaście, wstaje i wychodzi do jadalni. Wraca, kładzie upominek obok talerza ojca. Pudełko zawinięte jest w złoty papier w czerwone choinki, chociaż zaraz czerwiec.

- Innego nie było - wyjaśnia Rowan.

Webster odchyła się na oparcie krzesła, upija łyk kawy. Przekłada prezent na kolana. Widzi, że Rowan nie szczędziła taśmy klejącej. Otwiera paczkę szwajcarskim scyzorykiem, prezentem od Sheili, otrzymanym jakieś sto lat temu. Stawia na stole srebrną kostkę. Zaczynają obracać. Odkrywa, że jeśli postawić ją na jednym boku, pokazuje datę i godzinę. Ułożona na drugim, zapowiada pogodę na najbliższe cztery dni: dwa słoneczne, potem chmura z deszczem i znowu słońce.

- Ściąga dane z jakiegoś kanału z pogodą - tłumaczy Rowan, podsuwając krzesło bliżej ojca. - Lepiej działa bliżej okna. Z tej strony masz budzik. Wypróbowałam, całkiem niezły. Fajny dźwięk.

Webster domyśla się, że za srebrną kostkę córka zapłaciła najmniej trzy dniówki. Rowan pracuje w markecie Giant Mart, w sąsiednim stanie. Dwa dni robocze w tygodniu i w każdą sobotę, jeśli tylko nie ma meczu, jeździ z Vermontu do stanu Nowy Jork.

Ojciec kładzie rękę na ramieniu córki, u nasady długiej szyi, i gładzi ją lekko.

- Mogę też zerknąć na termometr zewnętrzny. A co z tej strony?

Rowan obraca srebrną kostkę.

- Jeśli potrząsniesz i odstawisz, w tym czarnym polu ukaże się wróżba.

Webster przypomina sobie czarne kule z czasów swojej młodości, w których przepowiednie pływały w jakiejś niezidentyfikowanej cieczy. Pewnie toksycznej.

- D l a kogo?

- Dla ciebie. Kostka jest twoja.

Rowan potrząsa kostką i kładzie prezent na kolanach ojca. Czekają. Nagle Webster przewraca kostkę. Najpierw jednak dostrzega cień swojej przyszłości, wyłaniający się na powierzchnię.

„Przygotuj się na niespodziankę”.

Nie życzy sobie takiej wróżby.

- Co się stało? - pyta Rowan.

- W moim zawodzie niespodzianki nie są mile widziane.

- Ale z ciebie pesymista.

- Raczej człowiek ostrożny.

- Zbyt ostrożny - mówi Rowan, zerkając na zegarek. - Muszę iść.

Podnosi się z krzesła, cmoka ojca w policzek. Webster obserwuje jej ruchy pełne gracji. Po raz stutysięczny. Dziewczyna zbiera włosy w dłoń, skręca je i pozwala im opaść na prawe ramię. Ten gest widzi u córki po raz pierwszy. Ma wrażenie, jakby mu ktoś przyłożył z całej siły w brzuch.

- Dzięki za śniadanie i prezent.

- Nie ma sprawy.

Webster wraca do jedzenia grzanki.

Uświadamia sobie, że w przedpokoju panuje zastanawiająca cisza. Nie słychać metalicznego brzdęku klamki, tarcia drzwi o framugę. Po kilku sekundach obraca głowę.

Córka stoi w przedpokoju, patrzy przez szybę w drzwiach.

- Co się dzieje? - pyta Webster.

- N i c .

- Rowan...

- N i c !

- Tylko mnie nie zabij.

Webster zauważa na kieszeni jej kurtki prostokątny zarys, być może paczki papierosów. Podejrzewa, że córce zdarza się wypić. Zapalić też? Eksperymentuje? Czy to normalne dla dziewczyny w jej wieku?

Nie pamięta, kiedy ostatnio czuł się przy Rowan swobodnie. Dziś przez kilka chwil był pokrzepiony na duchu: Rowan pamiętała o jego urodzinach, przygotowała śniadanie, wybrała mu prezent od serca.

- Rowan.

- Co? - pyta dziewczyna, zdejmując plecak z wieszaka.

- Nic, tylko... zależy mi, żebyś była szczęśliwa.

Rowan wdycha i przewraca oczami.

- Dzięki za prezent - powtarza Webster, siląc się na wesoły ton, odpowiedni przy urodzinowym śniadaniu.

Wyczuwa zniecierpliwienie córki, która chce już wyjść.

Odwraca się z powrotem do stołu. Słyszy otwieranie drzwi, nieuchronne trzaśnięcie przy zamykaniu.

Podchodzi do okna, wygląda. Rowan wsiada do swojego samochodu. Webster czuje ból w piersiach, coś wysysa z nich wszystko, zostawiając pustkę.

Rowan się od niego oddala.

Od miesięcy.

Osiemnaście lat wcześniej

Wzwanie przyszło o pierwszej dziesiąt, w środku nocy. „Jeden wóz, nieprzytomna kobieta, dziesięć pięćdziesiąt”. Z domu rodziców do jednostki straży pożarnej, gdzie pracował w jednostce ratownictwa medycznego, dotarł dokładnie w dwie i pół minuty. Zaparkował cruisera kupionego z drugiej ręki tuż obok budynku i przesiadł się do Rakiety, na siedzenie pasażera. Burrows wcisnął gaz do dechy, wyłączył koguta i syrenę, zjechał na lewy pas. Webster miał kombinezon włożony na pizamę, stetoskop na szyi, przy pasie rękawice, bezpieczne nożyczki do rozcinania odzieży, latarkę, opaskę uciskową, klucz do butli z tlenem i młotek do rozbijania szyb samochodowych. Oraz, oczywiście, radio w kaburze. W myślach powtarzał zasady reagowania w wypadku kodu dziesięć pięćdziesiąt. Ocenić stan miejsca zdarzenia, biorąc pod uwagę zagrożenie pożarem, wybuchem. Zerwane przewody, nieszczelny zbiornik paliwa, gdy zajdzie konieczność cięcia metalu, ubranie ochronne i maska na twarz. Udrożnić układ oddechowy. W razie potrzeby wysunąć żuchwę. Sprawdzić oddychanie i krążenie. Unieruchomić kręgosłup. Zmierzyć puls i ciśnienie, poszukać obrażeń. Webster miał dwadzieścia jeden lat i był nowicjuszem.

- Gdzie? - zapytał.

- Przy sklepie ogrodniczym, na zakręcie czterdziestki-dwójki.

Pięć minut drogi. Maksymalnie. Raczej mniej.

- Kobieta się zawinęła na drzewie - powiedział Burrows.

Burrows był potężnym facetem o blond włosach, krótko przyciętych w miejscach, gdzie jeszcze nie wyparta ich łysina. W jego kombinezonie brakowało dwóch guzików, co próbował maskować zapinaną na suwak kamizelką. Na prawym policzku miał bliznę po czerniaku złośliwym, wyciętym przed rokiem. Ciągłe jej dotykał.

Ponieważ z nich dwóch to Webster był rekrutem, robił za wielbłąda. Burrows, zwierchnik, niósł tylko podręczną apteczkę oraz własny strój ochronny. Webster targał tlen, pełną apteczkę z karetki, kołnierz usztywniający i deskę ortopedyczną.

- Mróz jak cholera.

- Gdzie się podziała styczniowa odwilż?

W oddali policjant z latarką firmy Maglite w dłoni kierował nieistniejącym ruchem. Burrows fachowo wykręcił o sto osiemdziesiąt stopni, zatrzymując się na poboczu, dziesięć metrów od cadillaca, który dachował i został kółkami do góry.

- Bliskie spotkanie z drzewem - objaśnił Nye, szczywany lis z pretensjami do całego świata. - Chciałbym wiedzieć, skąd się ta cizia wzięła w dwutonowym cadillacu.

Cizia okazała się kobietą w wieku dwudziestu czterech, może dwudziestu pięciu lat. Nie zapięła pasów. Cadillac jeździł po tym świecie już przynajmniej dekadę, miał przerdzewiałe zakola.

- Nieprzytomna - wtrącił partner Nye'a, McGill.

Zrobił przejście Burrowsowi i Websterowi.

Paramedyk i żółtodziób klękali po obu stronach pacjentki, częściowo wysuniętej z samochodu. Lśniące ciemne włosy w świetle latarki przybrały w oczach Webstera postać międzynarodowego akronimu ABC pierwszej pomocy: Airway, Breathing, Circulation. Udrożnienie układu oddechowego, sztuczne oddychanie, sprawdzenie krążenia. Unieruchomił kręgosłup i zbadał stan organów wewnętrznych. Burrows udrożnił układ oddechowy.

- Sto dwadzieścia dwa na siedemdziesiąt - przeczytał Webster na głos. - Puls sześćdziesiąt sześć. - Nawet na mrozie

wyczuł charakterystyczny zapach. - Alkohol - zameldował.

- Usta niebieskie.

- Oddech?

- Osiem.

- Kiepsko.

- Ale cuchnie!

Webster wiedział swoje. Nie wolno odpuścić.

Na przedniej szybie widniał wzór w kształcie gwiazdy, na czole kobiety skaleczenie w tym samym kształcie. Przysypał ją deszcz odłamków szkła z bocznej szyby. Webster delikatnie zgarnął okruchy z oczu i ust poszkodowanej.

- Ktoś wie, jak ona się nazywa? - spytał Burrows.

Szczwany lis Nye sięgnął do torebki wyciągniętej spod samochodu. Otworzył portfel.

- Sheila Arsenault.

- Sheila! - odezwał się Burrows głośno. - Otwórz oczy!

Nic.

Ratownik nacisnął kłykciami na mostek ofiary, przesunął nimi, powodując ból.

Kobieta uniosła głowę.

- Ooo, szlag... - jęknęła.

- No i bardzo dobrze - ocenił Nye.

- Reaguje wyłącznie na ból - podał Burrows do raportu.

Wsunął kobiecie na szyję kołnierz ortopedyczny.

- Możemy ją wciągnąć na deskę? - spytał Webster.

- Sprawdź - polecił Burrows.

Strząsnął resztki szkła z twarzy poszkodowanej i założył jej maskę tlenową. Potem rozciął rękaw dżinsowej kurtki, umieścił wenflon w żyłę.

Webster, klękawszy przy drugim boku samochodu, zobaczył, że w brzuch kobiety wbił się ostro zakończony płat metalu. Na błękitnej koszuli wykwitły plamy krwi.

Skąd ten metal? Fragment deski rozdzielczej? Coś z podłogi?

Przez szczelinę w metalu widać było Burrowsa zajętego reanimacją.

- Rana brzucha! - zawołał Webster. - Raczej powierzchowna. Jeśli Nye i McGill nagną ten metal w twoją stronę, dosłownie centymetr, chyba dasz radę ją wyciągnąć. Ja od razu zatamuję krwawienie, ty ją opatrzysz po wyciągnięciu.

- Bardzo krwawi?

- Nie. Ciągniecie na mój znak - powiedział. - Na „trzy”.

Przytrzymując latarkę zębami, wyciągnął z torby opatrunek uciskowy. Oparł dłoń na ostrym kawałku blachy. Wiedział, że ryzykuje. Jeżeli coś pójdzie nie tak, będzie trzeba mu szyć rękę. Tuż obok miejsca, gdzie metal wbił się w brzuch ofiary, Webster natrafił na coś jeszcze. Przyczepione do paska klucze na breloczku z króliczą łapką. Zgarnął całość, wyrzucił przez ramię. Kiedy ponownie przygotował opatrunek we właściwym miejscu, zorientował się, że pasek nie pozwoli na wysunięcie kobiety z samochodu.

- Rozcinam spodnie! - zameldował.

Nye gwizdnął przeciągle.

Webster sprawnymi ruchami rozciął obie nogawki aż do pasa, następnie zdjął kobiecie buty i rozsunał dżinsy. Została w białych, skąpych figach. Miała smukłe nogi. Okrył ją kocem, ubranie rzucił za siebie.

- Na mój znak - powtórzył. - Raz, dwa, trzy.

Gliniarze odgięli metal, popuścił dosłownie o centymetr. Gdy ratownik wyciągał kobietę, trzymając ją pod ramiona, znowu pociekła krew. Pociekła, ale nie trysnęła. Rozcięcie wydawało się gładkie i niezbyt głębokie. Gdyby metal wszedł dwa centymetry głębiej, sięgnąłby wnętrzości. Burrows, gdy tylko mógł, ucisnął ranę od swojej strony. Webster wyprostował kobiecie nogi, ułożył płasko.

Policjanci się odsunęli, Webster zebrał ubranie ofiary i przyłączył się do Burrowsa, który z pomocą McGilla już ułożył kobietę na desce ortopedycznej. Przypięli ją do niej i przykryli kocem. Burrows po raz drugi potarł kłykciami mostek ofiary. Tym razem zamiast przekleństwa z jej gardła wydobył się tylko słaby jęk.

- Ruchy, panowie - zarządził Burrows.

W jego głosie zabrzmiały alarmujące tony.

Podnieśli deskę ortopedyczną, wsunęli ją na nosze. Burrows wsiadł do karetki.

- Gaz do dechy - rzucił, zanim Webster zatrzasnął drzwi.

Webster depnął do stu czterdziestu na godzinę. Więcej się nie odważył na tej trasie. Momentami widział zapowiedź wschodu słońca nad łąkami, czasem błysk księżyca w strumieniu flirtującym z drogą, lecz ani na jedno, ani na drugie nie zwracał uwagi. Myślami był z Burrowsem, który robił co w ludzkiej mocy, żeby wydobyć z kobiety jakieś oznaki życia.

W szpitalu Mercy Burrows poszedł z pacjentką, żeby zdać raport na ostrym dyżurze. Webster bardzo chciał też pobiec za noszami, z których przez krawędź spływały lśniąco ciemne włosy, ale musiał wyczyścić Rakietę i zdać sprzęt. We wnętrzu karetki znalazł dobry tuzin opatrunków przesiąkniętych krwią, co dowodziło, że ofiara wypadku była w gorszym stanie, niż mu się wydawało. Zanim skończył swoje, wrócił Burrows z noszami. Po jakimś czasie Webster nareszcie ściągnął rękawice i usiadł za kierownicą. W normalnych okolicznościach, jako żółtodziób, robiłby za kierowcę w obie strony, jednak w tym wypadku, wyjątkowo, ze względu na pośpiech, na miejsce zdarzenia prowadził Rakietę Burrows.

Ruszyli z powrotem do macierzystej jednostki, która obsługiwała, poza Hartstone, jeszcze pięć innych miasteczek.

- Przystojna babka - zauważył Burrows.
- Nietutejsza.
- Alkohol we krwi dwa i cztery.
- Rany boskie.
- Nieładnie.
- A niech to...
- C o ?
- Miała klucze, rzuciłem je gdzieś w trawę.
- Po robocie poszukasz.

- Miała do nich przyczepioną króliczą łapkę.
- Na szczęście! - zaśmiał się Burrows.

Webster oczyścił cały sprzęt w przeznaczonych do tego celu basenach, po czym uzupełnił wyposażenie Rakiety i na koniec opłukał samochód z zewnątrz, polewając go wodą z gumowego węża. W końcu wsiadł do swojego wozu i odjechał. Tym razem zauważył i mało uczęszczaną drogę, i księżyc, i dom, całkiem niedaleko miejsca, gdzie koziółkował cadillac. Akurat z pobocza wjeżdżała na drogę załadowana laweta. Nye rzucił na pobocze zapaloną flarę.

- Ty tu po co?

No jasne. Niby dlaczego policjant miałby na przykład zapytać o stan ofiary wypadku?

- Rzuciłem jej klucze gdzieś w trawę - odparł Webster.
- Jeśli to były kluczyki od samochodu, szkoda fatygi.
- Jakież inne.
- Powinna wylądować za kratkami. Mogła kogoś zabić.

Albo i siebie.

- W tym wypadku więzienie niespecjalnie by pomogło - rzucił Webster i ruszył szukać kluczy w pogniecionej trawie.

W chwili gdy Nye z partnerem wsiadali do radiowożu, wydało mu się, że słyszy chichot.

Włączył latarkę. Opał na kolana, macał pomiędzy zeszytyniałymi od szronu źdźbłami.

Może faktycznie królicza łapka przyniosła jej szczęście? W końcu ani nie zabiła nikogo na drodze, ani sama nie straciła życia. Nie skrzyła karku. Nie przecięła tętnicy. Nie załatwiła sobie amputacji.

Obraz lśniących ciemnych włosów pojawiał mu się w myślach i znikał. Webster bardzo chciał znaleźć króliczą łapkę. Wyobrażał sobie siebie przed kobietą imieniem Sheila. W tych wyobrażeniach ciągle miała na twarzy lśniące drobiny.

Gdzieś między drzewami odezwała się sowa, z daleka dobiegał pomruk silnika ciężarówki. Coraz bliższy. Webster wyłączył latarkę. Nie wstając, odwrócił twarz od szosy. Gdy ciężarówka go minęła, omiatając silnym podmuchem powietrza, odczekał jeszcze chwilę, nim ponownie zapalił światło.

Szukał kluczy dwadzieścia pięć minut. Wreszcie znalazł; wsadził je do kieszeni razem z króliczą łapką i zwiniętym paskiem. Wrócił do swojego krążownika szos i jakiś czas siedział, trzęsąc się z zimna, aż ogrzewanie zrobiło swoje.

Oż cholera, ale zimno.

Dwie godziny później prosto spod prysznica i przebrany w świeże rzeczy przywitał się z ojcem przy śniadaniu. Mieszkał z rodzicami, bo oszczędzał na wymarzony kawałek ziemi. Miał pewność, że w odpowiednim czasie przekona właściciela do sprzedaży, ponieważ kilka miesięcy wcześniej pomógł uratować życie jego żonie, która doznała nagłego zatrzymania krążenia. Normalnie Webster nie rozumował w ten sposób. Razem z Burrowsem stanowili zespół, zwykle to właśnie partner stosował defibrylator i podawał chorym leki. Wówczas jednak tylko Webster wiedział od razu, gdzie znajduje się farma i w którym miejscu stoi na niej dom. Przejeżdżał obok niego dziesiątki razy, wyłącznie po to, by ze szczytu wzgórza podziwiać widok na Green Mountains. Wtedy wytłumaczył Burrowsowi przez radio, jak dojechać na miejsce, i sam od razu wsiadł do wozu. Gdy dotarł na miejsce, chora dawała bardzo słabe oznaki życia i obficie się pociła. Po chwili straciła przytomność, a wtedy udrożnił jej układ oddechowy i rozpoczął resuscytację krążeniowo-oddechową. Minęły dobre dwie minuty, zanim pojawił się Burrows. Błyskawicznie wprowadzili rurkę ustno-gardłową, dosłownie parę sekund później kobieta została podłączona do aparatu monitorującego pracę serca i otrzymała leki. Przy tego rodzaju wezwaniu liczy się każda minuta.

Ojciec Webstera, Ernest, miał w miasteczku sklep z narzędziami, ale do kompletu sprzedawał też inne przydatne drobiazgi oraz kawę, pączki i papierosy. Wstawał codziennie o szóstej rano.

Jako człowiek ceniący sobie stałość obyczajów, zjadał na śniadanie płatki Raisin Bran oraz banana, a na drugie śniadanie zabierał ze sobą cztery ciastka. Rytuał wieczorny także rzadko podlegał zmianom: po powrocie do domu Ernest wypijał dwa piwa Rolling Rocks - był to jednocześnie czas, który razem z matką Webstera, Norah, mieli dla siebie - potem kolacja, pół godzinki na czytanie gazety, drugie pół przy katalogach, jakiś program telewizyjny. O dziewiętej - do łóżka. Webster nie przypominał sobie, kiedy ostatnio widział ojca z książką w ręku, a mimo to Ernest wiedział wszystko, co należało wiedzieć o narzędziach i ich używaniu. W gospodzie U Keezera na podkładkach znajdowała się reklama ich rodzinnego sklepu, na której uwidocznił sam sklep, podobiznę dziadka Webstera, logo firmowe oraz hasło: „Fachowe porady gratis”.

Matka Webstera uczyła w piątej klasie w miejscowej szkole podstawowej. Miała sześćdziesiąt jeden lat, szykowałą się do przejścia na emeryturę. Webster był późnym dzieckiem, Norah miała kłopoty z zajściem w ciążę, urodziła go, skończywszy trzydzieści dziewięć lat. Niegdyś blondynka o ogromnych brązowych oczach, teraz siwa. Włosy na linii czoła schodziły ku nasadzie nosa literą V, tak samo jak u syna. Codziennie przynosiła do domu naręcze uczniowskich prac i zawsze skrupulatnie je sprawdzała. W rodzinie pełniła funkcję rozjemcy, lecz w razie konieczności potrafiła być surowa. Webster czasami próbował sobie wyobrazić, jak traktuje niesfornych uczniów.

- Chcesz jajka? - spytała.

Stała przy kuchennym blacie.

- Wystarczy tost - odparł Webster. - Zaraz wracam do jednostki.

Nieprawda. Wybierał się do szpitala.

- Zdawało mi się, że dopiero co wróciłeś. Słyszałam, jak wszedłeś do domu.

- Mam zastępstwo - skłamał. - Niedługo wrócę.

- Koniecznie. Musisz się przespać.

Webster był zatrudniony jako sanitariusz na część etatu. Miał nadzieję przejść na pełen etat, co było wymagane w czasie

służby wojskowej. Na razie z wezwaniami ratunkowymi dzwonił do niego do domu, więc rodzice przywykli do telefonów o najróżniejszych porach, do widoku syna zrywającego się od stołu i pędzącego na piętro po trzy stopnie naraz, do stuknięcia zamykających się drzwi wejściowych w środku nocy.

Tuż przed rozpoczęciem klasy maturalnej Webster zaczął się rozglądać za odpowiednią uczelnią. W tym samym czasie ojcowskie interesy przechodziły recesję, ale chłopak był przekonany, że zanim ukończy szkołę, będą już pieniądze na studia w University of Vermont w Burlington. Tymczasem, ukończywszy naukę w szkole średniej, zwieńczoną dyplomem z ekonomii, który uznał za równie potrzebny jak stara kartka bożonarodzeniowa, postanowił zrezygnować z przejęcia rodzinnego sklepu, choć tak zakładał plan. Od zawsze.

Myśl o przejściu ojcowskiego interesu napełniała go lękiem. Nie miał ochoty ruszać w szeroki świat, jak wielu jego kolegów, lecz jednocześnie pociągało go życie nieco bardziej ekscytujące niż stanie za kasą przez sześć dni w tygodniu.

Doskonale pamiętał wieczór, gdy przy kuchennym stole powiedział rodzicom o swoich zamiarach. Ojciec ze stoickim spokojem pokiwał głową, matka nie kryła zdumienia. Oboje zakładali, że ma jakieś ambitniejsze cele. Nie miał, ale natknął się na ogłoszenie, które wzbudziło jego ciekawość.

- Będę sanitariuszem.
- Sanitariuszem? - powtórzył ojciec z niedowierzaniem.
- Wolne żarty.
- Od dawna masz ten zamiar? - W głosie matki zabrzmiały dziwnie piskliwe tony.
- Od jakiegoś roku - skłamał Webster.
- Nie zarobisz dużo - zauważył ojciec, zawsze pragmatyk.
- Ale i nie tak znowu mało.
- Peter, będziesz świadkiem strasznych zdarzeń. - Matka miała nieobecne spojrzenie.
- Gdzie będziesz się uczył zawodu? - spytał ojciec.
- Właśnie się rozglądam - odparł Webster i kłamka najwyraźniej zapadła.

Zrobił kurs w Szpitalu Miejskim w Rutlandzie, zaliczył praktyki, zdał egzaminy. Im więcej dowiadywał się o ratownictwie, tym bardziej go ta praca wciągała, najwyraźniej przypadkiem dokonał właściwego wyboru. Skończywszy dwadzieścia jeden lat, otrzymał certyfikat.

W prezencie z okazji ukończenia szkoły dostał od rodziców pieniądze, za które kupił używany radiowóz. Samochód został pozbawiony wszelkich cech auta policyjnego, ale szybki był jak w dniu, gdy zjechał z taśmy. A właśnie prędkość była najważniejsza. Jedynie zimą, na sezonowych oponach, siłą rzeczy trochę zwalniał.

Webster przyjrzał się ramie okna nad zlewem i nasunęło mu się spostrzeżenie, że pewnie w całym domu nie ma jednego kąta prostego. Mocno wątpił, by farma przynosiła dochody. Kiedy rodzice kupili dom - ich syn miał wtedy siedem lat - w kuchni leżało na podłodze linoleum, ściany były pokryte byle jakim tynkiem, a jadalnię spowijał biały pył gipsowy. Na piętrze znajdował się pokój dzienny z zamurowanym kominkiem, taras przerobiony na kąpiel do szycia oraz solidnych rozmiarów sypialnia, którą zajęli rodzice. Na strychu wystarczyło miejsca na dwa pokoiki, w których przemieszkiwali różni kuzyni, ciotki i wujowie zaglądający z wizytą.

Do dwunastego roku życia Webster spał na pryczy ustawionej przez ojca na dawnym tarasie. Skończywszy trzynaście lat, przestał się mieścić w łóżku, więc ojciec zburzył ścianę między pokojkami na strychu, przekształcając je w jeden większy, ze skośnym sufitem i dwoma oknami. Jedno wychodziło na front domu, z drugiego widać było ogródek warzywny na tyłach, oczko w głowie matki. Obok roślin jadalnych pyszniły się krzewy hortensji oraz jedno drzewko albicji jedwabistej, które co roku w sierpniu wysyłało w świat puszyste kłębki łośosiowej barwy. Właśnie pod tym drzewem ustawiono dwa drewniane fotele ogrodowe, bo tam rodzice Webstera często siadywali latem, starając się nie zwracać zbyt wielkiej uwagi na leżącą odłogiem działkę, którą sprzedali, żeby sfinansować unowocześnienie sklepu.

Błądym świtem Webster pożegnał się z rodzicami i ruszył w drogę. Słońce właśnie wschodziło, z samochodów na szosie unosiła się para.

Domyślał się, że jeszcze nie odesłali poszkodowanej do domu. Przecież miała we krwi trzy i pół razy więcej alkoholu, niż zezwalało prawo. Chciał ją zobaczyć, usłyszeć. Do tej pory tylko raz jeden jedyny zdarzyło mu się odwiedzić ofiarę wypadku. Był to dziesięciolatek, który o mało nie utopił się w kamieniołomach, gdzie swego czasu wydobywano marmur. Webster po prostu musiał zobaczyć chłopaka żywego. W nagrodę za to, co dla niego zrobił. Usłyszeć podziękowania od rodziców. Miał wtedy za sobą dopiero trzy miesiące w zawodzie, w tym dwutygodniowy ciąg koszmarnych wezwań, przez które o mało nie rzucił w diabły wymarzonej roboty, zanim się w niej na dobre odnalazł. Najpierw dwójka dzieci poniosła śmierć w pożarze przyczepy. Potem nie zdołali uratować ofiary zawału, a mogli jej ocalić życie, gdyby tylko zostali wezwani wcześniej. Później kolizja trzech samochodów na międzystanowej czterdziestcedwójce - straciła w niej życie cała rodzina francuskich Kanadyjczyków: matka na miejscu zdarzenia, ojciec w Rakiecie, dziewczynka, jeszcze berbeć, w szpitalu.

Zaparkował i wszedł na oddział pogotowia. Personel znał Webstera, więc nikt go nie zaczepiał. Zatrzymał jakąś pielęgniarkę, która wydała mu się znajoma.

- W nocy przywieźliśmy tu kobietę - powiedział. - Przewadzenie pod wpływem, rana brzucha.

- Podają jej płyny. Jeszcze cewnikowana. Za pół godziny odłączają jej kroplówkę.

- Za pół godziny? - Webster spojrzał na zegarek. - Strasznie długo.

- I co ja na to poradzę? Nie ja tu rządę, tylko Towle. Przy okazji, kobieta ma ślady wcześniejszych obrażeń.

- Przyszedłem, bo znalazłem na miejscu wypadku drobiazg, który do niej należy.

- Mogę jej oddać - zaoferowała się pielęgniarka.

Normalnie Webster przystałby na to od razu.

- Chciałbym do niej zajrzeć - rzekł tym razem. - Zobaczyć, jak się czuje.

Pielegniarka zmrużyła oczy.

- Zapraszam. Łóżko numer osiem.

Webster odciągnął zasłonę.

Kobieta była blada, twarz miała poobijaną, pod oczami wielkie ciemne półkola. Rysunek ust przywodził na myśl Francję, podobnie jak jej imię. Włosy w dalszym ciągu lśniły.

Podszedł bliżej.

Alkohol na pewno zrobi swoje. Kiedy skończy się podawanie płynów, dopadnie ją potworny ból głowy i, co tu dużo mówić, kac.

Pod cienkim przykryciem odznaczały się bandaże na brzuchu, zarys szczupłej sylwetki, wzgórki sutków. Szpitalna koszula, rozpięta pod szyją, odsłaniała mostek posiniaczony w czasie reanimacji przez Burrowsa. Wyglądało to koszmarnie, ale co zrobić, jak trzeba, to trzeba.

We wspomnieniach zobaczył długie nogi i wysoko wycięte białe figi.

Wypowiedział na głos jej imię.

Jedno oko drgnęło.

Dotknął jej ramienia i powtórzył głośniej:

- Sheila?

Otworzyła oczy. Nie od razu udało jej się skupić wzrok. Milczała.

- Nazywam się Peter Webster. Pracuję w jednostce ratowniczej w Hartstone, w nocy dostałem wezwanie do pani wypadku. - Zaciął się. Tego akurat nie zamierzał mówić. - Niewiele brakowało, uniknęła pani śmierci o włos.

- Nieprawda - odparła, mierząc go ostrym spojrzeniem.

Najwyraźniej była w lepszym stanie, niż się z pozoru wydawało.

Opanowała go chęć, by odejść. Natychmiast.

Później często się zastanawiał, czemu tego nie zrobił.

Odczekaj cały tydzień, zanim zaczął zbierać informacje na temat Sheili. Założył, że portfel dawno trafił do właścicielki, ale przedtem, na komendzie policji, spisano jej dane. W szpitalu pewnie także, jednak tam trudniej było się czegoś dowiedzieć. W tej sytuacji nie miał wyjścia: musiał zadzwonić na komendę. Wybierając numer, modlił się, by po drugiej stronie nie usłyszeć głosu McGila.

Odebrał Nye. W końcu nic dziwnego. Szczwany lis był wszechobecny. Z wiecznie przymrużonym lewym okiem i skrzywionymi ustami. Gwoli sprawiedliwości, wyraz twarzy niekoniecznie oddawał jego nastrój, bo Nye miał koszmarnie wystający prawy górny kieł. Webster czasem się zastanawiał, czy to twarz zdradzała usposobienie policjanta, czy też on się do niej z czasem dostosował, oglądając przykry grymas codziennie przy goleniu.

Nye raczej nie wiedział, że Webster tydzień wcześniej odwiedził Sheilę w szpitalu.

Warto zaryzykować.

- Królicza łapka? - zdziwił się policjant.

- Ah a .

- No i co z tą łapką?

- Poszkodowana może potrzebować kluczy.

- Bryka poszła na złom, prawko zawiesili babce na dwa miesiące. Z Massachusetts, nawiasem mówiąc.

- Wyłynął jakiś miejscowy adres? - rzucił Webster bez nacisku i zamilkł.

- Doskonale wiesz, że nie wolno mi udzielać takich informacji.

- Bez przesady. Przecież uratowałem jej życie.

- Co jako argument warto jest dokładnie tyle co nic.

Cholerny Nye, koniecznie chciał być najważniejszy.

- Coś mi się zdaje, że nie jesteś zbyt dobrze zorientowany w procedurach - dodał policjant.

Webster chętnie skorzystał z szansy. Wolał wyjść na głupka, niż włączyć Nye'owi w tyłek.

- W cholerę z procedurami - rzucił lekko.

Czekał tak długo, że już nie wiedział, czy szczwany lis się przypadkiem nie rozłączył. Zaraz jednak usłyszał stukanie ołówka w blat biurka.

Nye podał Websterowi adres.

- Nie rób żadnych głupot, żółtodziobie - rzucił na koniec.

Webster dokładnie wiedział, gdzie stoi ten dom. Tuż przy północnej granicy miasteczka, białoniebieski parterowy budynek z gankiem odsuniętym może z pięć metrów od pobocza czterdziestki dwójki. Okna ganku przesłaniały żaluzje. Webster zostawił auto na czymś, co ewentualnie mogło zostać uznane za podjazd na zaniedbanym podwórzku. Zanim otworzył drzwiczki, przygotował sobie odpowiedni tekst: ot, zajął spytać o zdrowie i o samopoczucie. Oczywiście Sheila od razu przejrzy tę zasłonę dymną i może nawet go objedzie. W szpitalu potraktowała go dość ostro. Mimo wszystko ciekawość zwyciężyła. Przez okrągły tydzień miała przewagę nad rozumem.

Zapukał.

Otworzyła ona.

- Coś ty za jeden?

Obie dłonie oparła na drzwiach, gotowa zatrzasać je intruzowi przed nosem. Miała na sobie dzinsy i kraciastą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Włosy dłuższe, niż ocenił

wcześniej, kręcące się na końcach, lśniące, dokładnie tak jak pamiętała. Nie mógł oderwać wzroku od jej ust.

Naprawdę nie pamiętała go ze szpitala?

- Peter Webster. Byłem wezwany do wypadku...

- Gliniarz?

- Nie. Sanitariusz.

- Aha.

- Zajrzałem sprawdzić, jak się czujesz.

W samych skarpetkach miała jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu.

Nie kupiła ścierny.

- Skąd mam wiedzieć, że naprawdę jesteś sanitariuszem? A w ogóle co cię obchodzi, jak się czuję?

Nie wyszło tak obcesowo, jak chciała. Z jej oczu wycierał łęk.

Webster wyjął dowód tożsamości. Przyjrzała się dokumentowi uważnie, po czym odstaąpiła na bok.

- Wejdz - powiedziała. - Zimno jak cholera.

Błat prostokątnego stołu obciążnięto zielono-białą kraciastą ceratą, przypiętą do krawędzi. Na niej, w towarzystwie dobrego tuzina brązowych krawędzi, odcisniętych przez denka kubków z kawą, pośród okruchów z tostów i między smugami czegoś, co mogło być masłem, tkwiła całkiem przyzwoitej wielkości górką jakiegoś ciemnego dżemu. Z kosza na śmieci kipiały odpadki. Na blacie kuchennym walały się pudełka po płatkach, puszki po coli, paczki po papierosach, kartoniki od batonów Devil Dogs i rozerwane opakowanie błyskawicznego dania włoskiego. A także kłęb przewodów elektrycznych, najwyraźniej służących do zmontowania nielegalnego okablowania.

- To nie moja sprawa - rzuciła Sheila. - Mówię o bajzlu - uściśliła. - A przynajmniej nie wszystko. Devil Dogs to oni. - Wycelowała palcem w sufit.

- Jak długo tu jesteś? - spytał Webster, rozglądając się dookoła.

- Parę dni.

Rozpiął kurtkę, w kuchni panował upał.

- Wynajmujesz?
- Nie do końca. Zapłace, jak znajdę robotę.
- A skąd się tu wzięłaś?
- Przez pielęgniarkę.

Webster pokiwał głową.

- No dobrze - odezwała się Sheila. - Zajrzałeś do mnie, przekonałeś się, że wszystko gra, możesz spadać.

Webster nie drgnął.

- Staruszkowie właściwie nie schodzą na dół - podjęła Sheila. - Tylko na jedzenie. A w sumie ona. On w ogóle nie schodzi. - Założyła ramiona na piersi. - Chory jest. Nocami słyszę, jak kaszle. Pewnie powinnam im pozmywać naczynia, ale nikt tego nigdy nie powiedział. Staruszka jest ciotką tej pielęgniarki... Dlaczego ja ci się spowiadam?

Nie odpowiedział, a jej to wcale nie zamknęło ust.

- Ta pielęgniarka raz tu przyjechała i zabrała staruszkę gdzieś na zakupy. A ta stara to jak myszka, prawie się nie odzywa. Może się mnie boi? Chociaż naprawdę nie mam pojęcia dlaczego... - Uśmiechnęła się, jakby dokładnie znała powody, dla których można by czuć przed nią strach. - Mieszkam w „pokoju frontowym” - dodała, zaznaczając cudzym gestem obu dłoni. - Wolno mi korzystać z kuchni i łazienki. Przesiaduję w salonie, oglądam telewizję. Podciągam im trunki. - Lekko uniosła brodę, prowokując Webstera do wygłoszenia reprimendy.

- Za dużo pijesz - powiedział. - Przed wypadkiem też za dużo wypiłaś.

- A co ci do tego? Nie twój interes.

- Mogłaś zranić kogoś innego, a to już jest mój interes.

- Co teraz? - zapytała. - Będiesz mnie badał?

Przeszła do pokoju urządzonego na werandzie. Ponieważ na zewnątrz panował mróz, a wewnątrz było stanowczo przegrzane, szyby prawie całkiem zaparowały. Na środku każdej z nich została tylko niewielka elipsa przejrzystego szła.

- Podkręcają ogrzewanie na maksa, a mnie nie wolno się do tego wtrącać.

Okna bez zasłon. Łóżko przysunięte do gontów, które kiedyś stanowiły osłonę zewnętrznej ściany budynku. Schłodnie zaścielone. Trochę ubrań na wieszaku na kółkach. Walizka wetknięta pod przenośną szafę. W kącie okrągły drewniany stolik i dwa krzesła.

Sheila usiadła na łóżku.

Webster wysunął sobie krzesło.

- Rzeczywiście, miałem spytać, czy zostały ci jakieś obrażenia po wypadku.

- Jesteś pracownikiem społecznym?

- Nie.

- No dobra, to posłuchaj. Zabrali mi prawo jazdy. Utknęłam w tej dziurze zabitej dechami. Cała moja gotówka to sto baksów, które dostałam od pielęgniarki. Muszę znaleźć jakąś robotę. Poza tym nic mi nie dolega.

Sięgnęła do kieszeni skórzanej kurtki, leżącej w nogach łóżka, wyjęła z niej paczkę papierosów.

- Trafiłam tutaj, bo staruszka potrzebuje kogoś na wszelki wypadek. - Zaciągnęła się papierosem. - Gdzie mieszkasz?

- W Hartstone. - Nie wspomniał o rodzicach.

- Gliniarze oddali mi portfel - machnęła papierosem w stronę kurtki - ale, wyobraź sobie, bez prawa jazdy i bez gotówki.

- Dużo miałaś?

- Sto dwadzieścia.

Szczwany lis. Chrzaniony glina.

- Upomniałaś się o zwrot?

Jakiś czas milcząco wpatrywała się w oszronione okno.

- Powiedzieli, że kasy nie było. A czy mnie tym zaskoczyli? Jakoś nie.

- Czy mogę spytać, co robiłaś w Vermoncie w noc wypadku? Policja twierdzi, że miałaś prawo jazdy z Massachusetts.

- To z podręcznika? Pytanie numer trzydzieści osiem?

- N i e .

- Mieszkam w Chelsea. Mieszkałam. Pod Bostonem. Miałam faceta, który za dużo pił. Tak dużo, że zaczął sikać w łóżko.

Wyrzuciłam go, powiedziałam, żeby spadał. Niestety, wrócił. Przykleił się jak gówno do buta. - Rzuciła na Webstera szybkie spojrzenie, sprawdzając, jakie wrażenie zrobiło na nim grubsze słowo. - W końcu uznałam, że dosyć tego dobrego. Spakowałam się, wsiałam do wozu i odjechałam w siną dal. Zatrzymałam się dopiero na drzewie.

- Mogłaś zawiadomić policję, aresztowaliby gościa.
- On jest z policji - oznajmiła bez emocji.
- A zakaz zbliżania się?
- Wolne żarty.

Webster zauważył pod łóżkiem opróżnioną do połowy flaszkę rumu Bacardi. W stojącej obok szklaneczce zostało jeszcze trochę alkoholu.

- Zdarzyło mi się parę razy wyjść do najbliższego sklepu, kupiłam bajgle, kawę, fajki.

Najbliższy był sklep ojca.

W przeciwieństwie do większości kobiet nie miała zaokrąglonych ramion. Włosy wsuwała za uszy. Obcisłych dżinsów na pewno nie kupiła w sieci L.L. Bean. A kiedy zejda jej siniaki z twarzy, pewnie będzie bardzo ładna.

- Zawiozę cię do Giant Martu - powiedział. - Jest tuż za granicą stanu. Kupisz sobie jakieś normalne jedzenie. I odwiozę cię z powrotem.

- Coś mi się zdaje, że to niezgodne z prawem. Mam nie opuszczać stanu.

- Ze mną nic ci nie grozi.

- Jasne.

- Musisz kupić coś do jedzenia - przypomniał. - I potrzebne ci dokumenty, jeśli masz znaleźć pracę. Co robiłaś w Chelsea?

- Byłam kelnerką.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia cztery.

- Poważnie?

Kiwnęła głową.

- Masz fajny akcent - powiedział.

- Poważnie? - spytała tym razem ona, przesadzając z बो-
stońską wymową.

- Zbieramy się. - Webster wstał. - Jedziemy, bo umrzesz
z głodu.

- Bez przesady.

- Wkładaj kurtkę.

Przez całą drogę Sheila bez słowa patrzyła przez okno, jakby
byli małżeństwem. W pewnej chwili wyjęła z kieszeni papierosa,
ale spojrzawszy na Webstera, schowała je z powrotem.

- Pal, nie ma sprawy.

- Nie chcę ci zasmrodzić twojego wymuskanego samo-
chodziku. A swoją drogą, skąd go wytrzasnąłeś? Przecież
to radiola.

- Już nie. Przeszła do cywila.

- Jak to idzie?

- Co cztery lata policja wymienia wozy na nowe. Ze sta-
rych zdejmuje oznaczenia, zabiera urządzenia i wyposażenie,
po czym wystawia bryki na sprzedaż. Potrzebny mi szybki
samochód. W mojej pracy to ważne. A ten ma silnik jak od-
rzutowiec.

- No to dociśnij gaz. Pokaż, co potrafi ta twoja zaba-
weczka.

Webster nie zmienił prędkości.

Sheila zgarnęła włosy, zwinęła je z tyłu głowy, po czym
puściła luzem na ramiona.

Przejechali kolejne dwa kilometry, dotarli do supermar-
ketu.

- Teraz jesteśmy w stanie Nowy Jork? - spytała Sheila.

Webster pokiwał głową.

- Bardziej mi się podobało w Vermoncie.

- Dlaczego?

- Czułam się bezpieczniejsza.

Nie sposób było uzależniać bezpieczeństwa od niewidocznej
linii granicznej, ale Webster także zawsze uważał, że istnieje

różnica pomiędzy Vermontem a stanem Nowy Jork. Tam drogi były gorsze, od samej granicy, domy brzydsze i w kiepskim stanie, a ulice wytyczone w równą siatkę, przetykaną sklepami. Nieliczne miasteczka miały swój wyjątkowy charakter, określała go jednak czerwona cegła, za którą Webster akurat nie przepadał. Zawsze po przekroczeniu granicy międzystanowej miał nieodparte wrażenie, że zbliżył się o krok do życia, które go stanowczo nie pociągało.

Mimo wszystko w najbliższym miasteczku po stronie Nowego Jorku znajdował się supermarket, dwie stacje benzynowe oraz duża apteka.

Zaparkowali przed supermarketem Giant Mart.

- To co teraz? - spytała Sheila. - Robisz zakupy i uiszczasz należność przy kasie? Bierzesz mnie na utrzymanie?

- Chodź, wejdziemy. Naprawdę muszę zrobić zakupy.

Podeszli do frontowych drzwi, ale nie razem. Jakby się odcinała od tego dziwnego pomysłu.

Webster odpiął wózek.

- Znajdź, co ci potrzebne, i wrzucaj jak leci. Podzielimy później.

Kupił więcej, niż potrzebował, chyba chciał mieć pewność, że rachunek za jego rzeczy będzie wyższy niż za to, co ona wybierze. Rodziców czekało niemałe zaskoczenie. Bardzo rzadko robił zakupy spożywcze.

Włożył do wózka pomarańcze, sałatę, chleb, kawę i ciasto na lasagne. Cały czas starał się wiedzieć, w której alejce jest Sheila. Dorzucił kilogram mięsa na hamburgery i miecznika w przezroczystej folii. W Giant Marcie nie sprzedawano alkoholu, więc tego kupić nie mogła. Dodał jeszcze środek czyszczący i serwetki, bez żadnego pojęcia, czy te rzeczy faktycznie są w domu potrzebne. Wybrał ciasto biszkoptowe, dołożył litrowe lody waniliowe i odszukał Sheilę. W alejce z puszkami zdejmowała z półek zupy. W rękach miała krakersy, masło orzechowe i muffinki. Włożyła zakupy do wózka.

- Nie bierzesz mleka? - spytał. - Albo soku? A jakieś mięso? Pomidory?

- A ty co, będziesz robił za mojego tatusia?
- Bez szans, jesteś starsza. - Zostawił wózek, po chwili wrócił z kurczakiem do pieczenia. - Umiałybyś coś z tym zrobić?
- A jak sądzisz?
- Nie mam bladego pojęcia.
- Radzę sobie z ptakiem.

Włożył drób do wózka. Zniknął jeszcze na kilka chwil, pojawił się z torbą ziemniaków, plastikową torebką fasolki szparagowej i kartonem soku pomarańczowego.

- Dobra, wystarczy tego dobrego - zdecydowała Sheila.
- Jakies słodczyce? Ciasto albo coś?
- Staruszkowie mają takie zapasy batoników, że możemy wszyscy dochrapać się cukrzycy. A tak w ogóle, nie lubię tego badziewia.

Nie podeszła z nim do taśmy przy kasie. Kiedy dotarł do wyjścia, stała przy drzwiach.

- Dzięki - powiedziała. I natychmiast odwróciła kota ogonem: - Będę musiała ci się odwdziżyć w naturze?

Webster zatrzymał wózek.

- Masz wypaczone pojęcie o stosunkach międzyludzkich.
- A z ciebie taki optymista?
- Często mam do czynienia z ludźmi w potrzebie. Najczęściej cieszą się, jeśli uda im się przeżyć.
- Szczęściarz.

Do niebieskiego domku wrócili w milczeniu. Webster zaparkował, podał Sheili torby z jej zakupami.

- Chcesz wejść? - zapytała.

Z nutką nieśmiałości.

- Nie - odparł.

Chociaż chciał.

Włożył jej w dłoń banknot dziesięciodolarowy.

- Nie kupiliśmy papierosów. Pewnie będziesz chciała się przejść.

Zgarnęła dychę i poszła do domu.

Ładnie szła. Bez pośpiechu, jakby wcale nie zamarzała w cienkiej skórzaney kurtce. Otworzyła drzwi i weszła do srodka, nie oglądając się za siebie.

Seksowna i piękna. Ciekawe, czy dałoby się ją trochę okiełznać? Chociaż może właśnie to nieokiełznanie podoba mu się najbardziej...

Nie chciał jeszcze wracać do domu, choć w bagażniku rozpuszczały się lody. Pojechał stromą nieutwardzoną drogą na zbocze, gdzie pewnego dnia miał nadzieję kupić kawałek ziemi i postawić dom. Chmury płynęły szybko, cięży położone niżej wzgórza jasnymi pasmami światła. Green Mountains na horyzoncie przesiąkły fioletem.

Któregoś dnia zbuduje dom z wielkim oknem wychodzącym na ten widok. W wolnym czasie będzie siadał i patrzył. Góry i doliny stale się zmieniały.

W takim domu będzie się czuł wolny.

Po raz pierwszy zobaczył oczyma wyobraźni także kobietę. Z nim, w tym domu. Niekoniecznie akurat Sheilę. Po prostu drugą osobę.

Przez tydzień codziennie wieczorem przejeżdżał obok domu, w którym zamieszkała. Zwalniał, żeby zobaczyć ją przez któreś okno przeszklonej werandy. Raz rzeczywiście dostrzegł jakiś ruchomy cień za szybą i nawet przez chwilę miał ochotę podjechać, ale wiedział, że jeszcze nie jest gotowy. Zresztą miał na sobie mundur, a nie chciał jej denerwować.

Zajrzał w sobotę. Spodziewał się zastać dom dobrze oświetlony, choć przypuszczał, że ani ona, ani staruszkowie nie mają wielu gości. Tymczasem na piętrze tliło się jedno światełko, a na dole migotał na niebiesko telewizor.

Zapukał do tylnych drzwi.

Rozbłysła żarówka nad wejściem, w progu stanęła Sheila.

Ubrana była w dżinsy i granatowy sweter, do tego jasnoczerwone skarpetki. Miała wilgotne włosy. Siniaki zniknęły.

- Wpadłem pozmywać - oznajmił Webster.

Zapaliła światło w kuchni, wskazała ją gestem ręki:

- Zapraszam.

Wnętrze nie było może nieskazitelne, ale z pewnością wysprzątane. Żadnego bałaganu na blacie, żadnych śmieci kipiących z kosza.

- Spóźniłem się - skonstatował.

Sheila wyjęła papierosy z kieszeni skórzanej kurtki, powieszonych na oparciu kuchennego krzesła. Zwrócił uwagę na jej brązowe skórzane buty, stojące na baczność przy piecu.

- Jesteś mężatką?

- Nie.

Zaciągnęła się głęboko, jakby zapaliła pierwszego papierosa od wieków. Może chciała uciąć temat. Oparła się o blat, założyła ręce na piersiach.

- Szukasz towarzystwa? - spytała.

- Może i szukam.

Jak ładnie ten sweter spływał jej na biodra.

- Znalazłaś pracę?

- Jutro mam spotkanie.

Webster nadal stał przy drzwiach. Nie zaprosiła go do środka, nie spytała, czyby chciał usiąść.

- Gdzie?

- W knajpie. U Keenera.

- U Keezera - poprawił. - Podbijesz ich od wejścia.

- Tak myślisz?

- Wiem.

Webster wyobraził sobie, jak zjawia się po nią w porze obiadowej, podjeżdża swoją bryką, którą wszyscy znają. Miasto by się zatrzęsło od plotek, zanimby Sheila podeszła do drzwi gospody.

- O której?

- Po południu.

- Kończę za piętnaście trzecia - skłamał.

Około trzeciej było w gospodzie najmniej gości. Po lunchu, a jeszcze przed piwkiem i jednym głębszym w drodze do domu; rozkręcało się tu bliżej czwartej.

- Super.

- Keezer jest pies na baby - przestrzegł. - Będzie cię obmacywał.

- Nie mogę się doczekać - rzuciła z uśmiechem.

- Mogę usiąść?

- Nie. - Upuściła niedopałek do zlewu, ściągnęła kurtkę z oparcia krzesła. - Nie mam grosza przy duszy, a zjadłabym coś ciepłego.

Zanim Sheila podeszła do wozu, zanim wróciła, żeby zamknąć drzwi wejściowe na klucz, i wreszcie ponownie dotarła

do samochodu, wilgotne końce jej włosów zamarły. Bawiła się nimi, rozkruszając lód.

- Jezu, ale mróz. Mam nadzieję, że twoja bryka nie wysiadzie.

- Potrzebna ci cieplejsza kurtka.

- Chcesz mi kupić?

Chciał. W tym rzecz.

Wykręcił i wjechał na szosę.

- Dokąd jedziemy?

- W jedno miejsce, gdzie dają niezłe chili.

Pojechali na północ, za granice miasteczka, potem jeszcze jednego. Jakiś czas milczeli. Ona zaglądała w rozświetlone okna domów.

- U niektórych jeszcze stoją choinki - zdziwiła się.

- I będą stały, póki nie spadną wszystkie igły. Wieńce na drzwiach zostaną do Wielkanocy.

- J a k t o ?

- Zima w Vermoncie jest długa.

- No i jak - zapytała po jakimś czasie - jesteśmy wystarczająco daleko? - Nie kryła rozbawienia.

- Warto tam pojechać. - Kłamstwo. Nieskuteczne. - Jeśli chcesz, możemy zawrócić.

- Co? - Jakby go nie słyszała.

Parking był kompletnie zastawiony. Webster wysadził Sheilę przed drzwiami. Przyglądał się jej, kiedy wysiadała i rozprostowywała ramiona.

Szukał wolnego miejsca, z sekundy na sekundę coraz mocniej sfrustrowany. Nie chciał jej zostawiać samej. Zanim w końcu dotrze do środka, już ktoś zacznie się do niej przystawiać. Wreszcie zostawił samochód w miejscu niedozwolonym, na skraju pola kukurydzy. I co z tego? Właściciel potnie mu opony?

Truchtem ruszył do restauracji.

Z początku nie dostrzegł Sheili.

- Usiadła za przepierzeniem - rzucił mu barman.

Webster krótko skinął głową i ruszył w stronę siedzeń obitych czerwoną sztuczną skórą. Stoliki były polakierowane na wysoki połysk; lekko śliskie w dotyku, wydawały się niedomyte. W powietrzu unosiła się gęsta mieszanka dymu papierosowego i zapachu czosnku.

Sheila zdążyła zdjąć kurtkę i zamówić piwo. Rozsiadła się na kanapie bokiem.

Dobrze jej tu, pomyślał.

Wypili po trzy piwa i zjedli po pół porcji chili. Sheila w ogóle nie jadła dużo, a Webster stracił apetyt. Twarz miała zarumienioną, w ciepłej restauracji końce włosów zwinęły się w loki. Złagodniały jej przez to rysy.

- Nie zamierzam sobie tutaj układać życia, ale pewnie na jakiś czas przywaruję.

Powiedziała to, jakby miała zamiar przywarować nie pierwszy raz w życiu. Jak człowiek wyjęty spod prawa.

- Widniejesz w raportach policyjnych - przypomniał jej Webster. - Skoro twój chłopak jest gliną, znajdzie cię bez trudu.

Wzruszyła ramionami, ale czubkiem buta zaczęła wybijać niespokojny rytm na środkowej nodze stołu. Jej spojrzenie ześlizgnęło się z twarzy Webstera.

- Co on ci zrobił?

- A jak ci się wydaje?

Pielęgniarka z ostrego dyżuru wspomniała o wcześniejszych obrażeniach. W Websterze natychmiast zapłonął gniew na gliniarza, którego nawet nie znał.

- A ty co, siedzisz tu całe życie? W tym Hartstone?

- Prawie.

- Mieszkałeś kiedyś w dużym mieście?

- W Rutlandzie. Tam miałem praktyki.

- To duże miasto?

- Prawie.

- Jak ty to znosisz? - spytała, obracając się znowu na ławie bokiem.

Kolacja skończona.

Wydmuchnęła dym, odwracając głowę. Nie miało to większego znaczenia. Przez gęstą siwą zasłonę, wiszącą w powietrzu, ledwo było widać stoły bilardowe pod tylną ścianą.

- Co niby znoszę?

- No... nie wiem... to całe nic.

- Ludzie żyją szczęśliwie w różnych miejscach globu - odparł z półuśmiechem.

- O proszę, filozof.

Z przyjemnością przyglądał się jej profilowi, szczególnie kiedy paliła. Miała długie palce, wciągała dym w szczególnie sposób, a wydychając go, ładnie wydymała usta. Był zdecydowanym przeciwnikiem palenia. A jednocześnie doskonale zdawał sobie sprawę, że dziewczęta zaczynały palić właśnie ze względu na to, jak wyglądały z papierosem.

- I skąd u ciebie taka mądrość? - zapytała.

- Z czytania.

Zaskoczyło go, że nie pociągnęła tematu.

- Masz rodzinę? - spytał.

- Siostrę. Mieszka na Manhattanie.

- Mogłabyś do niej pojechać.

- Pierwsze miejsce, gdzie by mnie szukał. Zresztą siostra mieszka z chłopakiem, mają jeden pokój z kuchnią i dziecko w drodze.

- Lubisz ją?

- Siostrę? A co ci do tego?

Usiadła normalnie, na wprost, ale dym wydychnęła w bok. Z ustami ułożonymi jak do gry na flecie.

- Ciekaw jestem, czy w ogóle kogoś lubisz.

- Tak, lubię ją. Jesteśmy bardzo różne i jej się nie podoba mój styl życia, ale ją lubię.

- Jest starsza czy młodsza?

- Starsza.

Webster kiwnął głową, pociągnął łyk piwa. Od czasu do czasu

rozglądał się dookoła, czy nie spostrzeże kogoś znajomego. Spoufalanie się z ofiarą wypadku, którą sam nie tak dawno ratował, było w najlepszym razie dyskusyjne, w najgorszym - nieetyczne.

- A ty, panie ratowniku? Masz jakieś rodzeństwo?

- Nie.

- Jedynek... - Przetrawiła informację. - A gdzie mieszkasz?

- Ja? Ehm... Z rodzicami. Oszczędzam na kawałek ziemi, który mam na oku.

- Z rodzicami. Ohoho.

- Zbieramy się? - zapytał, szukając wzrokiem kelnera. Najwyższy czas.

- Nie. Chcę zagrać w bilard.

- Umiesz?

- Jestem świetna.

- Zaraz się dowiem, że grasz na pieniądze.

- Daj mi siedemdziesiąt pięć, oddam sto pięćdziesiąt.

Nie uwierzył. Przy stole tkwili fachowcy. Wiedział, że Sheila wróci z pustymi rękami.

- Oni - wskazał palcem mężczyzn przy stołach bilardowych - są naprawdę dobrzy. Obiorą cię z kasy w dwie minuty.

- Założysz się?

Podał jej siedemdziesiąt pięć dolarów.

Potarła kredą koniec kija w taki sposób, jakby miała zamiar przede wszystkim pomalować go na biało. Przysunęła się bokiem do kościstego blondyna z napuszoną grzywką i długimi włosami z tyłu, zapytała, czy mogłaby zagrać. Zdaniem Webstera już wtedy owinęła go sobie wokół palca, ale nie on tu rządził. Grzywka spojrzał pytająco na wielkiego faceta we flanelowej koszuli w szaro-niebieską kratę i czarnej kamizelce na zamek błyskawiczny. Ten miał głowę ogoloną prawie na zero, jakby właśnie wyszedł z wojska.

- Farciarz?

Farciarz zmierzył Sheilę długim spojrzeniem i kiwnął Grzywce przyzwalająco. Obu im wyraźnie się spodobały obcisłe džinsy pytającej. Efektowna babka zawsze miała prawo dołączyć do gry. Sheila udawała bardziej wstawioną niż w rzeczywistości, a Webstera to denerwowało. Grzywka był równie mocno jak Farciarz przekonany, że zabierze ją do siebie. Przy stole znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn, obaj ledwo po dwudziestce, ale tak czy inaczej, rządził Farciarz.

- Obniżamy stawkę do dwudziestu pięciu - zdecydował.

- Po piątce od osoby.

Sheila trzymała kij jak nowicjusz. Nie kryjąc się, obserwowała Grzywkę, naśladowała każdy jego ruch, jakby dopiero co zaczynała grać. Webster był mocno zdziwiony, że jej od razu nie usunęli z gry.

- Powinam znać jakieś tutejsze zasady? - spytała głosem, którego jeszcze u niej nie słyszał.

- Gramy w dziewiątkę, złotko - wyjaśnił Farciarz.

Grzywka parsknął śmiechem.

Wyśmienity dowcip.

Sheila z widocznym skupieniem obserwowała ustawianie bil.

- Ja pierwsza?

- Cały stół dla ciebie - oznajmił Grzywka.

Pochyliła się niespiesznie, wymierzyła i uderzyła, wybijając białą bilę ze stołu. Zasłoniła usta dłonią.

- Ześlizgnęła się - ocenił Grzywka, ustawiając bilę tam, gdzie mu najlepiej pasowało.

Zanim na nowo przysłała kolej Sheili, na stole powstał wymarzony układ. Któryś z pozostałych graczy nie zdołał wbić ósemki, ale zostawił łatwe ustawienie. Sheila wsadziła ją od luzu, natomiast dziewiątkę już przestrelała. Jeżeli udawała, robiła to znakomicie.

- Pięknie, złotko - odezwał się Farciarz. - I tak miałaś kupę szczęścia.

Sheila przegrała pierwszą rozgrywkę.

- Niewiele brakowało. - Sinusoidalnym ruchem uniosła i opuściła barki. Położyła na stole banknot pięciodolarowy. - Pozwólcie się odegrać - poprosiła błagalnym tonem.

Uśmiechała się do Grzywki, ale zerkała na Farciarza. Gdyby Webster jej nie znał... chociaż w zasadzie rzeczywiście jej nie znał, dałby głowę, że Farciarz wpadł Sheili w oko.

- Jedziemy - zarządził Farciarz. - Po dyszce od głowy.

- Fiutek jest splukany - doniósł mu Grzywka, wskazując jednego z młodszych graczy. - Nie ma grosza przy duszy.

- Tak jest? - upewnił się Farciarz.

Młody człowiek wzruszył ramionami, odstawił kij na stojak i odszedł.

- Czterdzieści w puli - oznajmił Farciarz.

W pierwszej kolejce Sheila spudłowała z ósemką i musiała na tym zakończyć. W drugiej rozbiła białą bilą ósemkę i dziewiątkę, pierwszą z nich wsadziła do łuzu. Zaczęła podskakiwać i klaskać z radości. W trzeciej doszła do siódemki, na ósemce się wyłożyła.

Ostrożnie, przestrzegł ją w myślach Webster, siedzący dobre pięć metrów za jej plecami.

- Ej, złotko, pakujesz mnie w błotko? - rzucił Farciarz pozornie obojętnie.

Sheila odwróciła się do Grzywki.

- Co on mówi?

- Chce wiedzieć, czy go robisz w jajo - wyjaśnił z grymasem na ustach.

Sheila roześmiała się głośno.

- Ale numer!

Farciarz wyraźnie miał dość zabawy.

- Wymiękasz, złotko - oświadczył. - Koniec forów. - Odwrócił się do mężczyzn. - Po siedemdziesiąt pięć od łebka. Trzy stówki w puli.

Położyła na stole dychę, którą była winna, i zaczęła smarować kredą koniec kija. Na koniec otrzepała dłonie o uda. Ani Farciarz tego nie przegapił, ani Grzywka. Nadal w posta-

wie, a wyglądała przy tym zachwycająco, wyłuskała z kieszeni dziesięć pozostałe banknoty i położyła na stole sześćdziesiąt dolarów. Patrzący wstrzymali oddech.

- Słonko, ma być siedemdziesiąt pięć - uświadomił jej Grzywka, odrobinę zdenerwowany. - Idź, napij się piwa.

Mężczyzna stojący za Sheilą, ten z najlepszym widokiem na jej tyłek, rzucił na stół piętnaście dolarów.

Farciarz wyprostował się i przeciągnął, aż mu w stawach strzeliło. Zyskiwał na czasie. Przyjrzał się Sheili bawczo.

- Tylko bez głupich numerów - oznajmił wreszcie.

Gdy nadeszła jej kolej, Sheila pochyliła się wolno i przyłożyła rewelacyjny strzał w dziewiątkę. Mężczyzna stojący za nią gwizdnął przeciągle.

Farciarz zbagatelizował sprawę.

- Zdarza się.

Grzywka milczał.

Sheila zapaliła papierosa.

Webster zaczął kombinować, jak ją wyciągnąć z baru. Nie podobało mu się spojrzenie Farciarza.

W drugiej kolejce doszła do ósmej bili, nie wbiła dziewiątej. Mężczyzna za nią jęknął z zachwytem. Nic nie rozumiał.

Za trzecim podejściem schyliła się nad stołem wdzięcznym ruchem tancerki. Popiół na czubku papierosa miał ze dwa centymetry długości, wszyscy na nim skupili wzrok. Jakaś dziewczyna o kędzierzawych blond włosach, kręcąca się cały czas przy Farciarzu, stuknęła go w plecy i objęła w pasie od tyłu, choć trochę zabrakło, żeby jej dłonie się spotkały.

Popiół zyskał moc hipnotyczną. Nawet Webster nabrał przekonania, że Sheili nie uda się uderzyć kijem tak, żeby go nie stracić, żeby nie spadł na stół, co stanowiłoby wystarczającą obrazę, żeby Farciarz mógł ją usunąć z gry.

Sheila umieściła w łuzach pierwsze sześć bil, następnie rozbiła siódmą i ósmą, przy czym pierwsza z nich również znalazła się w łuzie. Na koniec dobiła ósemkę i dziewiątkę.

Nie padło ani jedno słowo. Tylną część baru, gdzie stały stoły do bilardu, spowiła pełna napięcia cisza.

Sheila wyprostowała się i elegancko schwyciła popiół w dłoni. Schylając się do popielniczki, opierając na jej krawędzi papierosa, rzuciła do Webstera bezgłośnie, samymi ustami: „auto”.

Zabrał z wieszaka obie kurtki. W drodze do drzwi usłyszał śmiech Sheili. Seksowny - takiego u niej nie lubił. Bał się o nią. Żaden facet nie lubi być robiony w bambuko na oczach swojej dziewczyny.

Webster przygotował się do wyjścia na mróz. Będzie się tak przygotowywał aż do maja, jeszcze ze dwa tygodnie po tym, gdy zrobi się cieplej. Naciągnął czapkę na uszy, podniósł kołnierz. Potruchtął między rzędami samochodów do swojej bryki. Chciał się jak najszybciej znaleźć przed wejściem, tam gdzie Sheila się go spodziewała.

Zatrzymał samochód przed frontowymi drzwiami, nie wyłączając silnika. Zdjął czapkę, przygładził włosy. Włączył dmuchawę na przednią szybę. Zerknął na wskaźnik ilości paliwa: zostało na jakieś czterdzieści kilometrów. Wyłączył silnik. Po dziesięciu minutach zaczął się niepokoić. Miał ochotę wrócić do środka, ale w ten sposób wszystko by zepsuł. Po dwudziestu minutach widział oczyma wyobraźni brutalny gwałt w jakimś ślepym zaułku, chociaż w tej okolicy w promieniu stu kilometrów nie było żadnego ślepego zaułka.

Otworzyła drzwi baru ze śmiechem. Przestała się śmiać w momencie, gdy drzwi się zamknęły.

Wsiadła do samochodu.

- Jedź.

Dojeżdżali do Hartstone, kiedy wreszcie się odezwała:

- Rozwalił romb i przewrócił stół. Dwa razy. Facet obok mnie trzymał bank, ale nie zdążył mi podać pieniędzy.

- Ten kolos wyglądał, jakby chciał cię zabić.

- E tam. - Odliczyła siedemdziesiąt pięć dolarów. - Raczej miał ochotę mnie przelecieć.
- A ja marzyłem tylko o tym, żeby cię stamtąd zabrać.
- Ooo, marzyciel. Takie miewasz fantazje?
- Możesz mi wierzyć, moje fantazje nie mają nic wspólnego z ratowaniem kobiet w opałach.
- Dlatego masz pracę, jaką masz.
- Nie da się ukryć.
- Jechałeś kiedyś do Nowego Jorku nocą?
- Nie - odparł, bo wiedział, że Sheila chce znaleźć następną knajpę z bilardem.
- Kłamiesz.
- Nawet o tym nie myśl.

Marne szanse, że go posłucha. Chociaż, przecież nie miała samochodu.

Znajdowali się dosłownie parę kilometrów od niebieskiego domku, kiedy poprosiła, żeby jej pokazał swój wymarzony kawałek ziemi.

Webster był zaskoczony.

- Nic nie zobaczysz, ciemno jest.
- Księżyc świeci.

Spojrzał w górę. Prawie pełnia. Wcisnął hamulec, zawrócił.

- Podobało ci się.
- C o ?
- Patrzenie, jak ich podpuszczam.
- Długo grasz?
- Odkąd się nauczyłam stać na krześle.
- Jesteś w tym bardzo dobra.
- Lepsza, niż myślisz.

Webster był ciekaw, czy udałooby mu się z nią wygrać.

- Przewieziesz mnie karetką?
- N i e .
- Dlaczego?

- To wbrew prawu.
- Założę się, że nie pierwszy raz złamałbyś prawo.
- Nic z tego.

Gdy jechali pod górę, w stronę kawałka ziemi, o którym lubił myśleć jak o swoim, wskaźnik paliwa opadł na zero. Webster miał nadzieję, że podskoczy odrobinę, kiedy znajdą się na grzbiecie wzgórza. A jeśli nie, to zawsze mogą dopchać brykę do niebieskiego domku.

Dom na wzgórzu był prawie całkiem ciemny. W tej okolicy nikt nie zostawiał zapalonych świateł w kuchni albo w salonie, żeby przekonać potencjalnego włamywacza, iż ktoś jest w domu. Wszyscy byli w domu, wszyscy spali i Webster mógł się założyć o własną głowę, że żadne drzwi nie zostały zamknięte na klucz. Zdarzało mu się czasem zamykać cruisera, bo wóz był nowością, wyposażenie mogło skusić ciekawskich nastolatków, ale już rodzice nigdy nie zamykali ani samochodów, ani domu. Większość wezwań policji dotyczyła wypadków samochodowych albo awantur rodzinnych, rozpętanych pod wpływem alkoholu, od czasu do czasu zdarzała się próba włamania do sklepu albo do magazynu. McGill i Nye mieli w czasie służby mnóstwo wolnego czasu, który wykorzystywali na grę w pokera.

Gdy znaleźli się z Sheilą w najlepszym punkcie, Webster zatrzymał samochód.

- To tu?
- To tu.

Opuściła zaparowaną szybę. Do wnętrza auta natychmiast wdarł się mróz. Księżyc i szron rozpały błyski blisko i dalej, na ciemnych górach. Webster rzadko przyjeżdżał tu nocą, wolał zaglądać w dzień, cieszyć się barwami i krystaliczną przejrzystością powietrza. Teraz jednak zdecydował, że dla panoramy za dużym oknem warto będzie położyć się spać później.

- Tutaj postawisz dom?

- Może kiedyś.
- Odludzie.
- I o to chodzi.

Wysiadła. Stała na zmrożonej trawie, otuliła się kurtką. Webster otworzył bagażnik, wyjął z niego służbową kurtkę, złożoną porządnie tuż obok apteczki. Strząsnął tkaninę, podszedł do Sheili. Czapkę zostawił w samochodzie, więc mróz szczypał go w uszy. Zarzucił dziewczynie długą kurtkę na ramiona, a ona wsunęła ręce w rękawy. Nie wystawały z nich nawet czubki palców. Otuliła się okryciem jak szlafrokiem.

- Gdzie śnieg?
- Spadło trochę w grudniu. Zaraz zamrzniemy.
- Zimno ci?
- Trochę.
- Lubisz tu przyjeżdżać.
- Lubię.
- W życiu czegoś takiego nie widziałam - oznajmiła z głębin kurtki.

Był szczęśliwy. Stał na zamrożonej trawie, tracił czucie w palcach nóg, podniesiony kołnierz chronił mu kark przed zlodowaceniem. Ziemia zdawała się nieść obietnicę.

- Długo będziesz oszczędzał? - spytała Sheila.
- Jeszcze parę lat. Pogadam z właścicielem, powiem, że chcę kupić tę działkę, żeby jej nie sprzedał komuś innemu. O ile mi wiadomo, mógłby ją obiecać siostrzeńcowi.

Widział tylko jej oczy nad żółto-czarnym kołnierzem.

- Wiesz co, Webster - odezwała się po chwili. - Pierwszy raz widzę, że jesteś naprawdę sobą.
- Nie rozumiem.
- Jesteś tutaj na właściwym miejscu, co?
- Może i tak.

Ku własnemu zaskoczeniu zrobił pierwszy ruch. Rozsunął kołnierz i pocałował Sheilę. Wargi miała zimne, zastygłe w półuśmiechu, ale mu to w niczym nie przeszkadzało.

W pewnym momencie ją też wzięło. Kiedy osuwali się na ziemię, już walczyła z jego paskiem. Oczami wyobraźni zobaczył smukłe nogi i wysoko wycięte białe figi. W rzeczywistości widział tylko jej twarz. Modlił się, żeby kuśka stała na wysokości zadania i nie skurczyła się od mrozu.

Dzięki Sheili obawy okazały się nieuzasadnione.

- Bierzesz pigułki? - szepnął jej do ucha.

Kiwnięcie otarło mu się o policzek.

To były zawody, kto dłużej wytrzyma. Głównie na zimnie. Zmarznięta ziemia pewnie sprawiała jej ból, mimo kurtki, która zresztą sięgała dziewczynie ledwo za pośladki. Nie miał piersi Sheili w dłoniach, zresztą prawie wcale nie dotykał jej skóry. Bardzo chciał, żeby ten akt na ziemi, której pragnął, miał jakieś znaczenie, ale zdominowała go rywalizacja.

Po wszystkim pomógł jej podciągnąć dzinsy, dopiero później zajął się własnymi. Nie minęła minuta, a wskakiwali do samochodu. Odchyliła się na oparcie, spojrzała na niego.

- Z ręką na sercu, panie Webster, w życiu nie miałam tak lodowatego partnera.

- Wzywam jednostkę w Hartstone. Potrzebna interwencja na Hawk Ridge. Kobieta, lat piętnaście, zgłoszenie ran powstałych na skutek przemocy domowej.

Webster sięgnął po radio.

- Wiadomo coś więcej?

- Dzwoniąca się rozłączyła, nie zdołaliśmy nawiązać ponownego połączenia.

- Policja zawiadomiona?

- Wyjechali do innego wezwania.

Burrows i Webster ruszyli do przebudowanej stodoły w jedynej wytworniejszej części Hartstone. Przy drzwiach zastali szczupłą kobietę po czterdziestce, na sofie siedziała naburmuszona piętnastolatka w dżinsach i czarnym T-shircie.

- Chodź i przeproś panów - warknęła matka do córki. Miała na sobie komplet, spodnie i marynarkę, wyglądała, jakby się wybierała do pracy. - Powiedz im, co zrobiłaś.

Dziewczyna milczała, co tylko rozsierdziło matkę. Kobieta tupnęła zniecierpliwiona, podeszła do sofy, chwyciła córkę pod ramię i usiłowała ją postawić na nogi.

- To nie jest konieczne - oznajmił Burrows, wciskając się między obie kobiety. - Pani stanie tam, obok mojego partnera - polecił matce.

Następnie wbił wzrok w dziewczynę.

- No co? - odezwała się w końcu.

- Masz jakieś obrażenia? - zapytał.

Krótko przycięte blond włosy, kolczyk w policzku, powieki mocno umalowane na fioletowo. Przewróciła oczami, ale pokręciła przy tym głową.

- Skoro ona nie chce mówić, to ja powiem! - wybuchnęła matka. - Zadzwoiła pod numer alarmowy z doniesieniem, że mój narzeczony, jej przyszły ojczym, ją zgwałcił. Boże drogi! Czy ona wygląda na pobitą? Kiedy zobaczyła podjeżdżający ambulans, przyznała się, że zadzwoniła. Szlag mnie trafi!

- Czy ktoś cię skrzywdził? - zapytał Burrows nastolatkę.

- Tak. Vince.

- Co pani o tym wie? Czy rzeczywiście mogło do czegoś dojść? - zwrócił się Webster do matki.

- Ależ skąd! Zwariowało dziewczynisko! Mój narzeczony, Vince, był tutaj ostatnio wczoraj na kolacji. A ona zachowywała się tak beczelnie, że w końcu zmusiła go do wyjścia.

Burrows ignorował matkę.

- Czy narzeczony matki cię skrzywdził? - spytał córkę.

- Aha, owszem, tak, panie doktorze. Zrujnował mi życie.

- Nie jestem lekarzem.

- Co za różnica.

- Czy dotykał cię w niedozwolony sposób albo uderzył?

- Równie dobrze mógłby mnie zabić.

- Muszę cię zbadać, sprawdzić, czy masz jakieś obrażenia - powiedział Burrows.

- Myślałam, że pan nie jest lekarzem.

- Jestem ratownikiem medycznym.

- Fatalnie.

Burrows przysiadł na piętach, ujął młodą kobietę za nadgarstek, żeby zmierzyć puls.

- Łapy przy sobie! - warknęła, a jej twarz wykrzywiła jedna z najgorszych min z repertuaru nastolatki.

Webster podszedł do Burrowsa, przez chwilę stali bez ruchu. Przyglądał się otwartej przestrzeni z wewnętrznym balkonem, kuchni z ogromną lodówką.

- Co myślisz? - spytał w końcu Burrowsa.

- Nie mogę zbadać dziewczyny bez jej zgody.
 - Mała wezwała pomoc, żeby wkurzyć matkę.
- Burrows odwrócił się do kobiety.

- Jak pani się nazywa?
- Natalie Krueger.
- A jak ma na imię córka?
- Charity.

Webster w ostatniej chwili zapanował nad odruchem i nie uniósł brwi ze zdumienia. Jaka matka w dzisiejszych czasach nadaje córce imię oznaczające dobroczynność i miłosierdzie?

- Natomiast jej facet - odezwała się dziewczyna - nazwał mnie wczoraj ostatnią zdziłą.

- Proszę pani, gdzie pan Vince znajduje się w tej chwili?

- W Massachusetts, tam mieszka - odparła pani Krueger z nieskrywaną satysfakcją. - W Williamstown.

- Kiedy tam pojechał?

- Już mówiłam. Wczoraj wieczorem. Bardzo mi przykro, że zostali panowie w to wszystko wmieszani. Przypilnowałabym jej, gdybym wiedziała, co się kroi.

- W tej chwili nie możemy zrobić nic więcej - poinformował Burrows. - Nie posuniemy się ani o krok bez zgody pani córki.

- Zgody nie będzie - odezwała się z kanapy Ostatnia Zdziła.

- Niedługo zjawi się policja - powiedział Burrows. - Przygotuj się na ich wizytę, będą mieli znacznie więcej pytań niż my.

- Cholera - mruknęła nastolatka.

- A co ty sobie wyobrażałaś?! - krzyknęła pani Krueger. Burrows pochylił się do Webstera.

- Możemy odwołać gliniarzy. Bez przerwy mają fałszywe alarmy od dzieciaków, które chcą wkurzyć starszków.

- Oskarżyła faceta o próbę gwałtu.

- Co ci mówi przecucie? - zapytał Burrows.

- Mała kłamie. Chce wyprowadzić matkę z równowagi.

- Też mi się tak wydaje.

- Zawiadomię gliny - zdecydował Burrows. Odczepił radio od paska, połączył się z centralą. - Sytuacja opanowana - zameldował.

- Użycie broni?

- Nie. Za ile będzie policja?

- Akurat wracają z poprzedniego wezwania. Dotrą do was za kwadrans, może dwadzieścia minut.

Burrows wyłączył radio.

- Zaczekamy na nich tutaj? - spytał Webster.

- Chyba tak. - Po czym wzruszył ramionami. - Może lepiej w bryce.

Webster myślał później, że gdyby nie byli wtedy już dwadzieścia minut po końcu zmiany, okazaliby się mądrzejsi.

Podszedł do naburmuszonej nastolatki na sofie. Półężała, rozparta na poduszkach, z nogami szeroko rozsuniętymi na boki, jakby była najbardziej zrelaksowaną osobą w Vermoncie albo największą uwodzicielką.

- Okłamywanie operatora numeru alarmowego jest poważnym wykroczeniem - powiedział. - Nie rób tego więcej.

Odchodząc, miał wrażenie, że słyszy skoczne echo. „Nie rób tego więcej”. Miał ochotę odwrócić się i wygarnąć dziewczynie po całości. Jakoś się powstrzymał.

Wsiedli do samochodu. Webster poprowadził na koniec długiego podjazdu, tam się zatrzymali i dobry kwadrans czekali, nim zobaczyli nadjeżdżający radiowóz. Nye opuścił szybę.

- Co tam?

- Fałszywy alarm - powiedział Webster. - Nastolatka postanowiła zagrać matce na nerwach.

- Tylko tego nam trzeba do szczęścia.

McGill stęknął niezadowolony.

- Wasza decyzja - rzucił Webster. - Może przydałoby się porozmawiać ze smarkatą, ale, moim zdaniem, po prostu wyżywa się na matce.

Nye przewrócił oczami.

Webster i Burrows ruszyli z powrotem do jednostki. Ujechali może kilometr, gdy znów odezwała się centrala.

- Doniesienie o poważnych obrażeniach ciała w miejscu waszego poprzedniego zgłoszenia.

- Niemożliwe - zdumiał się Burrows. - To był fałszywy alarm. Wygłup.

- Raczej nie - sprzeciwiła się dyspozytorka. - Dzwonili gliniarze, w tle było słycać krzyki.

Webster zawrócił, wcisnął gaz do dechy. Pod budynkiem wyskoczył z wozu i ruszył biegiem, myśląc o tym, że jeśli to dalszy ciąg wygłupu, Burrows każe dziewczynę aresztować. Pchnął drzwi. Po dziewczynie ani śladu, ale była matka, krzyczała na cały głos. Prawą stronę twarzy i szyi miała poparzoną, całą w pęcherzach. Włosy częściowo spalone.

- Jasna cholera - zaklął Webster cicho.

Nye starał się położyć kobietę na sofie.

- My się nią zajmimy - powiedział Burrows. - Macie dziewczynę? Pewnie jest na górze.

- McGill ją złapał. A razem z nią znalazł pustą butelkę po detergencie do czyszczenia sedesu. Tam leży. - Wskazał odpowiednie miejsce.

Burrows wyciągnął sprzęt do udrażniania układu oddechowego. Żrące opary mogły uszkodzić kobiecie gardło. Zaintubował ją, zaczął przygotowywać zastrzyk przeciwbólowy. Cały czas starał się uspokoić ofiarę.

- Kwas solny - rzucił pod adresem Webstera. - Trzeba go wypłukać. Przynies dużo chłodnej wody. Rany boskie, dostał się do oka. I policzek cały poparzony.

Burrows rozciął ubranie ofiary, bo na nim mógł w dalszym ciągu znajdować się kwas, zdjął jej biżuterię. Przykrył kocem. Zaaplikował przeciwbólowo fentanyli.

Wziąwszy od Webstera dzbanek z wodą, zaczął przemywać miejsca obrażeń, uważając, żeby nie splukać kwasu na zdrową tkankę.

- Byliście tutaj, tak? - spytał Nye.

- Tak - przyznał Webster. - I wszystko było w porządku.

Nye zmierzył go przeciągłym spojrzeniem.

- Wszystko wydawało się w porządku - poprawił się Webster. - Żadnych obrażeń.

- Dlaczego wyszliście?

Tym razem odpowiedział Burrows.

- Sprawa wyglądała na głupi dowcip. Dziewczyna mówiła, że facet matki ją zgwałcił i pobił. Uznałem, że kłamie, nie ma śladów pobicia.

- Zbadałeś ją?

- Nie. Nie pozwoliła się dotknąć.

- Zabierzecie matkę do Mercy, córką my się zajmiemy. Moim zdaniem obaj z żółtodziobem siedzicie w gównie po uszy.

Było gorzej, niż się spodziewali. W szpitalu zbadano córkę i odkryto liczne ślady molestowania seksualnego. Popełniono najmarniej dwa przestępstwa: piętnastolatka została zgwałcona i dziewczyna oblała kwasem własną matkę. Matka doznała poważnych poparzeń, między innymi rogówki.

- Dobiorą mi się do tyłka - powiedział Burrows, kiedy wracali na pogotowie.

- Nam się dobiorą - poprawił go Webster.

- Z nas dwóch to ja jestem szefem. Ja decyduję.

- Będę cię krył.

- Będziesz się od całej sprawy trzymał z daleka. Jasne? Wykonywałeś moje polecenia. Zapamiętaj sobie. Mnie z roboty nie wywalą. A ciebie? Wylecisz, zanim skończysz myć Rakietę. Jak cię będą pytać, odpowiesz, że wykonywałeś moje polecenia. Zrozumiano?

Webster pokiwał głową.

- Zrozumiano?! - zagrział Burrows.

- Zrozumiano.

- A wystarczyło siedzieć na czterech literach... - mruknął Burrows, kręcąc głową.

Websterowi zdarzyło się widzieć śmierć pacjenta i już wiedział, że to trudne przejście. Ale dopuścić do tragicznych

zdarzeń jedynie dlatego, że się odeszło z miejsca wezwania... Koszmar.

Minęli ratusz, ceglane ranczo, przekształcone w siedzibę władz. Piętrowa biblioteka o kamiennej fasadzie także wyglądała fałszywie, jakby kiedyś pełniła funkcję magazynu żywności albo ziarna. Webster nie był jajogłowym, ale nocami czytywał dla przyjemności.

Przejechali obok Keezera, o jedenastej trzydzieści panował tu ścisk, przed knajpą stały głównie pikapy z narzędziami i niebieskim brezentem na pace. Czy Sheila dostała pracę? Konkurencyjna Jak u Mamy wypadła z obiegu, ale taki Quilt Shop nadal sobie radził. Webster znał każdy sklep, każdą knajpę i każdy biznes w okolicy. Czasami ponad wszystko marzyło mu się, by zostawić za sobą granicę ze stanem Nowy Jork i pojechać dokądś, gdzie go jeszcze nie było. Do jakiegoś miasta, w którym nie znał nikogo.

Zostawili za sobą sklep z pamiątkami Liść Klonu, pizzerię Armanda i dom pogrzebowy Robertsów. W alejce za domem pogrzebowym znajdował się American Legion Hall, budynek, w którym zaledwie cztery lata wcześniej jego klasa odbierała dyplomy. Skręcił w lewo, dojechał pod budynek straży pożarnej. Zaparkował Rakietę tyłem, gotową do następnego kursu.

Burrows ruszył do wejścia, a Webster stanął przed Rakietą i zapatrzył się w przestrzeń. Na drzewach ciągle tkwił śnieg, który spadł minionej nocy, słońce zmieniało go w kryształki. Zatęsknił za nartami.

Ciekawe, czy Sheila jeździ na nartach. Raczej nie.

Zdarzyło mu się zerknąć na mapę, sprawdzić, gdzie dokładnie jest Chelsea. W okolicy nie odkrył ani jednego wyciągu.

Przeszedł pod drzwi garażu. Zobaczy ją, kiedy będzie wychodziła z pracy.

Bardzo chciał ją zabrać z tego pokoiku na werandzie, od dziwacznych wynajmujących, którzy żywili się batonikami Devil Dogs. Nie miał błędnego pojęcia, jak wyglądali, miał natomiast nadzieję, że nigdy ich nie spotka.

Jak ją stamtąd wyciągnąć? Nie mógł jej sprowadzić do rodziców. W żadnym razie. Miała tylko pieniądze wygrane w bilard i może tygodniową wypłatę. Najchętniej by wszedł razem z nią do samolotu i poleciał w jakieś ciepłe miejsce. Żeby mieć pieniądze na dwa bilety lotnicze, a nie roztrwonić oszczędności, musiałby pracować kilka miesięcy. No i gdzie polecieć? Na Florydę? Do Meksyku? We dwoje na plaży, on w spodenkach kąpielowych, ona w bikini, między nimi dwa kieliszki z piña coladą.

- Webster!

Odwrócił się w stronę drzwi dla pracowników.

- Czego tam kwitniesz, żółtodziobie? - spytał Burrows.

- Bałwana lepisz?

- Nie, skądże.

- Pamiętaj, że nadal jesteś na służbie.

Webster odsunął zasłony. Znał nazwę miasteczka, w którym się z Sheilą zatrzymali, ale widział je tylko nocą, kiedy przyjechali do hoteliku i wynajęli pokój ze śniadaniem, oboje wstawieni, ona bardziej niż trochę. Godzinę przed północą ulice były opustoszałe, natomiast teraz coś się na nich działo: na chodnikach piesi, zgięci w pół pod uderzeniami wiatru, na jezdniach pikapy, na warstewce lodu na śniegu - błada poświata. Pokój ze śniadaniem był pomysłem Sheili. Po ostatnich sobotnich wypadach, zakończonych sukcesem, przestawili się na wycieczki całodzienne, zatrzymując się w tanich barach. Jeździli coraz dalej od Hartstone. Tym razem Sheila postanowiła zorganizować wyjazd weekendowy. Webster czuł się niekiedy jak gumka recepturka, gotowa w każdej chwili powrócić na właściwe miejsce, na pierwsze dźwięki radiostacji pogotowia. Musiał się nauczyć ignorować te wezwania, kiedy nie był na służbie.

Miał na sobie tylko bokserki. W pokoju było gorąco, a nie mogli sami regulować temperatury. Poprzedniego wieczoru ciepło im pasowało. Po nieomal trzech miesiącach w Vermoncie Sheila nadal nie kupiła porządnej kurtki zimowej, czapki ani przyzwoitych butów. „Przecież niedługo wiosna”, odpowiadała za każdym razem, gdy Webster poruszał temat, jakby nie miała zamiaru nigdy więcej mieć zimą do czynienia. Przynajmniej w Vermoncie.

Dwa tygodnie po tej nocy pod księżycem nieomal w pełni Webster dostał awans na pracownika na pełnym etacie i od tego

dnia czas swojej zmiany spędzał na posterunku. Obsadzono go na wachcie cementarnej, od północy do ósmej rano. Sheila pracowała, jak sama nazywała knajpę, U Gejzera, a Webster się zastanawiał, dlaczego wcześniej nikt nie wpadł na pomysł takiego żartu. Po zakończeniu dyżuru poświęcał jeszcze około dwudziestu minut na rozmowę z następną zmianą, po czym szedł do knajpki na śniadanie. Sheila wyglądała zachwycająco w połyskliwym szarym mundurku z białym fartuszkciem. Zwykle mówiła mu, że robi wrażenie, jakby go z krzyża zdjęli, a on jej się odwdzięczał komplementem, twierdząc, zgodnie z prawdą, iż wygląda bardzo ładnie. Czasami udawało się jej pogłodzić go po dłoni. Raz objęła go ukradkiem, udając, że nachyliwszy się nad nim, zerka w artykuł z gazety rozłożonej przed nim na kontuarze. Dla Webstera śniadanie w tej knajpce było obowiązkiem, ale też wychodził niechętnie. Miał wrażenie, że Sheila jest narkotykiem, od którego uzależnił się po pierwszym kontakcie.

Niekiedy Sheila pytała o dyżur. Zawsze mówił wszystko o każdym przypadku, pozbywając się z głowy obrazów i zapachów. Nigdy nie pozwalała sobie na żartobliwe komentarze. Może wspomnienie własnego wypadku było jeszcze zbyt świeże.

Zastanawiał się, co ona robi nocami.

Czwartego dnia trzeciego tygodnia wrócił do jednostki z Burrowsem. Mieli za sobą fatalną noc, kiepskie przejścia. Webster wypakował Rakietę, zaniósł, ile dał radę, do wnętrza i ułożył na ladzie. Tak był zajęty wkładaniem sprzętu do basenów, tak skupiony na tym, by niczego nie upuścić, że nie zauważył jej, stojącej przy automacie z kawą. Zastanowiła go dziwna cisza, podniósł wzrok i dopiero wtedy zobaczył Sheilę w towarzystwie Callahana, nowego rekruta, który przyszedł na następną zmianę.

Na kilka chwil stracił zdolność ruchu. Skąd ona się tu wzięła, do diabła? Miała na sobie tę samą skórzaną kurtkę i czarny golf, jakieś inne džinsy. Włosy upięte. Przeszedł go dreszcz od pachwin po piersi i z powrotem.

Burrows położył mu rękę na ramieniu.

- Spokojnie, chłopie. W tym mieście nic się nie ukryje.

Webster podszedł do Sheili, Callahan się ulotnił. Jakiś marny żart przełamał ciszę w pomieszczeniu.

- Co ty tu robisz? - zapytał Webster.

- Przyszłam postawić ci drinka.

- Jest ósma rano. O tej porze w całym stanie Vermont nie znajdziesz ani jednego czynnego baru.

Oparła się o kontuar, przekrzywiła głowę.

- Wobec tego może w Albany? - zaproponowała kpiąco.

- To chyba miasto, o ile się nie mylę?

- Nie jadę do Albany.

Przyłożyła palec do policzka w udawanym namyśle.

- U mnie jest czynny bar - powiedziała w końcu, jakby jej to właśnie przyszło do głowy.

- O tej godzinie?

- A h a .

- Nie idziesz do pracy?

- Dziś jestem u dentysty - oznajmiła z szerokim uśmiechem. - W każdym razie tak sądzi Gejzer.

- Muszę wyczyścić i zapakować sprzęt. Potem pogadać z następną zmianą. Daj mi dwadzieścia minut.

Pracował solidnie, świadom spojrzeń innych ratowników. Gdyby któryś doniósł o tej scenie, dostałby za swoje. Powinien być na Sheilę zły, że naraziła na szwank jego pozycję w pracy.

Po wyjściu z jednostki wsiadł do samochodu, gdzie na miejscu pasażera czekała na niego Sheila.

Gdy znaleźli się w domku z pokojem na werandzie, objął szybkim spojrzeniem kuchnię, po czym chwycił Sheilę za rękaw kurtki, obrócił i pocałował. Uwolniła się z jego objęcia, zaśmiała głośno. Poprowadziła na werandę. Nie dbał o to, że są tak blisko drogi. Niech sobie patrzy, kto chce, choćby cały świat.

Usiadła na łóżku i rozebrała się niedbale, jakby była całkiem sama. Inna kobieta pewnie by z tego zrobiła przedstawienie.

Po raz pierwszy Webster zobaczył jej piersi, wzgórek łonowy, bliźnię na brzuchu.

- Cholera, aleś ty piękna - powiedział. Potem głową wskazał bliźnię. - Nie będzie bolało?

- Wątpię, żebym się tym przejęła - odparła. - Ale, jednocześnie, jeśli dalej będziesz stał bez ruchu, mogę zasnąć z nudów.

Sheila, która rozebrała się najzwyczajniej w świecie, przestoczyła się w kobietę namiętą, równie podnieconą jak Webster. Pewnie minie sporo czasu, zanim nauczą się nieco wolniejszego tempa.

Webster przyglądał się śpiącej Sheili. Mimo gorąca w hotelowym pokoju była okryta, prawie pod brodę, spod prześcieradła wystawało smukłe ramię, nagie, emanujące spokojem. Ciemne, lśniące włosy na poduszce jak zwiastun szczęścia. Gdzieś w tle kwiecista tapeta i wyblakłe reprodukcje. Ostatnimi czasy Sheila zmieniła się w turystkę.

- Podróżoholiczka się z ciebie zrobiła - powiedział kiedyś.

- Co to znaczy? Że muszę jeździć, żeby pić?

Webster wślizgnął się z powrotem do łóżka, chciał być przy niej blisko. Znał dotyk jej skóry, każdy centymetr, wewnętrzną stronę ramion, twarde mięśnie ud, rozkosznie zaokrąglone biodra. Jeśli budziła się z kacem, dobrze sobie z nim radziła, tylko bardzo chciało jej się pić.

Pogłodził ją po rękę, od barku do nadgarstka. Chciał ją obudzić. Lubił patrzeć, jak otwiera oczy, lubił w nich widzieć radość, gdy go dostrzegała. Czasami się uśmiechała. Zawsze miał pod ręką szklankę wody. Podpierała się na ramieniu, wypijała wodę, potem się kochali, a potem znów dawał jej szklankę wody, tym razem z dwoma exceedrinami.

Tego ranka obudziła się inaczej, jakby nie miała ochoty wracać do rzeczywistości. Webster cieszył się oczekiwaniem. Ale Sheila nagle usiadła sztywno, zatykając nos.

- Co tak śmierdzi?

Pociągnął nosem.

- Kawa? Skorzystałem z ekspresu w biurze. Dość paskudna, ale nie chciałem goły szukać kafejki.

Przeciagnął palcami po jej plecach, po całym kręgosłupie, od dołu do góry.

- Webster - odezwała się, przechylając głowę.

Nie podobał mu się ten ton. Czekał.

- Co się stało? - zapytał w końcu.

- Cholera.

Ona więcej z nim tego nie zrobi i właśnie teraz to powie. Zamknął oczy. Nie mógł jej powstrzymać.

- Wolisz prosto z mostu, czy mam owijać w bawełnę?

-Wal.

- Jestem w ciąży.

Zbaraniał. Ciąży nie brał pod uwagę.

- Na pewno?

Odsunęła włosy z twarzy, spojrzała mu w oczy.

- Ah a .

- Długo?

- Dziesiąty tydzień.

- Byłaś u lekarza?

- Tak.

Zapewne identyczny dialog wybrzmiał tysiące razy, wygłoszony przez tysiące par. Tyle że tym razem był wyjątkowy, jakby on był pierwszym mężczyzną znokautowanym przez tę wiadomość.

Wtedy pod księżycem prawie w pełni pytał ją, czy bierze pigułki, a ona pokiwała głową. Potem powiedziała, że woli krążek. Czy ona wtedy naprawdę kiwnęła głową, czy tylko mu się zdawało?

Cholerna biologia. Niewiele ją obchodziło, co robiła matka natura.

O mało nie zapytał, czy to na pewno jego, ale w porę ugryzł się w język.

Nie tędy droga.

- Sama nie wiem, jak to się stało - powiedziała. - Najpierw łykałam pigułki, a potem zaczęły mi się krwawienia, więc przeszłam na krążek... Jedno i drugie powinno działać.

Przyjrzał się narzucie. Rozmazane kolory z wolna odzyskiwały wyrazistość. Odnotował czerwone kwiaty na kremowym tle, niebieskie kwadraty, splot nitek w rogach deseni. Wyobraził sobie Sheilę jako szczęśliwą matkę, jej radość była zaraźliwa. Potem zobaczył oczyma wyobraźni kobietę planującą aborcję i wsparł ją w wykonaniu tego zamiaru. W końcu zjawiła mu się przed oczami przestraszona i równie zagubiona jak on.

- Będę bardzo dobrą matką - oświadczyła.

Webster zdębiał po raz drugi.

Przyglądała mu się, jakby wiedziała, że posunęła się za daleko, że jeszcze się nie otrząsnął z szoku.

- Skąd będziesz wiedziała, co robić?

Pocałowała go.

- Damy radę.

Nie zamierzała go pytać, jak się zapatruje na jej ciążę.

Webster znów wyobraził ją sobie szczęśliwą. Starał się zajrzeć przez skórę do wnętrza jej brzucha. Gdzieś tam, tuż pod blizną z wypadku, zagnieździło się jego dziecko.

Teraz wystarczyło zostawić sprawę własnemu biegowi.

Gdyby zadał jeszcze jedno pytanie, zorientowałyby się, że brak mu pewności, i potem, po narodzinach dziecka, nigdy by mu nie wybaczyła wahania, zawsze miałyby wątpliwości. A on by tego żałował. Kochał Sheilę, to wiedział z absolutną pewnością. Myśl o ewentualnym rozstaniu sprawiała ból. Zresztą przecież miał siebie za człowieka odpowiedzialnego, również za to nasienie kiełkujące w jej brzuchu. Mało tego. Przecież był nie byle kim, na litość boską. Sanitariuszem! Dlaczego nie założył kondomu?

Zmierzwiał jej włosy spadające na plecy. Lubił to podłużne wgłębienie na kręgosłupie. Pomyślał, że Sheila całkiem naturalnie osiągnęła stan, za który inne kobiety musiały płacić ciężkie pieniądze.

Dziecko. Stabilizacja. Wspólne mieszkanie. Będzie z nią cały czas, razem przejdą tę drogę. Na ile tylko będzie to możliwe. Pomyślał o długich nocach, kiedy go przy niej nie będzie, przez mgnienie zobaczył oczyma wyobraźni Sheilę ze śpiącym dzieckiem na kolanach, a pod łóżkiem szklaneczkę rumu. Wymazał ten obraz jak najszybciej.

Uprzytomnił sobie, ile wypija poprzedniego wieczoru, i poczuł się nieswojo. Dlaczego to zrobiła? Przecież wie. Ostatni poryw? Pożegnanie z rozpustą?

Zdusił w sobie gniew.

Tak wyglądało ryzyko. Największe i najpiękniejsze. Uza-
leżnić swoje życie od istoty delikatniejszej niż kiełek.

- Wchodzę w to - oznajmił.

W czystej koszuli, w spodniach khaki, odświeżony po drzemce, jaką sobie zafundował po piątkowym nocnym dyżurze, zastał ojca w kuchni, z dwoma piwami w ręku.

- Wypijemy razem? - zapytał Webster.

W czasie minionego roku zdarzało się niekiedy, że ojciec zapraszał go na wspólne popijanie piwa. Bywało, że na to przystawał. A kiedy indziej nie.

- Jasne - odparł ojciec, zadowolony, że syn postanowił spędzić trochę czasu ze staruszką.

Otworzył lodówkę łokciem.

- Ja wezmę - powiedział Webster.

Z butelką piwa w ręku poszedł za ojcem do salonu. Jeśli można powiedzieć, że ojciec był uszczęśliwiony, to matka wręcz promieniała. Webster skrzywił się w duchu. Gdyby wiedzieli, na co się zanoszą, nie byłoby tacy zadowoleni.

Zaraz pojawiła się kulka serowa naszpikowana siekanymi orzechami, a także krakersy.

- Ostatnio prawie się nie widzimy - powiedziała matka, dotykając włosów. Z uśmiechem poklepała poduszki obok siebie. - Bez przerwy pracujesz.

Pijała piwo w kieliszku do wina. Webster usiadł przy niej, starł z butelki wilgotną mgiełkę.

- Jeszcze parę tygodni - podjęła matka - i o tej porze siądziemy sobie na ganku. Tylko będę musiała go wysprzątać po zimie.

- Jak tam w pracy? - zagadnął ojciec. - Uratowałeś ostatnio kogoś znajomego?

Ojciec znał prawie wszystkich w Hartstone.

- Asa Bennet się wczoraj przewrócił - powiedział Webster, omijając słowo „pan”, czego by nie zrobił jeszcze dwa miesiące wcześniej. Niesamowite, jak jedna wiadomość potrafi zmienić relacje między ojcem a synem. - Złamał biodro.

- Oj, biedaczysko - westchnęła matka. - Ile to on już ma lat?

- Osiemdziesiąt cztery.

- A Alice zmarła... będzie ze dwa lata temu...

Trzy. Webster czytał akta pacjenta.

- Nie wiem, co robi po wyjściu ze szpitala - powiedział Webster. - Zwykle nie widuję pacjentów, kiedy wyzdrowieją. Czasem wiem, co się z nimi dzieje, ale częściej nie.

- Ależ ty masz pracę! - wykrzyknęła matka.

Webster znał ten okrzyk i nigdy nie wiedział, czy oznacza on: „Masz koszmarną robotę”, czy też: „Masz wspaniałą pracę, ratujesz ludzi”. Jeśli chodziło o stanowisko sanitariusza, prawdzie odpowiadało jedno i drugie.

Odchrząknął.

- Mam dziewczynę - oznajmił.

Matka zakrzuszyła się piwem. Webster poklepał ją po plecach.

- To dobrze - powiedziała, gdy odzyskała oddech, jeszcze z chrypką w głosie.

- Kto to taki? - zapytał ojciec z głębin przepastnego fotela, znanego od zawsze jako „ojcowski”.

- Nazywa się Sheila Arsenault. Pochodzi z Bostonu, ale zamierza się przeprowadzić do Vermontu.

- Znałam kiedyś Arsenaultów - zadumała się matka. - Ale oni byli z Quebecu.

- Długo ze sobą chodzicie? - spytał ojciec.

- Prawie cztery miesiące - odpowiedział Webster, przesadzając nieco.

- Co robi twoja dziewczyna? - chciała wiedzieć matka.

- Na razie pracuje jako kelnerka, ale rozgląda się za lepszą pracą.

- Gdzie pracuje? - dopytywała się matka.
- U Keezera. - Przykro mu było, że nie mógł wymienić lepszego miejsca. - Tylko na razie. Chwilowo.
- Rozumiem - powiedziała matka, bardziej zadowolona niż zatroskana. - Opowiedz nam, jak ona wygląda.
- Jest wysoka i smukła. Ma piękne ciemne włosy. Niebieskie oczy. Jest śliczna.

- Gdzie się poznaliście? - spytał ojciec.
- W restauracji - skłamał Webster, wiedząc, że prawda poprowadzi ich myśli w niepożądanym kierunku.

Ojciec już coś podejrzewał. Patrzył na Webstera, jakby się przygotowywał na wygłoszenie kazania. Od kiedy to Webster nabrał zwyczaju mówić rodzicom, że się z kimś spotyka?

- Zaproś ją do nas na obiad - zaproponowała matka, zapewne już układając jadłospis.

- Dzięki, zaproszę. Ale jest jeszcze jedna sprawa. - Pochylił się, wetknął prawie pełną butelkę piwa między kolana.
- Sheila jest w ciąży.

Rodzice zastygli w bezruchu, z uniesionymi rękami. W innych okolicznościach widok byłby komiczny.

Webster oddychał z wysiłkiem. Dom milczał, jak wtedy, gdy zostawał w nim sam. Poza tykaniem zegara, pstrykaniem lodówki i szumem ogrzewania - martwa cisza.

Matka opuściła kieliszek. Ojciec skończył piwo i głośno odstawił butelkę.

- Dziecko jest moje - powiedział Webster, chcąc mieć za sobą nieuniknione.

Ojciec odchylił głowę do tyłu.

- Skąd wiesz?

Zadał pytanie, którego syn zdołał nie zadać swojej dziewczynie.

- Wiem.

- Peter - odezwała się matka. - Masz dopiero dwadzieścia jeden lat!

- Prawie dwadzieścia dwa - sprostował Webster.

- Który to miesiąc? - zapytał ojciec.

Matka wyglądała, jakby miała się rozpląkać.

- Trzeci.

Prosty rachunek.

Ojciec odwrócił wzrok. Webster pomyślał, że teraz pewnie wstanie, wyjdzie z pokoju, a nawet z domu i nie będzie go najmarniej dwie godziny.

- Masz dopiero dwadzieścia jeden lat - powtórzyła matka, jakby nie mogła się uwolnić od tej jednej myśli.

Ojciec jednak nie wyszedł.

- Czy zamierza... - Jakoś nie potrafił skończyć zdania.

- ...Urodzić dziecko? - wyręczył go Webster. - Tak.

- Kochasz ją? - To matka.

Wreszcie łatwe pytanie.

- Tak. Bardzo.

Tylko że nawet wtedy, mówiąc te słowa, z całkowitym przekonaniem, jednocześnie zastanawiał się, czy wie, co to właściwie jest miłość, w tych okolicznościach.

Ojciec wyszedł z salonu i po chwili wrócił z trzema piwami. W ramach leczenia, nie świętowania.

- Ożenisz się z tą dziewczyną? - zapytał burkliwie.

Między nami, mężczyznami.

- Ona ma imię - powiedział Webster.

- My jej wcale nie znamy! - rozżaliła się matka, zanim ojciec zdążył go przywołać do porządku.

- Jakim cudem... - Ojciec zacisnął wargi, krótko potrząsnął głową.

- Tak, myślę, że się pobierzemy.

- Myślisz? - powtórzył ojciec.

- Nie chcemy się śpieszyć.

- Nie chcecie się śpieszyć? - Tym razem matka podjęła rolę echa. - Nie wierzę własnym uszom.

- Na litość boską, przecież jesteś sanitariuszem - zachnął się ojciec, zapewne mając na myśli wpadkę z antykoncepcją.

Webster zacisnął zęby. Oczywiście przygotował się na trudną rozmowę, ale niewiele to pomagało.

- Taki obrót spraw, a my jej nawet nie znamy? - powiedziała matka. - Nie tak sobie wyobrażaliśmy twoją przyszłość.

Webster milczał. Nie chciał prowokować rodziców. Oby nie padło więcej ciężkich słów, niż musiało. W ciągu pięciu minut... nie, nawet mniej, zaledwie trzech, matka przeszła od zachwytu do ciekawości, potem była wstrząśnięta, następnie rozgniewana i szybko zmierzała w stronę rozczarowania. Ojciec przestał na zde gustowaniu.

- Wiesz, że cię kochamy - zapewniła go matka. - Chodzi nam wyłącznie o twoje dobro.

Webster żałował, że nie porozmawiał najpierw z ojcem.

- Mamo, jestem dorosły. Ratuję ludziom życie. Pracuję. I to ciężko. Czasem na całodobowej zmianie.

- Wcale nie widziałeś świata - wyrwało się ojcu. Objął gestem ramion wszystkie te miejsca, których jego syn zapewne nigdy nie zobaczy.

- A r y ?

Ojciec zmrużył oczy.

- Posłuchajcie - odezwał się Webster. - Teraz zajmę się nauką, zostanę ratownikiem medycznym. Wtedy na pewno zarobię na nasze utrzymanie.

Ojciec duszkiem wypił resztę piwa. Webster czekał na nieuniknione beknięcie.

- Jaka ona jest? - zapytała matka.

Webster zastanowił się przez chwilę.

- Mocna. Ma silną wolę. Zabawna. Bardzo ładna. To już mówiłem. - Umilkł. - Lubi jeździć po całym Vermoncie, oglądać różne miejsca, czasami wycina nas dość daleko.

- Podróżoholiczka - podsumował ojciec, nadając temu określeniu negatywne znaczenie.

Webster przypomniał sobie, jak on to nazwał i błyskawiczną reakcję Sheili.

- Ma bostoński akcent. Myślę, że ją polubicie. - Wcale nie miał takiej nadziei. W najmniejszym stopniu. - Będziemy musieli znaleźć sobie jakieś mieszkanie. Nieduże. Myślałem o wynajęciu czegoś w mieście. Bliżej straży.

- Stać cię na to? - zapytał ojciec.
- Wystarczy w sam raz.
- No tak. - Matka usiadła prosto, wygładziła nogawki, jakby miała na nich rozłożony fartuch. - Kiedy chcesz ją zaprosić na obiad?

Jak zawsze orędowniczka pokoju, twardo stojąca na ziemi. Za co był jej wdzięczny.

- Teoretycznie mam wolny najbliższy weekend. Moglibyśmy się umówić na sobotę.

- Wobec tego postanowione - oznajmiła matka takim tonem, jakby wydawała wyrok.

- Powiedziałeś im? Jak poszło?

Sheila założyła ręce na piersi.

Webster wszedł do kuchni, rozejrzył się dookoła. Był głodny. W domu nie mógł zjeść, nie zdołałby niczego przełknąć.

- Rewelacyjnie - odparł.

Sheila zamknęła drzwi.

- Tak czy inaczej, załatwione.

- Masz coś do jedzenia?

Prześlizgnął się wzrokiem po jej brzuchu.

Dlaczego nic nie widać? Chociaż... chyba spodnie są ciaśniejsze w pasie? Tak, chyba ciaśniejsze.

- Zaczekaj tam. - Machnęła ręką w kierunku pokoju na werandzie.

Webster był wykończony, chociaż spał od dziewiętej do wpół do piątej. Wyczerpany na ciele i umyśle. Słuchał, jak Sheila krząta się w kuchni. Chętnie by wypił jeszcze ze dwa albo trzy piwa, ale nie spodziewał się ich dostać w tym domu. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Uznał, że rozmowa z rodzicami przebiegła stosunkowo dobrze. Ojciec nie wypadł z domu jak burza. Matka nie płakała. Otworzy się nowy rozdział w księdze rodzinnej. Oparł głowę o ścianę i zdrzemnął się, obudziła go Sheila, wchodząc z tacą. Postawiła ją na łóżku.

- Może usiądziesz przy stole?
- Spaghetti. - Uśmiechnął się. - Fantastycznie.

Usiadł przy kuchennym stole, podniósł wzrok na Sheilę i pierwszy raz tego wieczoru przyjrzał się dziewczynie uważniej. Czy mu się zdawało, czy twarz jej się zaokrągliła?

- Jak się czujesz? - zadał pytanie, od którego powinien zacząć, stając w progu.

- Dobrze. Nadal nie znoszę zapachu kawy, co mi stanowczo przeszkadza w pracy. Muszę od czasu do czasu wyjść na zewnątrz, sztachnąć się świeżym powietrzem.

- A poranne nudności?

- Porannych nie mam. Czasami po południu boli mnie głowa i czuję mdłości, ale tak strasznie nienawidzę rzygać, że sobie na to nie pozwalam.

- Ślicznie wyglądasz.

- O rany, ty naprawdę jesteś głodny.

Zwolnił.

- Masz chleb?

- Jasne.

- A masło?

- Koszmarnie było.

- Koszmarnie.

Siedzieli na krawędzi łóżka. Webster nie miał pewności, czy będą się kochać, czy nie.

- Na przyszłą sobotę jesteśmy zaproszeni na obiad.

- Będzie katastrofa?

- Tak czy inaczej, musimy to jakoś przeżyć. Nie ma rady.

- A może byśmy się gdzieś zaszyli i urodzili po kryjomu?

- powiedziała, przeczesując mu włosy palcami.

Miał nadzieję, że to żarty.

- Jeszcze jedno. Trzeba się rozejrzeć za jakimś mieszkaniem.

- Dla nas? - Odsunęła się, żeby mu zajrzeć w twarz.

- Jasne, że dla nas.

- Nie będziemy musieli mieszkać tutaj ani z twoimi rodzicami?

- Sheila, naprawdę uważasz, że to by było możliwe?
Zmierwiła mu włosy, cofnęła dłoń.

- Nie wiem, jak stoisz z kasą. Ja nieszczęśliwie.

- Razem chyba damy radę. Musimy znaleźć coś niedużego i blisko centrum.

- Blisko centrum? Tego miejsca, gdzie są sklepy i ludzie i będę mogła iść do pracy na piechotę? - spytała z szeroko otwartymi oczami.

Małżeństwo, u którego wynajmowała pokój na werandzie, pozwalało jej korzystać ze strasznie starego buicka. Twierdzili, że sami nigdy nim nie jeździli. Sheila musiała mieć samochód, żeby się dostać do pracy i potem z niej wrócić, a staruszkowie zapewne pomagali jej w tym z wielką chęcią. Nie nabijała się z nich już tak chętnie jak wcześniej.

- Szlag mnie trafia na tym zadupiu - powiedziała.

Północne krańce Hartstone z pewnością nie zasługiwały na miano zadupia. Chyba że miało się takie mniemanie o całym stanie Vermont.

Objęła go za szyję.

- Ale będzie fajnie.

Webster się uśmiechnął. Do tej pory nie przeszło mu przez myśl, że przyszłość może być fajna.

Rozpiął jej pasek, pogładził brzuch.

- Zaczyna być widać.

- Nieprawda.

- Idź, zobacz w lustrze.

- Nie mam lustra - przypomniała mu.

Rzeczywiście, w łazience wisiało jedynie okrągłe lustro nad umywalką.

- Pojedziemy gdzieś, gdzie jest duże lustro.

Zastanowił się. Jakieś miejsce publiczne, dostępne o tej porze. Bar? Lustro w damskiej toalecie? Zły pomysł. I nagle go olśniło.

- Giant Mart. Powinni mieć w damskiej łazience takie duże lustra, aż do umywalek. W butach na obcasie dałabyś rade się zobaczyć.

- Jakie to dziwne - powiedziała i pocałowała go w policzek.

- Kiedy znajdziemy mieszkanie... Zaczniemy szukać jutro, chociaż jest niedziela, najpierw kupimy duże lustro.

Przekrzywiła nieco głowę, pokręciła nią lekko.

- Będiesz mogła zobaczyć, jaka jesteś ładna. I jaka śliczna będziesz w ósmym miesiącu.

- Będę gruba.

- Będiesz przepiękna.

Ściągnęła brwi, a Websterowi przyszło na myśl, że nigdy nie widział u niej śladu próżności.

Rozpięła mu rękaw, zaczęła go zawijać.

- Na jakie mieszkanie nas stać? - zapytała.

Zerknął na własną rękę.

- Kiedy pomyślałem o wyprawdzie od rodziców, zrobiłem drobne rozeznanie - powiedział. - Kocham ich i lubię ich kuchnię, ale to już przeszłość. Obejrzałem kilka mieszkań. Z jedną sypialnią.

Sheila pogładziła go po ramieniu.

- Musimy mieć miejsce dla dziecka - przypomniała.

- Może znajdziemy trzy pokoje, jeśli będziemy mieć szczęście.

Jedynе mieszkanie z dwiema sypialniami i pokojem dziennym, jakie napotkał w czasie krótkich poszukiwań, cuchnęło padliną. Postanowił z samego rana przejść się do Carroll & Carroll, sprawdzić, czy nie przybyło w oknie coś nowego. I kupić niedzielną gazetę, przejrzeć ogłoszenia. Kłopot w tym, że mieszkanie musiało się znajdować w Hartstone. W jednostce był pokój z pryzcami i salka telewizyjna. Całe umeblowanie pochodziło od wdzięcznych pacjentów. W kuchni znajdowały się trzy łyżeczki. Webster nie rozumiał, dlaczego paramedycy zwyczajnie nie kupili tuzina łyżeczek. Nawet myślał, że sam to zrobi, ale na razie się nie ośmielił.

Znalezienie mieszkania może nie być łatwe.

- No dobra. - Podniósł się. - Jedziemy.

Sheila odsunęła dłoń od jego ramienia, wydawała się zagubiona.

- Do Giant Martu - przypomniał.

Wynajęli pierwsze mieszkanie, na które było ich stać, dwupokojowe, wielkości salonu rodziców, usytuowane nad lodziarnią. Szalę przeważały wyposażenie w postaci pralki i suszarki. Gdyby chcieli poszukać dłużej, może znaleźliby coś lepszego, ale to oferowano od ręki, a Webster się niecierpliwił. Skoro decyzja zapadła, chciał ją jak najszybciej wcielić w życie. Właściciel lodziarni powiedział, że mogą się wprowadzić, kiedy zechcą.

Rzeczy Sheili przewieźli w następną sobotę z rana. Natomiast Webster przeprowadził się dzień później, po sobotnim obiedzie z rodzicami. Nie chciał się wydać nadgorliwy, choć przecież i tak by się wyprowadził, żeby nie wiem co.

Gdy tylko zapłacił kaucję i pierwszy czynsz, we dwoje z Sheilą razem weszli do nowego domu. W kuchni mieściła się tylko jedna osoba, ale przy okrągłym stole, który Webster przywiózł z domu i postawił w salonie, mogły usiąść trzy. Instalacje były nie pierwszej młodości, jednak działały, a to Websterowi całkowicie wystarczało. W saloniku na suficie rysowały się zacieki. Niebieska wykładzina też nie wzbudzała entuzjazmu, lecz Sheila, spojrzawszy na nią, powiedziała, że kiedyś będą mieli własny kąpiel. A Webster wcale nie miał pewności, czy rzeczywiście tak się stanie.

Weszli do sypialni ze skośnym sufitem i jednym oknem. Zastanawiali się, gdzie postawić łóżko, i po krótkim namyśle wybrali jedyny kąpiel bez drzwi i okna. Potem pojechali do Giant Martu kupić szczotkę, kosz na śmieci, kilka naczyń, parę drobiazgów do łazienki i jedzenie na kilka dni. A zaraz po rodzicielskim obiedzie Webster wybrał się do sklepu ojca i kupił duże lustro dla Sheili. Mieściło się wyłącznie w jedynej

szafie, w sypialni. W przedpokoju zamiast szafy były haczyki na ścianie przy drzwiach wejściowych.

Sheila pożyczyła od pielęgniarki materace z pokoju na w randzie, na dwie noce, póki Webster nie przewiózł własnego łóżka. Pielęgniarka nie była zadowolona z tej nagłej przeprowadzki, mimo to na pożyczenie materaców się zgodziła. Webster wniósł je na górę.

- Najpierw pozamiatam, dobrze? - spytała Sheila.

Razem ułożyli materace na podłodze sypialni. Potem Webster zainteresował się, gdzie jest pościel.

- Ja nie mam - powiedziała Sheila.

- A ta, w której spałaś?

- Nie była moja.

- No a... ręcznik?

- Też nie.

- Będziemy musieli być ostrożni.

- Jak to?

- Trzeba ochrzcić mieszkanie - oznajmił z szerokim uśmiechem.

- Twój ojciec mnie rozpozna - odezwała się Sheila z siedzenia pasażera.

Sklep z narzędziami. Tam kupowała papierosy.

- Mam nadzieję, że nie zaszalałaś? - spytał.

- Nie, wzięłam tylko dużo papierosów.

- Nie paliłbym zbyt wiele przy obiedzie.

- O rany, trochę zaufania.

Ufał jej. Kiedy wyszła z sypialni, miała na sobie luźną sukienkę w kolorze gołębiej szarości. Nie była to rzecz szyta specjalnie dla ciężarnej, mimo to spokojnie mogła jej służyć. Sheila podpięła włosy, odsłaniając długą białą szyję i perełki w uszach. Do tego pończochy oraz białe buty na płaskim obcasie. Gwizdnął z podziwu, kazał jej się obrócić dookoła i powiedział, że wygląda pięknie. Faktycznie tak uważał, choć ledwo ją poznawał, i trochę go to speszyło. Jakby się przebrała w kostium teatralny.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł - wyznała już w samochodzie.

- Na tym etapie i tak nie mogę im się sprzeciwić. Zresztą urodzisz im pierwszego wnuka, więc muszę to zrobić. My musimy to zrobić.

- Nie masz wrażenia, że wszystko toczy się zbyt szybko?

Rzeczywiście. Cięża przyspieszyła normalny bieg spraw. Dużo później zdarzało mu się zastanawiać, czy w ogóle istnieje coś takiego, jak normalny bieg spraw. Gdyby Sheila nie zaszła w ciążę, co by teraz robili? Jeździli po okolicy? Przemieszkowali w motelowych pokojach? Jedno i drugie wydawało się odległe o całą wieczność.

Ledwo sam się oswoił z wieścią o ciąży, a jeszcze musiał przygotować na zmiany rodziców.

Ciąża. Bardzo istotne słowo.

Stawili się w domu rodziców dokładnie o wpół do siódmej.

- Siedź - powiedział Webster. - Obejdę samochód i pomogę ci wysiąść.

- Chyba żartujesz.

Ale jednak zaczekała. Kiedy otworzył drzwi, a ona wysiadła, patrzył na nią z dumą.

- Nie chciałbym wyjść na kompletnego dupka - powiedział cicho - ale byłoby lepiej, gdybyś wypluła gumę. Moja mama nie lubi dziewczyn żujących gumę.

- Jesteś kompletnym dupkiem - odcięła się Sheila, zawiązując gumę w paperek wyjęty z torebki. - Jak długo potrwa ten obiad?

Webster westchnął.

- Wytrzymasz ze trzy, cztery godziny?

- Jestem dorosła.

Matka Webstera, która specjalnie na tę okazję poszła do fryzjera, oznajmiła na wstępie, że cieszy się z poznania Sheili. Sheila odpowiedziała, że ona też się cieszy, a wzrok

matki zsunął się na talię dziewczyny, niezbyt dobrze widoczną pod sukienką z podwyższonym stanem.

Ojciec zachował rezerwę.

- Znam cię - oznajmił bez śladu uśmiechu. - Bajgiel z masłem zamiast topionego sera, karton Virginia Slims, czarna kawa. Stałaś z tym wszystkim przed sklepem, paliłaś papierosa. Zastanawiałem się, jakim cudem nie pogubisz zakupów.

- Karton przytrzymałam kolanami - powiedziała.

Nieszczęsny obraz utrwalił się w powietrzu.

- Nie widziałem cię dłuższy czas - oznajmił ojciec.

Webster wolał sobie nie wyobrazać, jak Sheila wyglądała w sklepie ojca. Znudzona? Naburmuszona? Zniecierpliwiona?

- Teraz mam pracę - powiedziała, podobnie jak Webster zawstydzona niekorzystnym pierwszym wrażeniem.

- Teraz masz inne plany, prawda, kochanie? - odezwała się matka, zręcznie zmieniając temat rozmowy.

Webster był jej za to wdzięczny.

- Chodźcie, chodźcie do środka - zaprosiła. - Przygotowałam drinki.

Webster usiadł obok Sheili, która trzymała ręce na kolanach. Zapytana, czego się napije, poprosiła o lemoniadę, która stała w pękatym dzbanku obok butelki z winem. Poszedł w jej ślady i jego matka także, wobec czego tylko ojciec zdecydował się na wino.

- O ile mi wiadomo, pochodzisz z Bostonu - zagrzmiał ze swojego fotela, jakby Sheila była głucha.

Miał na sobie białą koszulę z krawatem, ujarzmił włosy czymś, co nadało im połysk.

- Dokładnie z Chelsea.

- Co to za miejscowość?

- Miasteczko pod Bostonem. Większość ludzi widuje je tylko z mostu nad Mystic River.

Matka Webstera wydawała się zahipnotyzowana talią Sheili, teraz, na siedząco, odrobinę widoczną.

Webster milczał, niezdolny wymyślić żadnego tematu rozmowy. Z nerwów wyjada! orzeszki.

- Skąd się wzięłaś w Vermoncie? - zapytał ojciec, chociaż znał odpowiedź.

Sheila zerknęła na Webstera. Nie wiedziała, co powiedzieć, potrzebowała pomocy.

- Miała kłopoty z samochodem - przypomniał Webster.
- Już ci mówiłem.

- Jak się poznaliście?

- Tato, skończ z tym krzyżowym ogniem pytań - postawił się Webster.

Był gotów na konfrontację. Ojciec nie kupował obrazu Sheili jako słodkiej dziewczuszki. Wiedział swoje. Widział ją na parkingu.

Matki nie obchodziło, jak się poznali. Chciała rozmawiać o dziecku.

- Dbasz o siebie? Ja się zdrowo namęczyłam, zanim go sprowadziłam - spojrzała na syna - na ten świat.

- Mamo...

- Nie sugeruję, że u ciebie będzie tak samo - zastrzegła matka. - Każda ciąża jest inna, wiadomo.

- Mam nadzieję, że będę dobrą matką - powiedziała Sheila.

- Na pewno, kochanie, na pewno - przytaknęła matka Webstera.

Poklepała Sheilę po kolanie, ich dłonie zetknęły się po raz pierwszy.

Sheila zamrugała. Ojciec Webstera wbijał wzrok w jej twarz. Matka Webstera nie mogła oderwać oczu od jej brzucha. Webster był przerażony. Nadal mieli przed sobą przynajmniej dwie godziny rodzinnego obiadu.

Przy obiedzie Webster i Sheila mówili o mieszkanku nad lodziarnią, budząc u matki Webstera wspomnienia, jak to „Petey” uwielbiał różki czekoladowe z posypką cukrową.

Webster zamknął oczy.

Sheila pochwaliła pierwsze danie, zupełną grzybową na rosół z kurczaka, zaprawioną śmietaną, wzbogaconą drobnymi grzankami i ozdobioną listkami zielonej pietruszki. Webster domyślał się, że trudno jej było przełknąć tę potrawę, więc kiedy dokonała tego wyczynu, uznał ją za bohaterkę.

Ojciec postawił butelkę wina na stole, nalał trunku do kieliszka i podał Sheili, a ona, po krótkim wahaniu, przyjęła alkohol, czym zdumiała Webstera. Poczuł się w obowiązku wspomnieć, że zdaniem niektórych lekarzy, kieliszek czerwonego wina od czasu do czasu idzie na zdrowie matce, a nie szkodzi dziecku. Miał też ochotę powiedzieć ojcu, żeby się pieprzył, ale to by było w niewłaściwym stylu.

Spoglądał na zegarek tak często, że zaczął sprawiać wrażenie osoby z natręctwem. Sheila zapytała go, czy ma tej nocy zmianę, być może z nadzieją oczekując odpowiedzi twierdzącej.

Szybko wypita kieliszek wina i użyła słowa „chata”, opowiadając o przeprowadzce do mieszkania nad lodziarnią. Ojciec robił wrażenie zadowolonego, nawet się uśmiechnął. Albo pozbył się początkowego braku zaufania, albo potwierdził swoją ocenę jej charakteru. Zanim matka podała na stół bostońskie ciasto z kremem, Sheila była przy drugim kieliszku wina, a ojciec się śmiał. Flirtowała z nim, co strasznie irytowało Webstera. A może po prostu starała się być miłą, wykorzystając okazję, by przełamać lody?

Matka miała uśmiech na stałe przytwierdzony do twarzy i wydobywała się z mgiełki szczęśliwości jedynie wówczas, gdy ktoś się do niej zwracał. W pewnej chwili wstała, pytając, kto chce kawy.

Webster wiedział, że Sheili od zapachu kawy zrobi się nie-dobrze, więc podziękował, natomiast ojciec przystał z ochotą. Sheila pożarła kawałek ciasta z wilczym apetytem, powiedziała matce Webstera, że bardzo chciałyby nauczyć się je robić.

- Przecież jesteś z Bostonu, na pewno znasz to ciasto.

- Jadałam różne, które się tak nazywały, ale żadne się do tego nie umywało.

Gdy na stole pojawiła się kawa, Sheila przytknęła palce do nosa i zbladła jak ściana. Przez stół rzuciła Websterowi rozpaczliwe spojrzenie.

Odsunął krzesło.

- Oprowadzę Sheilę po domu. Nie widziała podwórza.

- Chętnie pomogę przy zmywaniu - zaproponowała Sheila słabym głosem.

- Nie ma mowy - zaprotestowała matka Webstera. - Idźcie.

Trzymając się za ręce, wyszli na podwórze. Obcasy Sheili ugrzęzły w miękkiej ziemi. Znaleźli się poza zasięgiem wzroku i słuchu rodziców.

- Zjadłeś wszystkie orzeszki, co do jednego! - szepnęła Sheila. - I cały ser.

- Strasznie się bałem, że powiesz coś innego, nie o zepsutym samochodzie. Musiałem jakoś zakończyć to przesłuchanie.

- Jak patrzę na twoją matkę, żałuję, że nie wcisnęłam poduszki pod sukienkę.

- Nie może oderwać wzroku od twojego brzucha.

- Jak myślisz, co o nas mówią? - spytała, zerkając na kuchenne okno.

Webster nie chciał wiedzieć. Ojciec na pewno wywodził, że nie ufa dziewczynie, a matka z pewnością broniła Sheili, mówiąc: „Dajże spokój, jest przemiła”. Na to ojciec pokręci głową i zostawi żonę samą przy zmywaniu naczyń.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, jak upiec ciasto bostońskie? - spytał Webster.

- No coś ty. Zjadłam w życiu tyle tego ciasta, że mogłabym nim zasypać Chelsea.

Następnego dnia po południu ojciec Webstera zjawił się w wynajętym mieszkaniu z kompletem narzędzi, w czasie kiedy syn przywiózł swój skromny dobytek. We dwóch wnieśli na piętro materace zabrane z sypialni na poddaszu.

- Ciasno - ocenił, zobaczywszy nowe lokum.

Matka kazała zabrać z piwnicy dwuosobową kanapę, całym przyzwoity mebel, jeśli nie zwracać uwagi na tapicerkę w kwiatki. Dołączyła także zasłony od kompletu, co Webster uznał za pewną przesadę, ale je docenił, gdy się okazało, że rozwiązują problem otwartych okien. Ojciec naprawił cieknący kran, załatał większe dziury w ścianach i sprawdził instalację elektryczną, instalując pokrywy na gniazdkach. Matka podarowała im nowiutką pościel, uznawszy, że ta z sypialni syna nie nadaje się do wspólnego domu. We dwie z Sheilą urządziły kąpiel do spania, a Webster, zerkając na nie kątem oka, miał kompletny mętlik w głowie.

Za szybko, stanowczo za szybko.

Nie potrafił cenić, jak się w tej sytuacji znajduje Sheila. Czy czuje się zdominowana? Czy też raczej jest uradowana, że została przyjęta z otwartymi ramionami?

Kobiety wyjęły z kartonów zdekompletowane talerze i szklanki oraz stary toster, wszystko wyszperane w piwnicy, ojciec i syn w tym czasie wypili po piwie. Webster uznał rodzicielską opiekuńczość za przejaw akceptacji. Może wczorajszą sprzeczkę wygrała jednak matka.

Gdy rodzice wyszli, stanęli we dwoje przy kuchennym blacie, obejmując spojrzeniem plastikowe pojemniki, zostawione przez matkę. W jednym była kawa, w innym ciasto, w pozostałych różne składniki na ciepłe danie. Kręcili głowami ze zdumienia. Jeszcze przed dwoma tygodniami mieli tylko siebie nawzajem. Spotykali się w tajemnicy. Teraz Webster żywił obawę, że tracą coś cennego. Ich związek nagle stał się wiadomy dla wszystkich, mógł być tematem komentarzy. Webster zataęsknił za hotelowym pokojem, gdzie gładził Sheilę po ramieniu, zanim się obudziła.

- Co im powiedziałaś, kiedy wychodzili?
- Podziękowałam im, a ty myślałeś, że co?
- Bo ja wiem?
- Twój ojciec mi się przygląda, kiedy myśli, że tego nie widzę. Jakby się bał, że coś ukradnę.
- Przyjechał nam pomóc.

- To prawda.

Webster objął ramieniem kobietę, z którą sypiał, która była jego przyjaciółką, która będzie matką jego dziecka, a pewnego dnia może także jego żoną.

- Otwieramy? - spytała Sheila, wskazując pojemniki z jedzeniem. - Umieram z głodu.

- Uwaga, jednostka w Hartstone. Mamy wezwanie na Deertrack Road czterdzieści pięć. Podejrzenie zawału, mężczyzna, lat siedemdziesiąt dwa. Zaburzenia mowy, widoczny paraliż lewej strony ciała. Żona na miejscu zdarzenia.

- Jedziemy - zarządził Burrows.

Już w karetce chwycił radio.

- Sześćdziesiątka w drodze. Wiemy, kiedy wystąpiły pierwsze objawy?

- W przybliżeniu kwadrans przed wezwaniem. Spodziewany czas przybycia?

- Sześć minut - poinformował Burrows i zakończył połączenie. - Czyli będziemy mieli dwadzieścia minut od zdarzenia. Wiesz, gdzie jechać?

Webster doskonale wiedział, gdzie jest ulica Deertrack. Chodził kiedyś z dziewczyną z tamtej okolicy. Kiwnął głową.

- Znasz człowieka? - spytał Burrows.

- Nie, a ty?

- Wcale.

Na miejscu Webster zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i zręcznie wjechał na podjazd posesji numer czterdzieści pięć. Obaj z Burrowsem chwycili wyposażenie, po czym sanitariusz i ratownik otworzyli frontowe drzwi. Dom był stary, zbudowany zapewne w latach dwudziestych, miał ciemne ściany, ciasne pomieszczenia, dodatkowo zastawione meblami.

Mężczyzna zwiślał z fotela, żona starała się go podtrzymać.

- Ja pana znam - powiedziała, zobaczywszy Burrowsa. - Pan jest tym przemiłym ratownikiem, który pomógł mojemu wnukowi z astmą.

Burrows? Przemiły? Przesada.

Ratownik sprawdził drogi oddechowe, podał tlen. Sanitariusz przyszykował notatnik i długopis.

- Muszę pani zadać kilka pytań - zwrócił się do kobiety.

I tak jeden spisywał historię choroby, drugi natomiast zajmował się pacjentem.

- Jak pan ma na imię? - zapytał Burrows.

Pacjent odpowiedział, lecz nie dało się go zrozumieć. Ratownik poprosił go o uniesienie nogi. Najpierw jednej, potem drugiej. Udało się unieść tylko prawą. Webster zapisał wynik badania pod adnotacją o zaburzeniach mowy. Następnie Burrows poprosił pacjenta, żeby się uśmiechnął. Lewy kącik ust pozostał w dole.

Diagnoza potwierdzona. Uszkodzenie prawej półkuli mózgowej.

- Idę po nosze - oznajmił Burrows.

- Proszę pani - odezwał się Webster - może pani podtrzymać męża prosto? O tak, pod lewe ramię. Chciałbym go zbadać.

Mężczyzna powiedział coś niezrozumiałego.

- Co mówi? - spytała żona.

Zaczynała panikować.

- Nie wiem, proszę pani, ale skoro w ogóle próbuje mówić, to już dobry znak.

Wrócił Burrows, Webster zdał mu raport.

- Ciśnienie dwieście sześćdziesiąt dwa na dwadzieścia osiem. Puls dziewięćdziesiąt dwa. Oddech dwadzieścia cztery. Podłączamy płyny. Czy może pan ścisnąć moje palce?

Coś poczuł, ale nie była to właściwa reakcja. Musiał określić stopień sprawności procesów poznawczych u pacjenta. Dowiedzieć się, czy na skutek udaru ucierpiało tylko motoryczne centrum mózgowe, czy też cała prawa półkula. Zajrzał pacjentowi w twarz.

- Jeśli pan mnie słyszy, proszę mrugnąć.

Jedno mrugnięcie.

Wszystko jasne.

- Nie działa się nic złego - powiedziała żona. - Całkiem nagle osunął się w fotelu.

- Może pani jechać z nami. Nie ma czasu na przebieranie. Proszę tylko włożyć buty i płaszcz.

We dwóch zanieśli mężczyznę do karetki. Pomogli żonie włożyć szlafrok i płaszcz, usiąść w karetce. Webster zatrzasnął tylne drzwiczki, wsunął się za kierownicę. Żona już płakała.

Jechał jak najszybciej. Przy udarze mózgu liczyła się każda minuta.

Burrows i żona pacjenta śpiesznie weszli na oddział, ratownik chwycił w drodze notatki Webstera. Sanitariusz zabrał się do spisywania wszystkiego, co trzeba było uzupełnić w karetce. Posprzątał ją, włożył odpady medyczne do odpowiedniego pojemnika, a potem stał przy drzwiczkach pasażera, czekając na Burrowsa. Słońce już dobrze wyszło na niebo, ale i tak niewiele mogło zdziałać w końcu kwietnia.

Jakiś lekarz, znany Websterowi z widzenia, wychodząc z budynku, pomachał mu przyjaźnie. Koniec dyżuru? Przerwa na kawę?

Chętnie też by wypił.

Gdzie ten Burrows?

Siedemdziesiąt dwa lata i zawał. Nic nadzwyczajnego. Małżeństwo pewnie żyło bez wstrząsów od lat, dzień podobny do dnia jak dwie krople wody. W pustym gnieździe, opuszczonym przez dzieci. Z pozorów sądząc, raczej się kochali, żona należała do osób opiekuńczych. Mieli siebie nawzajem. Może się czasem sprzeczali, a może nie. Będąc u nich w salonie, rozejrzał się za zdjeciami wnuków, żadnych nie znalazł.

Wreszcie pojawił się Burrows. Wsiadł do karetki.

- Długo cię nie było - rzekł Webster, zerkając na zegarek. Ponad pół godziny.

- Człowiek przeszedł drugi udar i zaraz potem trzeci, na oczach żony.

- W jakim jest stanie?

- Złym. Nawet fatalnym. Reakcje poznawcze na poziomie zerowym. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli z nim zostanę. Wiedziałem, że w razie nowego wezwania przyjdiesz po mnie.

- Biedaczysko - westchnął Webster. - Tak to już jest. W jednej chwili człowiek sobie siedzi spokojnie, popija kawę i czyta gazetę, a w następnej zmienia się w warzywo.

- Widziałem to już wiele razy - powiedział Burrows.

- I co, można się z tym oswoić?

Ratownik wsiadł do wozu.

- Można. Ale i tak za każdym razem człowiek dostaje w kość. Zawsze sobie myślę: to mógłbym być ja. Albo Karen.

- Też miewam takie myśli.

- Ty? - skrzywił się Burrows. - Jeszcze mało widziałeś.

- Jakie ma szanse ten pacjent?

- Zerowe.

Webster zaparkował przed lodziarnią. W pierwszym odruchu chciał od razu zanieść Sheili lody na górę, ale po namyśle uznał, że lepiej będzie ją najpierw o to spytać. Ostatnimi czasy grymasiła w sprawach jedzenia. Przeciągnął się, aż mu w stawach strzełiło. Sobotni ranek. Dyżur przedłużył mu się o cztery godziny, bo zabrakło ratowników. Zjadł na śniadanie ciasteczka z masłem orzechowym, przygotowane przez żonę Burrowsa, i czytał podręcznik z kursu na ratownika medycznego. Fascynowała go anatomia. Teraz jednak chciał się jedynie znaleźć w łóżku, koniecznie z Sheilą. Twarz miał odrętwiałą, widział niezbyt wyraźnie. Sheila powinna być w domu. Zwykle miała wolne weekendy.

Ciągle w służbowej kurtce, pokonał długie zewnętrzne schody prowadzące do mieszkania. Otworzył drzwi i zniechęcił się. Adrenalina uderzyła mu do głowy, jakby na coś wpadł i boleśnie stłukł. Przy stole, naprzeciwko Sheili, siedział gliniarz. Na pewno z drogówki. W sprawie prowadzenia pod wpływem.

Webster zamknął za sobą drzwi.

Nie z drogówki. Zbyt swobodny, rozparty w krześle, noga założona na nogę, i to z kostką na kolanie.

Potrzebował jeszcze dwóch sekund, żeby zwrócić uwagę na oznaczenia na mundurze. Chelsea. Massachusetts.

- Nie powiedziałaś mi, że to sanitariusz! - odezwał się byczek przy stole. - Spuściłaś z tonu, Sroczo. Od gliniarza do sanitariusza...

Sroczo?

Gliniarz miał taki sam akcent jak Sheila. Był potężny, ważył pewnie dobre sto kilo. Na pewno robił coś poza przesiadywaniem w radiowozie. Futbol? Ciężary?

- Co się dzieje? - zapytał Webster.

Dłonie same zacisnęły mu się w pięści.

- O nim ci mówiłam - wymamrotała Sheila z pobladłą twarzą.

Sama postawa wyjaśniała wszystko. Zgarbione ramiona, jakby Sheila starała się ukryć piersi, schować całe ciało. I drżała. Webstera ogarnął gniew.

Nie można jednak zadzierać z gliną, w dodatku cięższym o dwadzieścia kilo i ze spluwą w kaburze.

- Ej, Sroczo, zapomniałaś, jak mam na imię?

- To jest Brian Doyle - powiedziała Sheila, nie patrząc na Webstera.

A Webster miał ogromną chęć dopełnić prezentacji: facet, który lał w łóżko.

Gliniarz się nie ruszył, nie wyciągnął ręki.

Webster przyglądał mu się, czekając na jakiegokolwiek wyjaśnienie. Obcy miał na brodzie tyle blizn po trądziku, że jego twarz wyglądała jak przezuta. Oczy spłowiałe, zielonkawe, wyprane z koloru.

- Sanitariusz - powtórzył facet, jakby się rozkoszował znakomitym dowcipem. Cały czas kiwał głową. Oceniał Webstera. Szacował go od stóp do głów. - Co za niespodzianka! Jakiś sanitariusz z Vermontu dorobił brzuch mojej Srocze.

Dlaczego Sheila się nie odzywa?

- Wyjdź - powiedział Webster.

- Cooo? Przejechałem taki kawał drogi, a ty mi nawet nie zaproponujesz obiadu?

- Kawałek stąd jest restauracja.

Dał się wciągnąć w rozmowę.

Błąd.

- Muszę jeszcze ze Sroczką omówić parę drobiazgów.

- Nie w tym domu - oświadczył Webster.

- To ma być dom? Stary, dałbym się nabrać. - Gliniarz upił łyk kawy, całkowicie rozluźniony, jakby toczył pogawędkę z najlepszym przyjacielem.

- Jakich drobiazgów? - spytał Webster.

Drugi błąd.

- Widzisz, cholera, dziwka dała nogę - oznajmił gliniarz w tonie męskiej solidarności.

Sheila podniosła wzrok na Webstera. Położyła rękę na stole.

- Mówi, że jestem mu winna pieniądze - powiedziała.

- A jesteś?

Wzruszyła ramionami.

- Ile?

- Osiemset.

- Osiemset pięćdziesiąt - poprawił ją gliniarz.

Zakrył dłonią rękę Sheili.

Wzdrygnęła się.

- Zabierz łapę - rozkazał Webster, dygocząc z wściekłości.

Facet miał jakieś trzydzieści lat, może trzydzieści pięć. I ważył jednak raczej ponad stówę.

- Ej, mały, wyluzuj.

Dlaczego przejechał trzy stany w mundurze? Żeby mieć przy sobie broń? Podróż do Hartstone musiała trwać przynajmniej cztery godziny.

Websterowi brzmiał w uszach głos Burrowsa: „Nigdy nie podchodź do faceta z bronią. Nawet jeżeli jest ranny. Jego problem. W dziewięciu przypadkach na dziesięć facet strzela”.

- Kanciara - rzucił gliniarz. Przeniósł wzrok na Sheilę, potem znów na Webstera. - Ciebie też naciąga?

- Widzę, że nie dosłyszałeś, więc powtórzę. Wyjdź. Wynoś się. Won.

- Bo co? - Intruz przekrzywił głowę. - Wezwiesz gliny? - Na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

Webster wyobraził sobie, jak Nye i McGill zjawiają się z interwencją. Jak wodzą wzrokiem od niego do gliniarza i z powrotem.

- Co ci powiedziała? - spytał obcy. - W ogóle coś wiesz?

Sheila z trudem dźwignęła się od stołu, podeszła do kuchni i tak została, odwrócona do mężczyzn plecami.

- Na przykład, jak goła czekała na mnie na schodach, kiedy wracałem ze zmiany? Rozgrzana i różowitka, prosto z kąpieli... A ja przynosiłem jej whisky. Powiedziała ci, że uratowałem ją przed życiem na ulicy? - Zmierzył długim spojrzeniem plecy Sheili. - Wydaje ci się, że tobie będzie wdzięczna? Mieszkanko, bryka... Wygląda na to, że Srocza lubi korzystać z pomocy.

- Sheila - odezwał się Webster. - Weź kurtkę. Wychodzimy.

- Nic z tego - oznajmił gliniarz. - Najpierw interesy.

Webster milczał.

Obcy pochylił się do przodu, uda ledwo mu się mieściły między podłokietnikami krzesła.

- Powiem ci, jak jest, sanitariuszu. Zgłodniałem. Pójdę do tej restauracji i zamówię sobie, co tam mają przyzwoitego. A jak skończę kawę, Sheila ma siedzieć na krześle obok, z kopertą w rękę. A w kopercie banknoty o dużych nominałach.

Wstał.

- Nie idź do restauracji - powiedział Webster, nienawidząc samego siebie za to, że się w ogóle odzywa. Mimo wszystko nie mógł mu pozwolić jeść U Keezera. - Idź do pubu w gospodzie.

Gliniarz znów pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

- Przytomny z ciebie chłopak. Ale idiota. Nie trać czasu dla tej dziwki.

Jeszcze nigdy dotąd Webster nie miał tak wielkiej ochoty komuś przyłożyć. Z całej siły wyrzucił pięścią w głowę. Opanował się cudem, odsunął na bok, robiąc przejście.

Gliniarz włożył czapkę, teraz wyglądał na służbistę.

- W Chelsea nie przetrwałbyś dziesięciu minut - rzucił.

Sheila odwróciła się do Webstera w tej samej chwili, gdy zamknęły się drzwi.

- Przepraszam - powiedziała, przyciskając oczy palcami, jakby chciała wycisnąć spod powiek obraz gliniarza.

- Po co go wpuszczasz?

- Nie chcący. Usłyszałam kroki na schodach, myślałam, że to ty. Otworzyłam drzwi, a on wszedł.

Webster miał miękkie kolana. Powiesił płaszcz na oparciu sofy i usiadł.

- Jak cię znalazł? - zapytał.

- Wolne żarty.

- Miałem ochotę go przerobić na miazgę.

- Bałam się, że nie wytrzymaś.

- Chodź. - Podsunął krzesło. Nie to, w którym usadził zad gliniarza z Chelsea. - On jest groźny. Skurczysyn.

- Nie zostawi nas, póki mu nie zapłacę - powiedziała cicho.

- A z czego mu zapłacisz?

- Coś wymyślę.

- Ile odłożyłaś?

- Chyba ze dwieście. Chciałam kupić buicka.

- Skąd te osiem i pół stówy?

- Z zakładu.

- O co?

- O bilard.

- Przegrałaś? Ty przegrałaś?

- Czasami nie powinnam grać.

Webster głośno wypuścił powietrze.

- Naprawdę mieszkałaś z tym facetem?

Sheila zerwała się gwałtownie.

- Cholera żeż jasna. - Webster także wstał. - Wezmę pieniądze i mu zawiozę.

Sheila przeszła do sypialni, podniosła materac i dała Websterowi dwieście dolarów.

- Ja powinnam iść.

- Ale nie pójdziesz.

- Czekaaj, muszę się zastanowić.

Webster czekał.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - powiedział w końcu.
- Albo mu dam pieniądze, albo wezwę gliny. Wzywać gliny to idiotyzm, po prostu wróci kiedy indziej, a wtedy nie będzie chyba taki sympatyczny.

Sheila milczała.

Webster już nigdy nie uwolnił się od obrazu Sheili rozgranej i różowiotkwej, prosto z kąpieli, czekającej na gliniarza na schodach.

Pojechał do banku i podjął pieniądze. Zignorował zaciekawione spojrzenie kasjerki, Steph, która z pewnością zastanawiała się, na co postanowił je wydać. Poszedł do pubu, doskonale wiedząc, że nie powinien temu zdziercy dawać ani grosza. Ale co by się stało, gdyby gliniarz nie dostał kasy? Nie chciał o tym nawet myśleć.

Wszedł do mrocznego wnętrza. Glina kończył porcję ciasta cytrynowego z bezą. Od tyłu wydawał się jeszcze większy niż w mieszkaniu. Webster położył kopertę na stole.

Mężczyzna obrócił głowę.

- E, fiucie, powiedziałem, że ma przyjść Sheila.

- Chcesz pieniądze czy nie? - zapytał Webster spokojnie.

Gliniarz wysunął dolną szczękę i przez jakiś czas milczał. Wreszcie kiwnął głową i zaśmiał się drwiąco.

- Nie waz się do niej wracać - ostrzegł go Webster.

- Bo co?

- Bo cię zabiję.

Odwrócił się i odszedł. Nie zobaczył drwiącego uśmiešku na twarzy gliniarza z Chelsea.

Zastał Sheilę przy kuchennym stole. Wyglądało na to, że od jego wyjścia nie ruszyła się z miejsca. Twarz miała bladą jak ściana.

- Jak poszło? - spytała.

Webster z półobrotu wyrzwał pięścią w ścianę. Jęknął z wściekłości i z bólu. Wiedział, że niedługo będzie go bolało znacznie bardziej.

Przymknął oczy. Słyszał, jak Sheila wstaje, zawija łód w ścierzkę. Otworzył oczy.

- Nic o tobie nie wiem - powiedział.

Sheila stała z zawiniątkiem w rękach. Milczała.

- Najwyższy czas, żebym się dowiedział.

Skończyła mówić dopiero o zmierzchu. Przykładała Websterowi zimne kompresy. Wypaliła dwa z dziennej porcji trzech papierosów, ale nie zrobiła sobie drinka. Ciągłe na nowo podejmowała wędrówkę po pokoju. Tam i z powrotem, tam i z powrotem po ciasnym salonie.

Webster słuchał z uwagą.

Opowiedziała mu o ojcu, który pił. Siódme urodziny córki spędził w miejskim areszcie, zresztą akurat wyniósł się z domu. Opisała też matkę, która pracowała jako szwaczka, a także jako kasjerka w sieciowym sklepie J.J. Newberry's, gdzie sprzedawano drobiazgi po pięć i dziesięć centów. Dawała z siebie wszystko i bardzo się starała, tyle że nigdy jej nie było w domu. Umarła zbyt młodo, na raka okrężnicy. Sheila miała wtedy trzynaście lat. Razem ze starszą siostrą, Nancy, została przygarnięta przez krewnych mieszkających trzy przecznice dalej. Ciotka chętnie przyjęła dziewczynki, wujek nie. Bił je paskiem. Najgorzej zawsze obrywało się

Nancy, chociaż była dobrą uczennicą, a Sheila nie. Sheili nie zależało.

Potem opowiedziała Websterowi o tym, jak podjęła pracę kelnerki w Chelsea, w mieście, gdzie rządziły gangi, narkotyki i zbrodnia. Na ulicach było niebezpiecznie, zwłaszcza nocą, kiedy wracała z pracy. Stale ją zaczepiano i straszono albo zaczepiano i bito. Opowiedziała o gliniarzu, który przyszedł do włoskiej restauracyjki, gdzie pracowała, a kiedy wychodziła z pracy, odprowadził ją do samochodu. Potem już nikt jej nie zaczepiał. Gliniarz ułokował ją w piwnicznej norze, gdzie towarzystwa dotrzymywały jej szczury, ale jednocześnie znalazła się wreszcie poza zasięgiem ciotki i wujka.

I o tym, jak się przekonała, że bezwiednie zamieniła jeden koszmar na drugi. Pomięta kwestię siniaków, które Webster widział na własne oczy, ale i tak, zanim słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, miał ochotę odszukać gliniarza, zmiażdżyć mu nos i powybijać zęby.

- Jest żonaty - powiedziała Sheila - i ma dzieci. Kiedy nazwał mnie dziwką, wiedział, co mówi.

Nie płakała. Nie użalała się nad sobą.

Trzymała w dłoniach rękę Webstera i delikatnie ją masowała. Opowiedziała o tamtej nocy, kiedy usłyszała od przyjaciółki, że gliniarz pił od południa. Włożyła do torby kilka drobiazgów, wsiadła do cadillaca i ruszyła w drogę. Na granicy z New Hampshire zatrzymała się na wizytę w ubikacji, wypła dwa drinki. Godzinę później zrobiła następny postój, znów skorzystała z toalety i wypła następnych parę drinków. Alkohol pomagał walczyć ze strachem. Bała się, że gliniarz przez cały czas jest tuż-tuż.

- Jechałaś do Nowego Jorku - domyślił się Webster.

- Jechałam przed siebie, jak najdalej.

- I zakończyłaś podróż na moim kawałku drogi.

- Można to tak ująć.

Długi czas Webster siedział i rozważał wszystko, o czym usłyszał, Sheila przygotowywała kolację. Cała historia stanowczo mu się podobała, ale nadal kochał Sheilę. Postanowił

uznać jej przeszłość za „czas przed Vermontem”, a drzewo, na którym cadillac zakończył służbę, potraktować jako grubą kreskę oddzielającą przeszłość od terażniejszości. Doszedł do wniosku, że jest w stanie zaakceptować taki obrót spraw.

Zjedli kolację, Sheila zmyła naczynia. Była milcząca, jakby w długiej przemowie zużyła wszystkie słowa. Kiedy skończyła z naczyniami, posadził ją na sofie, objął i czekał, aż oczyści się atmosfera.

Sheila weszła do domu i obwieściła, że musi natychmiast wziąć prysznic. Zrzuciła z siebie służbowy strój, jakby ją parzył. Po wyjściu z łazienki najpierw pozbierała wszystkie części ubrania i wsadziła je do pralki, potem dopiero stanęła przed Websterem: świeżo umyta, z wilgotnymi włosami.

Promieniała. Choć nie znosiła chodzić do lekarza, Webster pilnował, żeby teraz punktualnie stawiała się na comiesięczne kontrole i łykała witaminy.

- Z jakiegoż to powodu chciałaś się w tempie ekspresowym pozbyć ubrania? - spytał żartobliwie, kiedy usiedli przy grillowanym steku z wołowiny. - Czyżby to mój urok osobisty wywarł na ciebie tak nieodparty wpływ?

- Gejzer poklepał mnie po brzuchu. Normalnie w sumie wszystko mi jedno. Moje ciało i tak już nie jest moje. Ale tym razem dostałam gęziej skórki i zrobiło mi się niedobrze.

Webster kupił świece i obrus. Sheila niczego nie zauważyła.

- Teraz już możesz być spokojna. - Włożył do ust kawałek mięsa.

Dłuższą chwilę rozglądała się po pokoju, jakby czegoś szukała. Potem przygasła. Wzięła w rękę widelec, ale nie tknęła ani mięsa, ani pieczonego ziemniaka, ani zielonego groszku.

- Może bym jutro odmalował sypialnię?

Podniosła do ust kieliszek z wodą, opróżniła go jednym haustem i odstawiła puste szkło na stół. Webster ujął jej dłoń. Drgnęła.

- Chciałbym cię o coś poprosić - powiedział i uśmiechnął się szeroko.

Ona nie. Ostrożna, skupiona.

- Wyjdiesz za mnie? - spytał.

Sheila zamarła w bezruchu, z uniesionym widelcem. Po chwili odłożyła sztuciec.

- C o ?

Webster milczał.

- Ale niespodzianka...

- Sheila...

- Musimy akurat teraz?

Webster puścił jej rękę.

- A l e co?

- Gadać, planować, myśleć o przyszłości...

- Cały czas planujemy i myślimy o przyszłości.

- Nie konkretnie.

- Raczej jednak konkretnie. Będziemy mieli dziecko.

To dość konkretna sprawa.

Zacisnęła wargi.

- Sheila, co się dzieje? - Usiadł prosto. - Właśnie ci się oświadczam.

Potarła oczy wnętrzem dłoni.

- Dobrze jest, jak jest - odparta znużona. - Lepiej nie mącić.

Skórę miała zaróżowioną od gorącej wody, proste, wilgotne pasma włosów wsunęła za uszy. Nie była umalowana, malowała się, tylko kiedy wychodziła, więc wiedział, że widzi jej prawdziwą twarz, dosłownie i w przenośni.

- Nie oświadczam się dlatego, że jesteś w ciąży.

- Wiem.

- No to o co chodzi?

- Po co te formalności? - spytała, zapalając papierosa.

Patrzył na nią bez słowa.

- Widzisz? - powiedziała. - Chcesz, żebym nie paliła.

- T a k .

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz dlaczego.

- Widzisz?! Właśnie o to chodzi! Nienawidzę tych wszystkich cholernych zasad! Duszę się przy tobie!

Potrzebuje drinka, pomyślał Webster.

W tej sytuacji nie mógł się z nią kłócić dalej. Nie było sposobu, by ją przekonać, że nie chce drinka albo że kłóca się dlatego, że ona ma ochotę się napić. Przede wszystkim bardzo chciał jej przypomnieć, że nie może pić z powodu tego kiełka wielkości małego palca, który rośnie w jej brzuchu. I tak by go nie słuchała. Mógł ją jedynie zająć czymś innym, podobnie jak postępował z alkoholikami.

- Cofam pytanie - oznajmił. - Nie chcę się z tobą żenić.

Podniosła wzrok.

- Zdecyduj się.

- Przedtem chciałem, ale teraz już nie chcę.

- Nabijasz się ze mnie?

- Wyglądam, jakbym się z ciebie nabijał?

Zdusiła papierosa, wzięła w rękę widelec i zjadła trochę zielonego groszku. Za nią, pod parapetem, stała pusta butelka po płynie do mycia okien. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia.

- Mam zmianę - powiedział, spoglądając na zegarek.

- Jak to? Przecież jest piątek.

- Nowy zadzwonił, że jest chory.

- Jest jakiś większy złotodziób niż ty?

Webster odepchnął krzesło. Czuł ogromny ciężar w pierśsiach.

- Kłamiesz - powiedziała.

Kłamał, ale się nie odezwał.

- Bo nie chcę z tobą rozmawiać o małżeństwie, tak? - ciągnęła, popijając wodę.

Webster przesunął wzrokiem po świecach i posmutniał. Po co ta cała zabawa w dom?

Poszedł do sypialni, żeby się przebrać. Nie miał gdzie się podziać, ale i tak włożył służbowe ciuchy. Chwycił radio i pas z ekwipunkiem.

Kiedy wyszedł z sypialni, Sheila stała pod drzwiami wyjściowymi. W rękę trzymała plastikowy pojemnik z resztkami obiadu.

Webster zatrzymał się tuż przy sypialni.

- Chcesz też nóż i widelec? - spytała Sheila.

- Mamy sztucce w jednostce.

- Ożenisz się ze mną?

- Nie.

- Proszę cię.

- A co z zasadami? I z duszeniem się?

- Do diabła z zasadami. Wymyślmy własne.

- Na przykład?

- Możemy się pobrać na tym twoim kawałku ziemi, na świadków wziąć bezpańskie psy.

- To nie jest mój kawałek ziemi.

- Drobiazg - rzuciła lekko.

Poznał jednak po tym, jak odwróciła wzrok, że dokładnie w tej chwili dotarło do niej rozwiązanie równania, które Webster poznał już dawno. A mianowicie: Webster + Sheila + dziecko = brak pieniędzy na kupno ziemi. Ziemia jako taka nie miała znaczenia bez Sheili i dziecka. A będzie potrzebował każdego grosza, także pieniędzy odłożonych na kupno ziemi, żeby utrzymać ich troje, kiedy dziecko przyjdzie na świat. Jeśli będzie trzeba, dorobi zmianami całodobowymi.

Wędrowała spojrzeniem przez kąty pokoju, podłogę, wreszcie zatrzymała wzrok na jego twarzy.

- Tak nie można - powiedziała. - Oszczędzałeś tyle lat...

Nie przypomniał jej, że pozwoliła, by zapłacił gliniarzowi.

- Ej, ej! Nie przejmujemy się zasadami, pamiętasz? Mogę robić, co mi się żywnie podoba.

- Tu nie ma z czego żartować. Sprawa jest poważna.

- Oświadczyń to też poważna sprawa.

Jakiś czas patrzyła na niego bez słowa, wreszcie uśmiechnęła się lekko, jednym kącikiem ust.

- No to gdzie ten pierścionek? - spytała.

Wyciągnął z kieszeni spodni niebieskie pudełeczko od jubilera. Miał zamiar zabrać je ze sobą, żeby przypadkiem nie znalazła go pod jego nieobecność. Wyjęła mu je z ręki, otworzyła. Niewielki brylant w złotej oprawie.

- Jezu Chryste! - Aż się zatchnęła. - Ja żartowałam.

Pobrali się u kongregacjonalistów, gdzie Webster przeszedł konfirmację. Zaraz po niej dał sobie spokój z religią. W sprawach duszy miał bardzo ambiwalentne odczucia.

Na ceremonii zjawili się rodzice Webstera oraz Burrows z żoną, Karen. Przyjechało także dwoje kuzynów z Northeast Kingdom. Ze strony Sheili nie pokazał się nikt, a Webster w którymś momencie podczas mszy odniósł dziwaczne wrażenie, że jego narzeczona, która za chwilę miała zostać jego żoną, tkwi zawieszona w powietrzu, jakby miała się rozpuścić i zniknąć, kompletnie pozbawiona korzeni. Jej siostra, jedyna krewna, która mogłaby przyjechać na ślub, była w dziewiątym miesiącu ciąży i nie mogła podróżować. Sheila najwyraźniej się tym nie przejmowała.

- Najbardziej bym chciała, żebyśmy byli tylko we dwoje - wyznała poprzedniego wieczoru.

Miała na sobie sukienkę z podwyższoną talią, czarną, co zdumiało Webstera, który nie brał udziału w jej przygotowaniach do ślubu, ale był przekonany, że sukienka będzie biała. Po ceremonii, gdy wygłosił pochlebny komentarz na temat sukienki - eleganckiej, z jakiegoś lejącego się materiału, podkreślającej korzystnie barwę skóry Sheili - dowiedział się od żony, że zależało jej na kupnie ciuszka, który będzie mógł włożyć jeszcze przy innej okazji.

- Na następny ślub? - zapytał.

Trzepnęła go bukietem. Wybrany przez jego matkę.

Ośmioro weselników przeszło w złocie lipcowego zachodu słońca do sali w gospodzie Niedźwiedzia Gawra. Kuzyni Webstera, Joshua i Dickie, obaj farmerzy, mieli żywe poczucie humoru, Webster słabo przypominał to sobie z czasów

dzieciństwa, kiedy widywali się częściej. Ich żarty rozruszały Burrowsa, a kiedy ten wypił kilka głębszych, już nic nie mogło go powstrzymać. Webster siedział odchyłony na oparciu i gładził Sheilę po ramieniu. Z przyjemnością patrzył na matkę, która ze śmiechu o mało nie wpadła w histerię. Nawet Sheila włączała się niekiedy w rozmowę, chociaż czasem przez długie minuty była dziwnie milcząca.

- Wszystko w porządku?

Odwrociła się do niego. Miał wrażenie, że widzi łzy wzbierające w kąciakach jej oczu. Oparł się łokciem na stole, żeby ją zasłonić przed gośćmi. Nigdy nie widział, żeby Sheila płakała. Przyjrzał jej się z bliska. Łzy go przerażały.

- Co się dzieje? - zapytał, biorąc ją za rękę.

- Nic, wszystko w porządku.

Pomyślał, że to może samotność w czasie mszy, tęsknota za rodziną, i już miał powiedzieć, że teraz on jest jej rodziną. On i ta istota w brzuchu.

- To strasznie głupie - powiedziała. - Przecież ja nigdy się tak nie zachowuję. Po prostu jestem szczęśliwa. - Oparła głowę na jego piersi, zawstydzona emocjami.

Zamknął ją w objęciach.

- Nawet nie marzyłam o takim szczęściu - wyszeptała. - Nigdy w życiu. Nie zasługuję na ciebie.

- Wolne żarty, moja droga - tchnął jej w ucho. Słodkie słówka między nowożeńcami. - To ja jestem największym szczęściarzem na świecie. Rozwaliłaś samochód dokładnie na moim kawałku drogi, i to akurat wtedy, kiedy byłem na służbie. Jakie są szanse, że człowiek w ten sposób spotka miłość swojego życia?

Zadrżała od śmiechu.

Podał jej chusteczkę wyjętą z kieszeni. Gdyby spojrzął w tej chwili na ojca, który nalegał, by miał taką w garniturze, ten był się uśmiechnął. Tulił Sheilę, aż się pozbierała.

- Naprawdę bardzo mi się podoba twoja sukienka. - Korzystając z okazji, pogładził Sheilę po cudownie krągłym udzie.

- Rozmazał mi się tusz?

Odsunął się i przyjrzał jej twarzy.

- Prawe oko, tuż pod zewnętrznym kącikiem.

Wytarła tusz, oddała Websterowi chusteczkę. Podniosła kieliszek szampana, w którym do tej pory ledwie umoczyła usta.

Matka Webstera pochwyciła ten gest kątem oka.

- Moja kochana! - wykrzyknęła. - Nie mogłam się do-
czekać!

Trąciły się kieliszkami.

Wieczorem wylądowali we własnej sypialni. Była to pierwsza z trzech nocy miesiąca miodowego. Postanowili odpuścić sobie wyjazd. Webster był szczęśliwy w kokonie z pościeli, zadowolony z perspektywy jeszcze dwóch dni wolnego. W poniedziałek kupią fotelik samochodowy i łóżeczko - z pieniędzy, które dostali w prezencie ślubnym od rodziców. Jutro zdecydują, gdzie ustawią łóżeczko, w którym miejscu ciasnego mieszkania wykroją kąt dla dziecka. Ale tej nocy nie mieli żadnych zmartwień i żadnych planów. Matka Webstera, dobra i zaradna kobieta, umówiła w gospodzie dwa obiady i zagospodarowała resztki tortu. Wszystko to oddała Sheili po przyjęciu.

- W miesiącu miodowym kobieta nie gotuje, niezależnie od kosztów - oznajmiła.

Sheila po raz pierwszy ją uściskała.

Webster wystawił matce za dobre chęci ocenę celującą. Zachowywała się jak ich najgorętsza wielbicielka. Cóż, w końcu Sheila miała coś, czego matka Webstera bardzo chciała: wnuka.

Położył dłonie na brzuchu żony.

To jest teraz moja rodzina, pomyślał.

Sheila w jego objęciach raz po raz budziła się i zasypiała.

- Mam skurcze - powiedziała Sheila, gdy o wpół do dziewiątej Webster stanął w drzwiach mieszkania.

Noc minęła względnie spokojnie. Niezbyt dużo wezwań i żadnego poważnego wypadku.

- Niezbyt mocne - uściśliła.

Dopiero co zaczął się dziewiąty miesiąc. Siedziała przy kuchennym stole, przed nią stała szklanka z wodą, szlafrok ledwo okrywał wystający brzuch. Z trudem dawało się związać końce długiego paska. Cięża bywała niekiedy zabawna.

- Braxtona Hicksa? - zapytał.

- Chyba tak.

Szkolę rodzenia zaliczyli razem, chociaż Webster i tak wiedział wszystko, co trzeba. Zatrzymał to dla siebie, nie chciał zniechęcać Sheili do zdobywania informacji, które musiała sobie przyswoić. On odebrał poród w pierwszym miesiącu służby w jednostce. Burrows twierdził, że przy drugim dziecku rodzice zawsze spóźniają się na porodówkę. Webster znał się na naczyniach krwionośnych. Wiedział, jak wygląda żyła w pępowninie, widział oczyszczanie dróg oddechowych za pomocą odsysania i znał wagę sekund oczekiwania, aż dziecko się zaróżowi, pamiętał spiczaste główki noworodków. Pielęgniarki zakładały im czepeczki i twierdziły, że to dla ogrzania, ale, jego zdaniem, robiły to, ponieważ zniekształcone główki były brzydkie. Nigdy nie widział ładnego noworodka, oczywiście, uro-

dzzonego siłami natury. Zwykle niemowlęta ładniały mniej więcej po ukończeniu pierwszego miesiąca życia. Wtedy też matki przychodziły do jednostki podziękować ratownikom. I wtedy można było określić dzieci mianem „śliczne”.

Położył radio i pas na stole. Patrzył, jak Sheila zamyka się w sobie, zaciska oczy.

Odczekał, aż wróciła.

- To nie są skurcze Braxtona - ocenił.

- Chyba nie.

- Wody odeszły?

Kiwnęła głową.

- Kiedy.

- Gdzieś o drugiej.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś?

Wzruszyła ramionami.

Webster przeprowadził rutynowe badanie. Patrząc na zegarek, czekał na następny skurcz. Zjawił się po czterech minutach i tym razem Sheila z bólu zacisnęła pięści. Kucnął przed nią.

- Pamiętasz o oddychaniu? - spytał.

- Jasne, pamiętam, tylko że się nie da.

- Na próbach w szkole rodzenia byłaś w tym świetna - przypomniał.

- To ci wygląda na próby w szkole?

- Staraj się oddychać w czasie skurczów, nawet jeśli uczyli cię inaczej. Dasz radę się ubrać?

- Tak myślę.

- Jedziemy.

- Do szpitala?

- Jak najbardziej - przytaknął, wstając.

- I dołączę do grona tych idiotek, o których się opowiada na kursie? Do szpitala, potem z powrotem do domu, i tak w kółko?

- Nie. Odeszły ci wody. Czas jechać.

Dźwignęła się z trudem, musiał jej pomóc.

- Nie podoba mi się, że wiesz o rodzeniu więcej niż ja - powiedziała.

- Dlaczego? Jeśli dziecko zacznie się rodzić w samochodzie, bardzo ci się przydam.

Przebrali się oboje. Webster nie chciał jechać do szpitala w służbowym rynsztunku. Sheila nie była jego pacjentką, tylko żoną, a on miał lada moment zostać ojcem. Niestety, nie mógł się pozbyć różnych natrętnych myśli. Zbyt dobrze wiedział, jakie mogą się pojawić kłopoty: poród pośladowy, obumarcie płodu, pępowina owinięta wokół szyi...

Zapytał Sheilę, czy może zbadać jej brzuch, chciał zlokalizować główkę dziecka.

- Nie dotykaj mnie - burknęła tylko.

Pas z ekwipunkiem wziął ze sobą. Były na nim nożyce. Chwytał koce. I spakowaną walizkę.

Sheila oparła się o ścianę. Zabrakło jej oddechu.

- Jak myślisz, to już teraz? - spytała.

- Nie - odparł stanowczo.

Pomógł jej pokonać niekończący się ciąg schodów na zewnętrznej ścianie budynku. Zimą były zdradliwe, we wrześniu najwyklesze w świecie. Słońce było już dość wysoko na niebie, liście robiły się półprzezroczyste. Mimo dwudziestu dwóch lat w Vermoncie wcale mu się to nie znudziło.

W samochodzie miała trzy ostre skurcze. Zaparła się jedną ręką w deskę rozdzielczą, drugą o drzwiczki. Następowały w coraz krótszych odstępach czasu. Jechali szybko. Webster prowadził sto trzydzieści na godzinę, prędzej nie śmiał. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś skretyniały turysta wyskoczy na drogę.

- Rany boskie! - krzyknęła Sheila. Spojrzała na Webstera.
- Muszę przeć.

- Nie przyj - zakazał stanowczo. - Rób, co chcesz, tylko nie przyj. Oddychaj. Jesteśmy dosłownie minutę od szpitala. Oddychaj. Słyszysz mnie? Nie przyj.

- Cholera! Nie mogę oddychać!

Webster chciał, żeby urodziła na sterylnym łóżku, z noga-

mi w strzemionach, w towarzystwie położnej monitorującej płód.

Przy kolejnym skurczu zwinęła się z bólu. Wcześniej, gdy obserwował poród jako sanitariusz, chciał wiedzieć, jakie to wrażenie. Teraz się cieszył, iż nie ma o tym pojęcia.

Z piskiem zahamował przed wejściem, otworzył drzwiczki i w jednej sekundzie znalazł się we wnętrzu. Zamachał do pierwszej pielęgniarki, która wydała mu się znajoma.

- Mary... nazywasz się Mary, tak? Moja żona rodzi. Chce przeć.

Pielęgniarka chwyciła nosze i pobiegła do samochodu. Szarpnęła drzwiczki. Sheila, biała jak ściana, leżała na siedzeniu pasażera.

- W porządku, kochana - odezwała się Mary. - Pójdźcie nam jak po maśle. Możesz wstać?

Sheila miała nogi rozstawione szeroko. Tylko potrząsnęła głową.

- Wobec tego cię wyjmimy.

Webster chwycił żonę pod pachy, obrócił ją w bok i pociągnął. Mary, zadziwiająco silna, jak na tak drobną osobę, złapała stopy.

W salce pogotowia pielęgniarka zagroziła kąt drukowaną w kwiatki zasłoną. Razem z Websterem przenieśli ciężarną na łóżko. Sheila jęknęła rozdzierająco. Następny skurcz. Mary ściągnęła jej ciężowe spodnie i bieliznę, włożyła stopy w strzemiona. Pacjentka została we fioletowym topie z pacyfką na piersiach.

- Widzę główkę - powiedziała Mary.

Webster ugryzł się w język, żeby nie zakląć brzydko. Nie chciał denerwować żony.

- Gdzie położna? - spytał.

- Na OIOM-ie.

Webster zmełł w ustach kolejne grube słowo.

- Rodzimy - stwierdziła Mary. - Idź, podpieraj żonę, pomagaj jej jak mąż. Ona cię bardziej potrzebuje niż ja.

Wyszła za zasłonkę i głośno zawołała drugą pielęgniarkę, Julie.

Webster trzymał Sheilę pod ramiona, zapewniał ją o swojej miłości, przekonywał, że spokojnie dadzą sobie radę, i uświadamiał, że skoro dziecko się rodzi, ona może przeć, ile tylko zechce.

- Dzięki Bogu.

Twarz jej się skurczyła, pokryła potem. W ciągu kilku sekund włosy kompletnie zwilgotniały. Sheila zaczęła stękać i pochrząkiwać, Webster słuchał w zadziwieniu. Znał te odgłosy, ale nie u niej. Usiłował się przestawić na tryb sanitariusza, odzyskać spokój, ale kiedy poczuł, jak Sheila napina mięśnie, kiedy usłyszał jej krzyk, zapomniał o szkoleniu i stracił zimną krew. Był jednocześnie zafascynowany i przerażony, jakby pierwszy raz w życiu asystował przy porodzie.

- Postaraj się - szepnął jej w ucho. - Jeszcze raz, przyjdź z całej siły.

Sheila dała z siebie wszystko. Osunęła się na wznak, ręce jej opadły. Była wyczerpana.

- Jezu, Jezu, o Jezu...

Czy to modlitwa?

- Sheilo - odezwał się Webster stanowczym głosem. - Weź się w garść. Ostatni raz. Już niewiele brakuje. Jeszcze tylko raz i będzie po sprawie.

Ciało przejęło nad nią władzę i zrobiło, co było do zrobienia. Nie przeszkadzała.

Webster dokładnie wiedział, w którym momencie dziecko przyszło na świat. Od tej chwili przez długie sekundy wstrzymywał oddech w groźnej ciszy.

Wreszcie usłyszał pierwszy krzyk. Przepełniony ulgą, pochylił głowę.

- Tatusiu - odezwała się Mary - chcesz przeciąć pępowinę? Urodziła wam się śliczna dziewczuszka.

Webster chwycił parę rękawic, a Mary podała mu z tacy sterylne nożyce. Wystarczyło jedno czyste cięcie. Julie zajęła się łożyskiem, Mary noworodkiem. Zawinęła dziecko, podała

je Websterowi. Rozsunął nieco pieluszkę, żeby zobaczyć całą twarz córki.

Jego córki.

Zrobiło mu się ciepło na sercu.

Zaniósł dziecko matce. Ta leżała z zamkniętymi oczami.

- Sheila - odezwał się cicho. - Mamy dziecko. Córeczkę.

Trzeba ją nakarmić.

Sheila obudziła się z drgnieniem. Wyciągnęła po małą drżące ręce. Najpierw ułożył ją na boku, potem przystawił dziecko do piersi, pomógł Sheili objąć córeczkę. Czuł na sobie spojrzenie Mary.

- Boże, jaka śliczna! - powiedziała Sheila, kompletnie zaskoczona.

Roześmiał się. Obie wyglądały koszmarnie, ale nie miało to żadnego znaczenia. Właśnie został ojcem. Pochylił się nad swoimi dwiema kobietami.

Noworodek schwycił usteczkami brodawkę, Sheila podniosła wzrok na Webstera.

- Chyba tu się poznaliśmy, prawda?

Sheila wybrała imię z rodziny Webstera: Rowan. Webster nabierał tyle nadgodzin, że mógł wziąć dwa tygodnie wolnego. Kiedy już wrócił do pracy, dostał pierwszą zmianę. Szef nazwał to restrukturyzacją, ale on wiedział swoje. Po dziennej zmianie wracał do domu o wpół do piątej.

Wbiegał po schodach spragniony widoku córeczki, która szybko stawała się ideałem. Sheila bawiła się z dzieckiem na kocyku rozłożonym na podłodze albo kiedy Rowan spała w łóżeczku, drzemała na kanapie. Wtedy na koszulce wokół brodawek tworzyły się wilgotne plamy. Webster nie mógł karmić córki piersią, ale przewijał ją i podawał Sheili do karmienia, przystawiał do piersi, a ona budziła się powoli. Po karmieniu wstawiała i zaczynała robić obiad, a Webster bawił się z małą.

Rowan odziedziczyła włosy po matce, co uważał za wyjąt-

kowo korzystny traf. Oczy miała niebieskie, kończyny smukłe, akurat takie same mieli oboje rodzice. Matka Webstera przysięgała, że wnuczka to skóra zdjęta z babki Webstera, ale kiedy Sheila i Webster przyjrzeni się zdjęciu kobiety ubranej kompletnie bez gustu, nie doszukali się żadnego podobieństwa.

Rodzice Webstera zostali ochrzczeni mianem: bunia i dziadzio.

Życie Webstera stanęło na głowie. Sypiali o najdziwniejszych porach, obojgu wiecznie brakowało snu i żadnemu to nie przeszkadzało. Był całkowicie przekonany, że urodzili najpiękniejsze dziecko na świecie. Matka wróciła do robienia na drutach i przy każdej wizycie coś im podrzucała: a to śpioszki i kołderki, kiedy Rowan była jeszcze noworodkiem, potem wólczkowe zabawki i sweterki, wreszcie prześliczny, zielono-niebieski płaszcz, gdy wnuczka zaczęła siadać. Burrows z żoną podarowali młodym rewelacyjny wózek, który się składał, rozkładał i miał wszystkie niezbędne funkcje, może poza wodotryskiem.

Webster brał córkę na ręce i bawili się w „noski, noski, Eskimoski”, a potem mówił jej, że jest małą paskudą. Oprowadzał ją po mieszkaniu, gasili i zapalali światła, układali i rozrzucali po sto razy te same puzzle, składające się z pięciu kawałków, a mała otwierała buzię ze zdziwienia za każdym razem, kiedy udało jej się położyć element we właściwym miejscu.

Wyobrażał sobie, że dla dziewięciomiesięcznej dziewczynki podwórze za domem musi być krainą dziką i rozległą, więc razem ją zdobywali.

Latem matka Webstera przynosiła świeże warzywa, Sheila je gotowała, miksowała i mroziła na tacy do kostek lodu. Potem, karmiąc Rowan, do każdego posiłku, który mała dostawała, siedząc w wysokim krzeselku, rozmrażała jedną kostkę, podgrzewała i wsadzała córeczce do ust, wykorzystując ten sam trik z lądowaniem samolotu, do którego uciekają się wszyscy rodzice.

Webster zorientował się, że używa słów „miłość” i „kochać” często i swobodnie. Czuł, wiedział, że żyje tak, jak powinien, jak mu było pisane, jak chciał, chociaż nie umiałby tego opisać, zanim poznał Sheilę.

Młoda matka powoli wracała do dawnej sylwetki i zdawała się uczyć życia, w równym stopniu, co jej dziecko. Najpierw istniała w granicach kokonu o długości i szerokości mniej więcej po pięć metrów, od kanapy do łóżka i od łóżka do zlewu, potem zaczęła samochodem wozić wnuczkę do babci, wreszcie podjęła się zakupów w supermarkecie.

Któraś wrześniego popołudnia Webster, wróciwszy do domu, zastał Sheilę i Rowan śpiące na trawie. Nie chciał ich budzić, postawił krzesło nieopodal, siadł i patrzył. Ciepła bryza obejmowała ich wszystkich troje, przeganiała komary.

Moje dziewczyny.

Jak to się stało, że zasnęły na podwórku? O tak, siedziały sobie i postanowiły się zdrzemnąć? Zabawnie wyglądały razem, dwie kobiety o tym samym odcieniu lśniących włosów, przytulone do siebie, jedna z główką pod brodą drugiej. Czy oddychały w tym samym rytmie? Chętnie by im zrobił zdjęcie, ale bał się ruszyć. Z ulicy dobiegał codzienny gwar klientów lodziarni, natomiast podwórko, osłonięte drzewami, zapewniało prywatność. Sheila i Rowan spały na najgęściej-szej plamie trawy.

Rowan obudziła się pierwsza, zaraz po niej Sheila otworzyła oczy. Otrzepała je obie z trawy.

- Cześć - powiedziała zasnana.

Wstała z dzieckiem na rękach, Webster także się podniósł.

- Powinnam szykować obiad - powiedziała Sheila.

Webster zatrzymał ją, pocałował.

- Mam lepszy pomysł. Chodźmy na lody.

Spodziewał się protestów, ale ich nie było. Zwykle Sheila pilnowała, żeby Rowan zdrowo się odżywiała, tym razem jednak zgodziła się z uśmiechem.

- Proszę pana, miewa pan fantastyczne pomysły.

Przytuliła Rowan, która jeszcze nie do końca rozbudzona przecierała oczka.

- Chcesz lody na obiad?

Mała kiwnęła główką i oparła ją na ramieniu matki.

Webster był najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

Przyczyną zgonu okazała się nagła śmierć Łózczkowa. Kiedy Webster i Burrows dotarli na miejsce, do domku nad brzegiem strumienia, płynącego równoległe do międzystanowej czterdziestki dwójki, dziecko nie żyło już od dobrych kilku godzin. Budynek był w założeniu domem na lato, nie miał ocieplenia. Webster zastanawiał się, czy matka przypadkiem nie przyjechała na urlop.

Wypytywana przez dyżurnego pod numerem alarmowym twierdziła, że dziecko oddycha.

W Łózczku kłębiły się koce i pluszowe zwierzaki. Nikt nie potrafił określić przyczyn nagłej śmierci Łózczkowej, podstępnej, niewytłumaczalnej, okrutnej. Webster czuł smutek i rozgoryczenie. Zamknął małą rączkę w chwycie do mierzenia pulsu. Kiedy matka ostatnio zaglądała do dziecka? Jak długo nie potrafiła stawić czoła faktom? Burrows rozpoczął resuscytację krążeniowo-oddechową, chociaż obaj wiedzieli, że niemowlę jest martwe. Ze względu na żywych musieli i tak zrobić wszystko co w ludzkiej mocy.

Webster rozejrzał się po niewielkim pokoju dziennym. Łózczeko ustawiono przy sofie. Zawsze, gdy przyjeżdżał na wczasy, starał się wyobrazić sobie, jak będzie życie w domu, do którego wchodził. Tutaj była jedna sypialnia, dziecko mieszkało w salonie. Miało może dziesięć tygodni.

Burrows zawiadomił centralę, dał znać, że będzie potrzebna policja i coroner, umówił spotkanie w szpitalu. Przy takim zgonie wymagana była autopsja.

- Jak pani na imię? - zapytał matkę.
- Susan.
- Susan, gdzie jest twój mąż?
- W pracy.
- Gdzie pracuje?
- Na budowie pod Rutlandem.

Odpowiadała bezzwłocznie i jasno. Włosy miała brudne, zęby pożółkłe. Nieświeży oddech czuć było na dwa metry. Mimo jesieni domu nikt nie ogrzewał, w saloniku panował chłód.

Kobieta owinęła się szczelniej różowym kardiganem. Dłonie miała zaciśnięte w pięści.

- Dlaczego jej nie ratujecie?

Webster przykucnął obok nóg Susan.

- Ratujemy. Widzisz tamtego? To ratownik medyczny. - Webster był mokry od potu. - Jak córeczka ma na imię?

- Britney.

Nie on będzie musiał przekazać straszne wieści. Stanie się to w szpitalu. On musiał reanimować martwe dziecko.

- Ona nie żyje - powiedziała kobieta.
- Reanimujemy ją. Robimy wszystko, co możemy.
- Ona już nie żyje.

Załamana się. Zapadła się w sofę, twarz jej się skurczyła. Przycisnęła dłonie do ust, z których wylał się potok słów, a wszystkie jednakowe: nie, nie, nie, nie. Aż zdusił je szloch. Webster usiadł obok, położył kobiecie dłoń na przedramieniu. To ona, nie dziewczynka, była teraz jego pacjentką.

Wstał, cicho zapytał Burrowsa, czy podać matce jakieś leki, ale ten pokręcił głową.

- Zobaczymy, w jakim będzie stanie, kiedy policja z nią skończy. Może wtedy.

- Koszmar - powiedział Webster.
- Pierwszy raz jesteś przy śmierci łóżeczkowej?

Webster tylko pokiwał głową.

- Nie znam gorszego przypadku - rzekł Burrows, szczerzy niezależnie od okoliczności. - Śmierć bez śladu sensu, a na-

wet przyczyny. Nastaw się, że niezależnie od tego, ile razy dostaniesz takie wezwanie, zawsze będzie cię to doprowadzało do szalu.

- Matka wie, co się stało, już od dłuższego czasu, tak?

- Winisz ją, że nie chce spojrzeć prawdzie w oczy?

- Ani trochę.

- Jesteś rozdygotany - stwierdził Burrows nagle, przypatrując się partnerowi.

- Pozbieram się.

- Spokojnie, to nie twoja rodzina. Rowan jest zdrowa. I będzie zdrowa. Już dawno wyrosła z ryzyka tego przypadku.

- Wiem.

- Wyjdź przed dom, zaczekaj na gliny. Ja posiedzę z matką.

- Dlaczego?

- Idź. To polecenie służbowe.

Webster wyszedł na zewnątrz. Łzy napłynęły mu do oczu. Poniósł wzrok do nieba, jakby w ten sposób mogły ścieknąć do wnętrza głowy. Nie darowałyby sobie, gdyby go Nye zobaczył płaczącego. Na głos podziękował Bogu, który może faktycznie istniał. U Rowan nie zachodziło ryzyko nagłej śmierci łóżeczkowej, nie miała żadnych zakłóceń oddechu, żadnych nieprawidłowości, zwiniętej pępowiny, nic, nic, nic.

Usłyszał wóz policyjny, podskakujący na drodze gruntowej. Oficjalnie Webster nie miał powodu tkwić przed drzwiami, więc obrócił się i wszedł do środka. Teraz już pójdzie szybko.

Webster rzucił pas, nie zwalniając, i zawołał, zdziwiony, że nie widzi Sheili z Rowan w salonie. Zawołał jeszcze raz i wtedy usłyszał odpowiedź z sypialni. Tam, w półmroku październikowego popołudnia, Sheila siedziała na łóżku, karmiąc ich czternastomiesięczną córkę. Miała na sobie dżinsy i białą koszulę, zapinaną na guziki od góry do dołu, dzięki czemu łatwiej było przystawić Rowan do piersi. Opadł na łóżko. Dotknął policzka córki.

- Nie rozbudź jej - odezwała się Sheila. - Staram się ją uśpić. Nie spała cały dzień.

Nie umknął uwagi Webstera zirytowany ton. Sheila miała splecione włosy i cienie pod oczami. Jeżeli Rowan nie spała cały dzień, ona także nie zmrużyła oka.

- Jak skończy, odłóż ją i sama się kładź. Wszystko jedno, czy zaśnie. Ja się nią zajmę.

- Masz za sobą dwie zmiany.

- Ale jestem w lepszej formie niż ty.

Kiwnęła głową.

Webster wstał i zdjął służbowe ubranie. Nie chciał, żeby praca mieszała się z domem, wchodziła w świat dziecka. Przebierając się, zostawiał za sobą jedno życie, a wchodził w drugie.

Wciągnął dzinsy i czarny sweter, poszedł do łazienki umyć twarz i ręce. Wrócił do sypialni, stanął przed lustrem na toalecie, przeczesał włosy palcami. W tle dostrzegł ujęte w owal odbicie Sheili z Rowan. Impulsywnie obrócił się, żeby je obie ucałować. Zawadził o coś stopą. Sheila spojrzała w przeciwną stronę.

To była szklanka.

Podniósł ją z podłogi. Na dnie zostały resztki bursztynowego płynu. Powąchał. Whisky.

- Gdzie schowałaś?

Nie odpowiedziała. Wyraźnie była zła, widział to po zacisniętych zębach. A on był wściekły.

- Możesz spokojnie powiedzieć - oznajmił. - I tak znajdę.

- Szukaj - rzuciła.

- Sheila, co się dzieje, do cholery? Przecież karmisz piersią! Jeśli przy tym pijesz, to jakbyś wlała Rowan do gardła porcję jacka danielsa.

- Nie przesadzaj.

Webster odebrał żonie córkę. Ręce Sheili opadły, nagle opustoszałe. Po chwili wstała, zachwiała się. Wsunęła stopy w buty.

Rowan, oderwana od piersi, rozplakała się. Zaczęła wymachiwać rączkami, rozbudziła się na dobre.

- No i zobacz, co narobiłeś.
- J a ? Ja narobiłem? Ile to trwa? Powiedz mi, ile to trwa?

- Nie będę się przed tobą tłumaczyć.
- Będziesz. Bo przez ciebie moje dziecko jest pojone whisky.

- Twoje dziecko.
- Nasze dziecko.
- Och, cudownie. Bo już myślałam, że jestem mamką.
- Przestań.

Przeszła do salonu, on za nią. Wzięła torebkę.

- Chryste panie, dokąd idziesz?
- Nie wiem.
- Nie wychodź.
- Muszę, bo zwariuję.

Webster stanął między Sheilą a drzwiami. Rowan płakała głośno.

- Co się stało? - zapytał. - Kiedy wczoraj wychodziłem, wszystko było w porządku.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Na zewnątrz jest minus trzysta stopni, a dopiero październik. Nie mogę z nią nigdzie wyjść. Cały dzień marudziła. Nic mi się nie udaje. Wszystko leci mi z rąk. Czuję się jak świr w domu bez klamek.

- To dlatego, że idzie zima. Każdy miewa dołki. I dzieci, i dorośli.

- Przynajmniej ciebie to nie dotyczy. Ty jesteś ponad.
- Może czas, żebyś wróciła do pracy.
- Nie chcę wracać do pracy. Chcę po prostu...

Webster poczuł, że krew mu się ścina.

- Sheila? Co chcesz zrobić?
- Wsiąść do samochodu.

Na jakiś czas odebrało mu mowę.

- Jeśli chodzi o ciebie, trafiłam w dziesiątkę - podjęła. - Jesteś moją najlepszą opcją.

- Pod jakim względem?

- Bezpieczeństwa. Jesteś uosobieniem gwarancji bezpieczeństwa.

Zakręciło mu się w głowie. Poprawił małą na rękach, uspokajająco poklepał po plecach.

- Zdarzyło się, tak? - powiedziała Sheila. - Wypiłam drinka. Zadowolony, panie sanitariuszu? Zdarzyło się raz i więcej się nie zdarzy. A ty powinieneś jeszcze raz zajrzeć do tych swoich ukochanych podręczników. Jeśli matka pozwoli sobie na symbolicznego drinka, to ile dostanie dziecko? Tyle co nic.

- Gdzie jest butelka?

- Trzeba przewinąć Rowan. I powinna się zdrzemnąć. A ty stoisz mi na drodze.

Odsunęła go na bok. Choć mógłby ją zatrzymać w dowolnym momencie, odstąpił od drzwi. Chciał jej powiedzieć, żeby nie wracała, póki nie zdecyduje się przestać pić, ale wiedział, że byłaby to próżna groźba.

Po wyjściu Sheili usiadł z Rowan na kanapie. Czy faktycznie życie z nim uważała za podsuniętą przez los szansę na gwarancję bezpieczeństwa? Strzał w dziesiątkę? Najlepszą opcję? Zrobiło mu się mdło. Czyżby go nie kochała równie mocno, jak on ją kochał? Przecież wspólnie wybrali takie życie?

Chyba jednak nie miała na myśli tego, co powiedziała. Czy wróci do domu i odwoła nieszczęsne słowa?

Rowan zaczęła się kręcić i popłakiwać, więc przyniósł z sypialni różowe opakowanie pieluszek. Położył córkę na podkładce na stoliku do kawy i przewinął. Śmiała się, jakby ją łaskotał. Pewnie wyczuwała gęstą atmosferę, ale przecież nie rozumiała słów, więc nigdy się nie dowie, co rodzice sobie powiedzieli. A słowa Sheili legły mu na sercu kamieniem.

Ubrał małą w żółtą piżamkę, potem jakiś czas siedział przy kuchennym stole, trzymając ją na kolanach, robiąc miny i wydając dziwne dźwięki.

Czyżby Sheila celowo zaszła w ciążę, bo trafiła w dziesiątkę? Żeby skorzystać z najlepszej opcji? Była do tego zdolna?

Przypomniały mu się niejasności w sprawie antykoncepcji, gdy byli razem po raz pierwszy. Tamta noc pod księżycem, który dążył ku pełni, pozostała między najcenniejszymi wspomnieniami.

Sheila chciała łamać zasady. Dobra, w porządku. A on może je zmieniać.

Z niemalym trudem włożył Rowan w ciepły błękitny kombi-nezon. Fotelik samochodowy Sheila zostawiła u stóp schodów. Webster przytulił córkę do piersi, żeby ochronić przed zimnem jej delikatną skórę. Zamontował fotelik w swoim samochodzie, usadził dziecko, przypiął pasami. Obszedł wóz dookoła, wsiadł za kierownicę i włożył kluczyk w stacyjkę.

Obrócił się, chciał spojrzeć na Rowan, ale zobaczył tylko parę błyszczących czarnych oczu pod kapturem. Serce biło mu bardzo mocno. Bo powróciła Sheila niespokojna i niepokorna. Pijąca Sheila.

Wycofał na międzystanową i pojechał do Giant Martu. Tam, z córką w nosidle na piersiach, odszukał alejkę z odżywkami dla dzieci. Na pewno da sobie radę z butelkami. Rano powie Sheili, żeby odstawiała Rowan od piersi. Sądził, że się zgodzi, choćby po to, żeby odzyskać swobodę.

Wróciwszy do mieszkania, ułożył małą w łóżeczku i zabrał się do szukania alkoholu. Nie znalazł nic. Albo zabrała butelkę ze sobą, albo była sprytniejsza, niż sądził. Przypomniała mu się „Srocza”. Brzmiała nieciekawie.

Sheila wróciła nocą. Webster nie spytał, gdzie była.

Rano, przed wyjściem do pracy, przygotował cztery porcje odżywki.

Odezwał się sygnał, po czym głos bez wyrazu podał podstawowe dane.

- Mężczyzna, podejrzenie zawału mięśnia sercowego. Ostry ból w klatce piersiowej, promieniujący do szczęki.

Webster poprosił o podanie adresu, a Burrows, usłyszawszy, jakie jest miejsce docelowe, zaklął pod nosem. Klął przez całą drogę, gdy Rakieta brnęła po zamrzniętych koleinach. Był wyjątkowo przywiązany do ambulansu.

- Gdzie to właściwie jest dokładnie? - zapytał Webster.

- W cholere, pojęcia nie mam - odparł Burrows.

Wreszcie dotarli do domku wędkarskiego nad brzegiem zamrzniętego jeziora. Przed nim stało pięć trucków. Wielkie maszyny, najnowsze modele. Na bocznej drodze wyglądały śmiesznie.

- Przyjechali łowić pod lodem - stwierdził Webster.

- Oglądałeś „Uwolnienie”?

- Nie, a co?

- Nic, nieważne.

Burrows zapukał do drzwi, zamiast od razu wpakować się do środka, jak to miał w zwyczaju. Może sądził, że któryś z gości ma broń.

- Otwarte! - dobiegł ich męski głos.

Nie wyglądało na zasadzkę.

Fakt faktem, Webster nie słyszał jeszcze, żeby któryś ze znanych paramedyków wpadł w zasadzkę, ale czytał o takich wypadkach, które zdarzały się w dużych miastach.

W chacie czterech mężczyzn stało, jeden leżał na podłodze. Pięciu mężczyzn, pięć samochodów. Nie wiedzieli, co to podwózka?

Podłogę wyłożono szarymi kwadratami wykładziny. Znaczyły je solidne plamy. Od czego, trudno powiedzieć. Leżący mężczyzna płakał i przyciskał ręce do klatki piersiowej.

Ratownicy utorowali sobie drogę między pudełkami po pizzy oraz puszkami piwa.

Webster ukląkł obok pacjenta. Natychmiast stracił pewność siebie. Chory miał zbyt różową skórę jak na zaburzenia krążenia, ale jednocześnie ciężko dyszał. Sanitariusz rozpoczął podstawowe badania. Pacjent się nie pocił, nie miał skróconego oddechu, nie wymiotował. Ciśnienie - wysokie.

- Jak ma na imię? - zapytał Webster.

- Sully - powiedział mężczyzna stojący przy zlewie.

- Sully - odezwał się Webster. - Bolało cię tak już kiedyś?

- Tak! Raz! - krzyknął wędkarz. - Na ślubie siostrzenicy!

- Wyrzucał z siebie oddzielone słowa, jak w agonii. - Mało brakowało, żeby wezwali karetkę.

- W skali od jednego do dziesięciu jak silny jest ból?

- Osiem! Może i dziewięć! Straszny!

- Możesz pokazać, gdzie cię boli? - odezwał się Burrows.

Mężczyzna położył palce tuż pod uszami i przeciągnął nimi do mostka.

- Ból klatki piersiowej promieniujący do szczęki - powiedział Webster.

- Zadzwońcie do mojej żony! - zawył pacjent.

Webster wstał.

- Musimy go zabrać - odezwał się do Burrowsa.

- Niezła przejażdżka.

- Dość długa.

Webster posadził chorego i zapytał, czy da radę dojść do ambulansu. Sully, po kilku próbach, stanął na własnych nogach. Zanim dotarli do drzwi chaty, czuł się znacznie lepiej.

- Boli o wiele mniej - oznajmił, zgodnie z przewidywaniami Webstera. - Czuję się prawie normalnie. Zaczekajmy chwilę.

- Przeprowadzę podstawowe badania - powiedział Webster, bo tego wymagał protokół. Obaj z Burrowsem doskonale wiedzieli, z czym mają do czynienia. - Proszę usiąść.

Zmierzył pacjentowi ciśnienie, następnie zbadał puls. Zanim skończył, Sully znowu stał, jakby właśnie podniósł się z łoża śmierci. Złapał równowagę, wyrzucił ramiona w górę.

- Będę żył! - krzyknął.

Wędkarz stojący przy zlewie zachichotał.

- Mówiłem ci, że to zgaga.

Pięciu mężczyzn usiłowało się odwdzińczyć medykom świeżymi rybami. Burrows podziękował stanowczo. Jeden z wędkarzy pokazał Websterowi namiot rozbity na środku zamrożonego stawu. W środku na pewno ustawiono piec i krzesła, a w łodzi wyrąbano przerębel, przez który zapaleńcy łowili ryby.

Wiedział, jak to wygląda. Wiedział też, że znakomita większość takich wezwań nie niesie ze sobą szczególnego niebezpieczeństwa.

- Powinno się takich kretynów obciążyć za zużycie karetki - oznajmił Burrows w drodze powrotnej.

- Dlaczego nie wzięłeś ryb?

- Chciałbyś je czyścić?

- E, niekoniecznie.

- Ja też nie, a Karen by ich nie tknęła. Podejrzewam, że Sheila podobnie.

Ambulans podskakiwał w koleinach.

- Szlag by... - warknął Burrows.

Dwadzieścia jeden minut brnęli po zamrożonej gruntowej drodze, zanim wyjechali na asfalt. Trzydzieści sześć minut jechali z jednostki, dwadzieścia spędzili na miejscu i trzydzieści sześć wracali. Prawie półtorej godziny zmarnowane. Burrows wpadł w paskudny nastrój.

- Webster, ty wiesz, że fatalnie wyglądasz? Dzieciak nie daje ci spać?
- Nie, mała sypia jak aniołek.
- W małżeństwie w porządku?
- Tak.
- Synu, zadawanie pytań to mój zawód. Jeśli nie staniesz na wysokości zadania, będę cię męczył tak długo, aż się do-wiem. Co jest grane?
- Nie staję na wysokości zadania? - zmartwił się Webster.
- Na razie jest w porządku. Tylko wyglądasz, jakbyś jechał na dializie. Więc pytam, co u ciebie w domu?
- Sam nie wiem.
- Bingo. Wiedziałem, że chodzi o sprawy małżeńskie.
- Diabła tam wiedziałeś - zachnął się Webster. - Mógłbym na przykład mieć kłopoty z gotówką.
- Ale nie masz. Nie masz, prawda?
- Webster tylko westchnął.
- Człowieku, ona cię sobie owinęła wokół małego pa-luszka. Oczywiście przez łóżko. Kompletnie oszalałeś na jej punkcie.
- Pod tym względem nic się nie zmieniło.
- A kocha cię?
- Burrows zaczął dłużyć wykałaczką w zębach.
- Tak.
- Czy aby na pewno?
- No to o co chodzi?
- Nie wiem. Zobacz, co się dzieje? - Wyrzał przez okno.
- Korek w Hartstone?
- Możesz włączyć syrenę.
- Jesteśmy już prawie na miejscu.
- Niespodziewany dźwięk syreny mógł przyprawić kierowcę przed nimi o atak serca.
- Sheila jest niespokojna. Czuje się nie na miejscu.
- A konkretnie o co jej chodzi?
- Nie umie powiedzieć. Może sama nie wie.
- Depresja poporodowa?

Webster widział granice miasteczka, lecz nadal stali w korku. Stojąca przed nimi półciązarówka zasłaniała drogę.

- Jest dziś jakaś parada albo coś?
- Pojęcia nie mam.
- Nie chodzi o depresję. Nie o to chodzi.

Burrows obrócił się do Webstera i zmierzył go uważnym spojrzeniem.

- Więc o co chodzi?

Do tej pory Webster nigdy z nikim nie rozmawiał o Sheili. Odbierał to jako nielojalność, pranie brudów poza domem. Jednocześnie wiedział, że Burrows nie odpuści, póki się nie dowie. Poza tym może rozmowa przyniesie ulgę?

- Sheila pije.
- Rany boskie. - Burrows przymknął oczy. - Ty też?
- N i e .
- No to w porządku, pół biedy.
- Wcale nie w porządku.
- Tak, tak, wiem. Pewnie zaczęło się romantycznie, co?

Pierwsza wspólna butelka wina, potem druga...

- Można to tak ująć.
- A potem okazuje się, że człowiek pije do każdego posiłku, bo to takie cholernie romantyczne. Świece, ładne kieliszki, potem bara-bara, sama radość.

Webster milczał.

- Potem któreś odkrywa, że jedno z dwojga ma problem, i to jest to drugie.

Korek rozładował się z niewiadomej przyczyny. Żadnej parady. Żadnego wypadku.

- Skąd tak dobrze znasz temat? - zapytał Webster.
- Przerobiłem na własnej skórze. Przyda wam się poradnia małżeńska?

Webster pokręcił głową, w równym stopniu dziwiąc się i zaprzeczając.

- O tym mogę zapomnieć. Nic by z tego nie wyszło.

- Ciekawe dlaczego... - zakpił Burrows. - Tak tylko spytałem - dokończył poważnie. Sheila by poszła?

- A ty?

- Nigdy w życiu.

Webster miał wrażenie, jakby żył na huśtawce. Sheila tygodniami zachowywała się całkiem normalnie, była kochającą żoną, niekiedy pozwalała sobie na nutkę arogancji, która mu się swego czasu tak podobała. Gdy we troje wybierali się na sanki, do sklepu albo na niedzielny obiad do rodziców, kiedy patrzył, jak Sheila czyta Rowan albo zabiera ją na spacer do lasu lub uśmiecha się w odpowiedzi na uśmiech córki, zawsze przy takich okazjach budziła się w nim ufność. Serce miał lżejsze i kiełkowało w nim nieśmiała nadzieja, że teraz już będzie dobrze.

Stale jednak był czujny. I rzeczywiście, po miesiącu, najdalej sześciu tygodniach, dostrzegał niepokojące oznaki. Skoro napotkał jedną, szukał następnych. Niekiedy miał wrażenie, że zatruwa swoje małżeństwo podejrzeniami, a samo szukanie uchybień przyczynia się do ich powstawania. Wyraźniej widział nadto rozluźnione mięśnie twarzy, słyszał przeciągane sylaby, czuł, że Sheila nie ma ochoty go pocałować. Czasami wychodziła z domu sama. Szukał butelek z alkoholem. Szukał i znajdował.

Zaczął ich rozdzielać brak zaufania.

Któregoś wieczoru znalazł butelkę rumu za pluszowymi zwierzątkami na półce Rowan. Fakt, że Sheila wykorzystała zabawki córki do ukrycia alkoholu, doprowadził go do furii.

- Genialnie - oznajmił, wchodząc do salonu. Znaleźisko trzymał w wyciągniętej ręce.

Sheila odwróciła głowę. Rowan podniosła wzrok na ojca.

Odniosł wrażenie, że mała wyczuwa napięcie panujące między nim a Sheilą, a na dodatek teraz, gdy zaczynała mó-

wić, mogła też rozumieć więcej, niżby sobie życzył. Schował butelkę za plecami.

- Zapiszesz się do AA - oznajmił.

- Trzeba chcieć.

- Będziesz chciała, możesz mi wierzyć.

- A konkretnie z jakiego powodu? - spytała, nie odrywając wzroku od telewizora.

Webster miał odpowiedź. Myślał nad nią od dłuższego czasu.

- Przeprowadzę się z Rowan do rodziców.

Sheila wyłączyła telewizor.

- Nie bardzo rozumiem.

- Rowan i ja zamieszkamy w domu moich rodziców.

A ty nie.

- Bunia? - wtrąciła się Rowan.

Webster uśmiechnął się do córki.

- Zobaczymy - powiedział.

Uświadomił sobie, że słowo „zobaczymy” jest jednym z częściej stosowanych z repertuaru rodzicielskiego.

- Nie zrobisz tego.

- Chcesz się przekonać?

Obrócił się na pięcie, zniknął w sypialni. Wyciągnął walizkę z dna szafy i zaczął pakować swoje ubrania oraz drobiazgi osobiste. Kiedy z płóciennym workiem w ręku ruszył po rzeczy Rowan, Sheila wstała.

- Dobrze - powiedziała cicho.

- Co dobrze?

- Zapiszę się do AA.

Webster zaniósł walizkę i płócienny worek z powrotem do sypialni.

- Dowiem się, gdzie i kiedy są spotkania.

- Ja już wiem.

Zainteresowała się spotkaniami anonimowych alkoholiczków? Dobry początek.

- Mama smutna? - zapytała Rowan, która zawsze musiała wiedzieć.

Jakby pytała matkę, czy powinna się martwić.

- Nie, słoneczko - odparł Webster. - Wszystko jest dobrze.

Nie było dobrze. Ale mogło się poprawić.

Zaparkował przed kościołem, jak najdalej od lampy ulicznej. Całkiem bez sensu, bo przecież Sheila i tak musiała przejść do piwnicy, gdzie odbywało się spotkanie. Może chciał chronić jej prywatność, chociaż dbanie o anonimowość w Hartstone graniczyło z cudem. Na tylnym siedzeniu Rowan spała w foteliku.

Sheila wypaliła w samochodzie dwa papierosy. Normalnie Webster miałby o to pretensje, nie akceptował palenia przy dziecku, może faktycznie zmieniał się w tyрана? Właśnie takim epitetem obdarzyła go Sheila przy jakiejś okazji. Ostatnio coraz częściej miał ochotę wybrać się z kumplami z jednostki do baru. Wyjść na całą noc, wrócić do domu na porządnej bani. Nie mógł sobie na to pozwolić. Potem by go już nie słuchała.

- Dasz radę - powiedział.

- Marzą mi się te spotkania jak leczenie kanałowe.

- Leczyłaś kiedyś ząb kanałowo?

- Nie.

Miała na sobie džinsy i białą koszulę. Zmrok przychodził coraz później, choć wczesnokwietniowe noce potrafiły być mroźne.

Webster spojrzął na zegarek.

- Wiem, wiem - mruknęła Sheila. - Mam jeszcze trzy minuty. A tak w ogóle, tam można się spóźnić.

- Wtedy wszyscy zwrócą na ciebie uwagę.

- Wiesz, że to nie zadziała po jednym razie? Nie miej wielkich nadziei. - Zajrzała mu w oczy. - Masz wielkie nadzieje?

- Nie śmiem - przyznał.

Pogładził ją po plecach. Odniósł wrażenie, że się wzdrygnęła. Uświadomił sobie, że nie dotykają się tak często jak dawniej.

Jednak ten krótki dotyk najwyraźniej coś w Sheili wyzwolił. Westchnęła, pochyliła głowę.

- Przepraszam - powiedziała.

Chciał ją przytulić, ale wyszłoby niezdarnie, jak u nastolatków mizijających się w samochodzie. Pojawiło mu się w głowie pytanie, czy Sheila będzie się kiedyś czuła zobligowana do naprawienia szkód. Tego nie chciał. Chciał, żeby przestała pić.

- Kocham cię - powiedziała.

Odpiął pas i przytulił ją do siebie.

- Naprawdę?

Pokiwała głową, a on pocałował ją we włosy.

- Ja też ciebie kocham.

Położyła mu dłoń na udzie.

- Wiesz, że to nie jest jak hipnoza. Nie wyjdę stamtąd uzdrowiona.

- Wiem - mruknął, opierając brodę na jej głowie. - Po prostu chodź na te spotkania.

Chwilę później wywinęła się z jego uścisku i wysiadła z samochodu. Przez moment stała niezdecydowana. Potem poszła, z rękami w kieszeniach, wyprostowana. Prosto do piwnicznych drzwi.

Kiedy wyszła, miała uśmiech na ustach. Websterowi serce zmiękło, choć przecież powtarzał sobie, że nie należy oczekiwać zbyt wiele. Patrzył na nią, jak szła do samochodu, przez część drogi oświetlona latarnią uliczną.

Rewelacyjna.

Po powrocie do domu ułożyli Rowan w łóżeczku i kochali się jak za dawnych czasów. Webster nie wierzył własnemu szczęściu. Gdyby wcześniej nakłonił Sheilę do uczestniczenia w spotkaniach AA, nie stałoby się tyle złego. Teraz ich życie będzie wyglądało inaczej. Na pewno.

Jeszcze przed końcem tygodnia wyczuł w oddechu Sheili woń alkoholu. Opanowała go taka złość, że z trudem wydobywał z siebie słowa.

- Powiedz mi jedno - wycedził, zanim poszedł do sypialni i położył się spać, zbyt zmęczony, żeby się wyprowadzać z Rowan albo chociaż tym zagrozić. - Ten uśmiech, kiedy wyszłaś ze spotkania, to była podpucha?

- Nie wiem.

Webster oznajmił, że nie będą się kłócili przy dziecku. Sheila się z nim zgodziła, ale czasami nie wytrzymała. W najgorszych chwilach naprawdę miał ochotę się wynieść. Niekiedy wyglądało na to, że Sheila go prowokuje, by rzeczywiście ją zostawił. Zaraz jednak przekonywał siebie, że żona trudno przechodzi adaptację do roli młodej matki. Lada chwila zacznie z własnej woli chodzić na spotkania AA albo znajdzie własny sposób, by stanąć na nogi.

Zdarzały się okresy spokoju. W noc wspaniałego seksu wszystko co złe szło w niepamięć. W jakimś sensie miłość się odradzała. Webster i Sheila zblizali się do siebie powoli, każde oczekiwało, że drugie okaże się szczodre.

Sheila zaczęła jeździć na spotkania AA sama i trzymała się z grupą przez miesiąc.

Webster wiedział, że kiedyś był najszcześniejszym człowiekiem na świecie, ale teraz jakoś nie potrafił odnaleźć szczęścia. Nawet kiedy między nim a Sheilą się układało. Jakoś się w tym nie znajdował. Zamykał oczy i przypominał sobie szczegóły, jednak miał wrażenie, że był niekompletny, jakby część jego samego odpłynęła poza jego zasięg.

A Rowan rosła.

Czasami, jadąc na miejsce zdarzenia Rakietą albo rąbiąc drewno w towarzystwie milczącego ojca, zastanawiał się, czy każde małżeństwo przechodzi takie wzloty i upadki, ma okresy lepsze i gorsze. Uznał, że najpewniej tak. A nieudane to te, które utkną w dołku na dobre i już ani mąż,

ani żona nie wiedzą jak albo nie mają ochoty się z niego wydostać.

W czasie szkolenia uczył się o stresorach. Mówiono o nich w kontekście pracy, trudnych sytuacji, z jakimi paramedycy z pewnością się zetkną, o tym, że mogą one, z czasem, pozbawić ratowników wrażliwości w stosunku do pacjenta, zrodzić obojętność. Webster doświadczył działania stresorów i choć niektóre rzeczywiście mocno nim wstrząsnęły, zwykle udawało mu się je od siebie odsuwać. Nie miał natomiast pojęcia, jak się uwolnić od stresorów w małżeństwie. A przez nie stawał się obojętny wobec żony.

Matka na czworakach poklepywała podłogę. Bawiła się z Rowan. Webster nie zwracał na nie uwagi. W telewizji szedł serial dla dzieci „Mister Rogers' Neighborhood”, który przyprowadził go o ból zębów. Na film także nie zwracał uwagi.

Sheila poszła do pracy.

Rowan miała na buzi fioletowe smugi po lukrze. Webster pozwalał matce żywić ją, czym tylko zechciała. W końcu przecież nie miała córki, którą mogłaby rozpieszczać. A poza wszystkim innym sprawiało mu to przyjemność.

Matka, ciężko dysząc, wróciła na sofę. Rowan wydawała się zahipnotyzowana serialem, który dla Webstera był nudny jak flaki z olejem.

- Jesteś dzisiaj Panem Milczkiem - odezwała się matka, trącając go w bok.

- Mamo, litości. Zachowujesz się, jakbyś wyszła z tego idiotycznego serialu.

- Oho! A teraz Pan Obrażalski! - oznajmiła matka niezrażona, z błogim wyrazem twarzy.

Webster spróbował się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło.

- Chcesz coś do picia? Mrożonej herbaty?

- Nie - odparł.

- Co cię gryzie? - spytała, teraz wyraźnie zatroskana. - Martwisz się o to, że Sheila pije, tak?

- Skąd o tym wiesz?

- Trudno nie wiedzieć, przecież mamy oczy.

- Rozmawialiście o tym?

- Tylko we dwoje.

Webster, zawstydzony, odwrócił wzrok.

- To nie twoja wina - powiedziała matka.

- Skąd wiesz? - wybuchnął Webster. - Skąd można wiedzieć, czy coś, co robię, albo coś, czego nie robię, nie doprowadza jej do szaleństwa?

- Powiedziała ci to? - Zerknęła na Rowan, by się upewnić, że mała nadal patrzy w telewizor. - Macie przecudne dziecko - dodała.

- Wiem.

- Wyglądasz na przygnębionego.

- Jestem przygnębiony. Ostatnio nie jest mi lekko.

- Czy Sheila cię kocha?

- Chyba tak.

- Wobec tego na pewno się opanuje - rzekła matka. - Dla ciebie i dla Rowan.

- To nie takie proste.

Webster zauważył, że małej buzia wygięła się w podkówkę. Program dobiegał końca.

- Postarajcie się częściej razem wychodzić - poradziła mu matka. - Na spacer, na wycieczki. I nie zajmujcie się Rowan osobno, tylko też razem.

Doceniał jej dobre chęci. Tyle że rady matki były jak plaster na śmiertelną ranę.

Rowan potruchtała do babci i wtuliła zapłakaną twarzyczkę w jej kolana, wycierając o nią i nos, i oczy, wszystko.

- Zapamiętaj sobie jedno - powiedziała matka, gładząc Rowan po główce. - Dzieci są darem od Boga, a nie powodem do zmartwienia.

W następną niedzielę wcielił radę matki w życie. Poprzedniego wieczoru namówił Sheilę na wyprawę na plac zabaw w lesie. Było tam miejsce na piknik - stoły i ławy, trasy oraz plac zabaw dla dzieci z prawdziwego zdarzenia. Wybiorą się we troje.

- Urządzimy piknik - powiedział. - Zjemy tam śniadanie.

Rano spakował bagaże: zapałki, chleb i bekon, długie szpikulce, talerzyki jednorazowe, sok, ręczniki papierowe, tacki do grillowania, termos z kawą i dwa kubki.

- Proszę, proszę - cmoknęła Sheila.

- A żebyś wiedziała.

Rowan była wyraźnie podniecona rodzinnym wypadem, a Webster zastanawiał się, dlaczego do tej pory tego nie robili. Owszem, razem jeździli po zakupy, załatwiali różne sprawy i całą rodziną bywali u rodziców na obiedzie, przynajmniej raz na dwa tygodnie, ale ot tak, do parku, we troje nie wychodzili.

Na miejscu Sheila pilnowała Rowan, która postanowiła z bliska obejrzeć każdy rozpakowany drobiazg, a Webster rozpałił ogień w jednym z kilku dołków, przeznaczonych do tego celu, rozrzuconych na wdzięcznej polanie. Wkrótce pojawiły się inne rodziny. Na ogół dziećmi opiekowali się tylko ojcowie. Matki najprawdopodobniej nadrabiały zaległości w spaniu albo po prostu miały czas dla siebie.

Webster ustawił na kratce nad ogniem tacki do grillowania i zabrał się do smażenia bekonu w taki sposób, jak nauczył go ojciec: wolno i solidnie. Apetyczny zapach dotarł do dziewcząt. Sheila uniosła brew. Webster ułożył gotowy bekon na talerzyku wyścielonym papierowym ręcznikiem, żeby odsączyć tłuszcz. Następnie przyrumienił chleb, odwracając go długimi szczypcami. Kromki musiały być brązowe, przypiekane do chwili, gdy zaczynają się na nich ukazywać czarne plamki. Potem nalał do odpowiednich naczyń sok i kawę. Wreszcie na kromkach chleba ułożył po trzy plastry bekonu, po czym każdą przykrył drugą kromką. Przyrządził po jednej takiej kanapce dla siebie, żony i córki. Uznał, że akurat w tej chwili inni ojcowie mogą mu zazdrościć. Gdy na stole wszystko było przygotowane, zawołał:

- Chodźcie jeść!

Sądząc po rozkosznym mlaskaniu i pełnych zadowolenia pomrukach, obu im bardzo smakowało.

- Zwykle kiedy coś planujesz, nie obiecuję sobie zbyt wiele - powiedziała Sheila - ale to przekracza najśmielsze oczekiwania.

- Takie kanapki trzeba koniecznie przyrządzać na zewnątrz i palić drzewo, nie węgiel. W przeciwnym razie smakują zupełnie inaczej.

Przyglądał się Rowan, która otwierała buzię na całą szerokość i pakowała do niej jak największe kęsy.

- Szkoda, że nie wziąłem aparatu. Przecież to kamień milowy.

- Jej pierwsza kanapka z bekonem? - upewniła się Sheila.

- Powinieneś częściej ruszać się z domu.

- Mama mówiła to samo. Jak byliśmy u niej we wtorek. Powiedziała, że powinniśmy częściej wychodzić. Razem.

Sheila wypła sok.

- Chcesz jeszcze jedną kanapkę? - spytał Webster. - Bekon gotowy, tylko przypiekę chleb, to chwila.

- Tak, zjem jeszcze jedną.

- Ja też - odezwała się Rowan, chociaż właśnie przed chwilą otworzyła swoją kanapkę i wywlokła z niej plastry bekonu.

Sheila i Webster zjedli po drugiej kanapce. Siedzieli we troje na ławkach dookoła stołu. Webster czuł nieśmiałe muśnięcie szczęścia.

Potem Sheila sprzątała, a on zabrał córkę na krótki spacer szlakiem turystycznym. Nie chciał wsadzać jej do samochodu zaraz po jedzeniu. Spacer okazał się krótszy, niż planował, ponieważ Rowan, zupełnie jak szczeniak, musiała obejrzeć i dotknąć każdy mijany kamień i szyszkę. Po powrocie zastali Sheilę na huśtawce.

- Pobużać cię?

- Ah a .

- Mnie też! - poprosiła Rowan, wdrapując się na drugą huśtawkę.

Webster bujał obie, popychał wysoko, aż Sheila zaczęła się głośno śmiać, a Rowan krzyżeć z zachwytu. Piękne dźwięki. Najpiękniejsze.

W końcu Sheila uznała, że ma dosyć.

- W głowie mi się kręci.

Obie zeskoczyły i we trójkę usiadły na ławce ustawionej przy ścieżce, niedaleko od miejsca, gdzie jedli. Po chwili Rowan ześlizgnęła się z ławki i zajęła oglądaniem skarbów przyrody, leżących na ziemi. Sheila milczała. Webster obawiał się, że znowu się od siebie oddalają.

- Sheila - powiedział cicho.

Odwróciła się do niego z półuśmiechem, któremu nauczyła się nie ufać.

Owszem, mógł tworzyć magiczne chwile, ale nie umiał rozciągnąć ich do tego stopnia, żeby się zetknęły, tworząc całe życie.

Położył ręce na oparciu ławki, lecz nie dotknął Sheili. Patrzył na Rowan. Wiedział, że Sheila chce się napić. Powiedział Rowan, żeby nie wsadzała kamyków do nosa. Córeczka zmierzyła go spojrzeniem spod opuszczonych powiek, jakby rozważała „za” i „przeciw”. Jakaś starsza kobieta, siedząca na sąsiedniej ławce, pochyliła się do przodu. Webster dopiero wtedy ją zauważył.

- To najpiękniejsze lata waszego życia - powiedziała z uśmiechem.

Webster pokiwał głową, dając jej znać, że usłyszał. Sheila schyliła głowę, jakby chciała uważnie obejrzeć ziemię.

- Rzeczywiście - powiedziała, nie zwracając się do nikogo.

Podwórce za lodziarnią nie było może wyjątkowe, ale nabrało uroku, po tym jak Webster i Sheila przez godzinę wieszali na drzewach balony, dekorowali stół czerwonymi kubkami, czapeczkami urodzinowymi i kolorowymi talerzami oraz przygotowywali gry i zabawy, odpowiednie dla dwulatków. Rowan nie mogła się doczekać przyjęcia. Wszędzie jej było pełno. Już miała plamy od trawy na żółto-białej sukience, którą matka

kupiła jej specjalnie na tę okazję. W końcu Sheila i Webster stanęli, by ocenić efekty.

- Wygląda, jakby tu ktoś obchodził urodziny - powiedziała Sheila.

- Szczęście, że nie pada, chociaż takie były prognozy.

- Oni zawsze się myślą.

- Rowan zaraz pęknie - orzekł Webster, uśmiechając się do małej.

Od dłuższego czasu układało im się całkiem przyzwyczajenie. Webster nie śmiał mieć nadziei, że wyszli na prostą, ale minęło dość czasu, by uznał, że razem z urodzinami córki mogą świętować poprawę nastrojów w małżeństwie. Sheila upiekła tort - czekoladowy z żółtym lukrem. Znalazły się na nim trzy świeczki - dwie, bo dwa latka, i jedna na szczęście.

Pierwsze urodziny Rowan obchodzili w gronie rodzinnym, tym razem natomiast Sheila postanowiła zaprosić czworo dzieci, które córka znała ze żłobka, oczywiście razem z rodzicami. Webster nie znał rodziców, widywał ich jedynie przelotnie. Babcia i dziadek Rowan także zostali zaproszeni.

Sheila wydawała się zadowolona. Nalała coli do jednego z wyższych czerwonych kubków, przeznaczonych dla dorosłych, i zapytała Webstera, czy on też chce. Właśnie miał przystać na propozycję, gdy zjawili się pierwsi rodzice, z chłopcem imieniem Jason. Rowan zabrała gościa, żeby mu pokazać gry przygotowane przez tatę. Sheila zaproponowała rodzicom napoje, pokazała, gdzie stoją dipy i przekąski. Gości szybko przybywało. Rozmowa się nie kleiła, obfitowała w dowcipy o mieszkaniu nad lodziarnią. Webster znał je co do jednego, jednak udawał, że go śmieszą.

Sheila zabawiała matki, śmiała się często i głośno. Znała je lepiej niż Webster.

Pan domu całkowicie poświęcił się roli mistrza ceremonii.

Dopiero po jakiejś godzinie zorientował się, że Sheila stale trzyma w dłoni czerwony kubek. W głowie rozbrzmiał mu dzwonek alarmowy. Wy tłumaczył sobie jednak, że z pewnością

była zdenerwowana, więc potrzebowała czegoś dla kurażu. Gdy nadszedł czas na tort, Rowan pomyślała życzenie i nadeła policzki, ale - ku zdumieniu Webstera - to Sheila zdmuchnęła świeczki. Był pewien, że córeczka się rozplacze, jednak mała zamiast tego pacnęła rączką w tort, psując lukrowy napis „Wszystkiego najlepszego”. Tylko Webster widział w tym geście wyraz gniewu i złości. Sheila uznała go za cudny i skwitowała śmiechem. Webster przyjrzał się rodzicom. Od razu zauważył baczne spojrzenia.

W czasie gdy pomagali dzieciom przy grach, Sheila, z czerwonym kubkiem w ręku, stała oparta o betonową ścianę lodziarni. O wpół do drugiej, żegnając gości, mówiła niewyraźnie. Webster widział, że rodzice ochronnym gestem przygarniali do siebie dzieci, kiedy się do nich zbliżała. Był wściekły, palił go wstyd. Gdy ostatni zaproszeni wyszli z przyjęcia, powiedział Sheili, żeby poszła na górę, a on zajmie się córką i sprzątnieniem.

Poszła, nie bez trudu. Matka Webstera wzięła się do sprzątania, on stał obok ojca pod czerwonym klonem i obaj patrzyli na małą.

- Sheila jest w kiepskim stanie - zauważył ojciec, przechodząc od razu do sedna. - Trzeba jej pomóc.

- Już nie wiem, co robić. Próbowałem wszystkiego. Jeszcze tylko od niej nie odszedłem.

- Musisz się rozejrzeć za czymś konkretnym. Może przydałby się udział w specjalnej kuracji.

- Odwykowej?

- Właśnie.

- Tato, to kosztuje - powiedział Webster.

Skrzywił się, gdy usłyszał własne słowa. Ojciec mógł pomyśleć, że prosi o pieniądze.

- My z matką... - zaczął ojciec.

Webster uniósł dłonie.

- Przepraszam, niepotrzebnie wspomniałem o kosztach. Nie chcę pieniędzy. Cokolwiek postanowimy, damy sobie radę sami.

Ojciec włożył ręce do kieszeni. Żaden z nich ani na chwilę nie oderwał oczu od Rowan, która najwyraźniej już zapomniała o incydencie z tortem.

- Powiem ci coś, synu. Najlepszą inwestycją dla mnie i dla twojej matki jest dobro twoje i twojej rodziny.

- Dzięki za propozycję. Muszę ją przemyśleć.

- Jesteś alkoholiczką, cholera!

Byli we dwoje w sypialni, Rowan w salonie oglądała telewizję. Webster starał się mówić cicho, ale kipiał od gniewu.

- Jak mogłaś?! W urodziny córki? Czy ty w ogóle cokolwiek kojarzysz? Widziałaś, jak dzieci uciekały do rodziców, kiedy się zbliżałaś? Rany boskie, Sheila, czy masz chociaż blade pojęcie, co ci ludzie sobie o nas myślą?

- No jasne. - Sheila wyjęła paczkę papierosów z szuflady, zapaliła. - Bardziej cię obchodzi, co o nas myślą sąsiedzi, niż to, co się ze mną dzieje.

- Wiem, co się z tobą dzieje. Wystarczy spojrzeć.

Wsunęła pasmo włosów za ucho, uniosła brodę, jakby jej naprawdę było wszystko jedno.

- I co, jaką mi wymyślisz karę? - spytała. - Nie będziemy więcej urządzić Rowan urodzin? Super. W ten sposób ona też zostanie ukarana.

- Ona już została ukarana - oświadczył Webster.

- A co, wstydziła się za mamusię?

- Owszem, właśnie tak. Doskonale wie, że piłaś. Odsuwała się od ciebie. Strach pomyśleć, co tu się dzieje, kiedy mnie nie ma.

- Strach pomyśleć... Rany boskie, Webster, kiedy się z ciebie zrobił taki dupek?

- Powinnaś iść na odwyk.

- Bo pan mąż tak każe? - zapytała, wstając. - Aha, i więcej nie idę na te całe spotkania AA. Tam się można zapłakać na śmierć. Nie mam nic wspólnego z tymi ludźmi. A poza tym przesadzasz, jeśli chodzi o moje picie. Ze wszystkim przesadzasz.

Czy Rowan wygląda na zagłodzoną, zaniedbaną, nieszczęśliwą?

Uważasz, że nie kocham jej tak samo jak ty?

- Moim zdaniem, kochasz Rowan równie mocno jak ja.

Niestety, alkohol kochasz bardziej.

- Nieprawda.

- Przestań. Sheila, proszę cię, przestań. - Miał bardzo smutny głos.

Pochyliła głowę.

- Odłóżmy to do jutra, dobrze? - poprosił.

- Jasne - przystała. - Nie wszystko naraz.

Nastąpił miesiąc dobry, a po nim zły. Później trzy tygodnie dobre i jeden koszmar. W czasie złych tygodni Webster jak mantrę powtarzał w kółko jedno zdanie: „Moja rodzina potrzebuje pomocy”. Czuł gorycz na myśl, że potrafi ratować pacjentów z zawałem, leczyć rany i przeciwdziałać skutkom przedawkowania, a nie umie załatać pęknięć we własnym małżeństwie.

Zaczynał się denerwować w chwili otwarcia drzwi do domu. Bywało, że Rowan siedziała na sofie zmęczona i posepna, wpatrzona w telewizor, a Sheila spała w pokoju obok. Musiał koniecznie coś wymyślić. Któregoś razu zastał żonę w kuchni, na blacie stała do połowy opróżniona butelka wina.

- Porcja do dania, porcja dla kucharza - oznajmiła Sheila z uśmiechem, jak gdyby nigdy nic.

- Gdzie Rowan? - zapytał przestraszony.

- Przed domem. Lepi bałwana.

Błyskawicznie zbiegł po schodach.

Trzeba koniecznie coś wymyślić.

Kazał Sheili przysiąc, że nigdy nie wsiądzie za kierownicę po pijanemu.

Dwa razy zdarzyło jej się zapomnieć odebrać córkę ze żłobka. Właścicielka placówki dzwoniła do Webstera do pracy, informację dostał przez radio. „Jedź odebrać córkę”.

Przeszukiwał mieszkanie, regularnie i dokładnie. Ciągle na nowo. Któregoś razu znalazł w śmieciach lodziarni białą plastikową torbę z kilkudziesięcioma małpkami wódki i whisky. Przymknął oczy. Ile razy musiała się zatrzymywać w różnych sklepach monopolowych, żeby zgromadzić taki zapas, nie ściągając na siebie uwagi? Czy odbywała te wycieczki z córką?

Robił co w jego mocy, słuchał rad i stosował informacje z podręczników, ale ciągle się bał, że ten pacjent, jego małżeństwo, nie przetrwa.

Którejś nocy między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem Webster po powrocie do domu zastał Rowan śpiącą w łóżeczku, które upchnęli w kącie pod skosem dachu. Po wstawieniu choinki już wcale nie zostało miejsca. Gwiazdka minęła w miłym nastroju, Webster z prawdziwą przyjemnością zapisał w pamięci obraz córeczki, która zaraz po przebudzeniu zobaczyła prezenty. Miał ogromne kłopoty z wyborem prezentu dla Sheili. Na początku ich znajomości gotów był obsypywać ją upominkami, a teraz czuł się znużony, pozbawiony wyobraźni. Rzeczy ładne lub romantyczne wydawały się trącić fałszem. W końcu kupił wolnowar, o którym kiedyś wspominała. Taki prezent budził w nim przygnębienie.

Potrzebowali większego mieszkania i nie mogli z tym czekać długo. Jedną pewnością umiała mu życie: nie musiał się martwić, że obudzi córkę, wracając do domu w nocy. Rowan sypiała jak kamień.

Tamtej nocy Sheila zawołała go z sypialni.

- Jedną sekundę - odpowiedział.

Stała w drzwiach. Miała na sobie czarne pończochy, koronkowy stanik i figi od kompletu. Brzuch całkiem płaski. Jak ona to zrobiła?

- Ooo... Jak mogę ci się odwdziaczyć? - spytał.

- Chodź, coś wymyślimy - rzuciła kokieteryjnym tonem.

Zrzucił ubranie obok pralki i suszarki, po czym wziął najszybszy prysznic w życiu. Zanurkował do łóżka ze swoją

ukochaną żoną. Ani śladu dymu, żadnego tchnienia alkoholu. Zaczął się rozluźniać.

Sheila położyła się na nim, rozsunęła mu ramiona na boki.

- Kocham pana, panie Webster - powiedziała - i chcę, żeby pan o tym zawsze pamiętał.

Pochyliła się, pocałowała go w usta.

Uwolniła jego ramiona, więc mógł przesunąć nimi po jej plecach... niezmiernie uczucie. Pocałowała go znowu i uniosła się, mógł podziwiać koronkowe cudeńka. Chwył ją, pociągnął do siebie, ułożył sobie na ramieniu, tak że mógł patrzeć jej w twarz. Ich spojrzenia się spotkały, czuł wtedy, że każde z nich powiedziało drugiemu wiele słów, złożyło stokrotne przeprosiny, choć w języku nieznanym żadnemu. Powiedział jej, że ją kocha, a ona pocałowała go namiętnie, rozpoczynając tym zmagania miłosne, znane obojgu z minionych dni. Webster był równie podniecony, co udęczony. Z jednej strony, nie potrafił odzłać wszystkiego, co stracili, z drugiej, spalała go żądza, zawsze był spragniony ciała Sheili. Próbowali się wzajemnie pokonać, jednak tej rywalizacji żadne nie mogło wygrać. Pragnął Sheili rozpaczliwie. Chciał jej na zawsze. A przede wszystkim chciał, żeby wszystko było inaczej niż ostatnio.

Sheila wstrzymywała się, choć wiele ją to kosztowało. Kiedy przyszedł ten moment, patrzyli sobie głęboko w oczy. A potem odsunęli się od siebie ze śmiechem.

Przez tydzień, a potem jeszcze następny, Webster cieszył się życiem.

Sygnal rozległ się o szesnastej czterdzieści pięć. Webster odebrał wezwanie. Burrows podniósł wzrok znad kart. Wygrywał.

- Dziesięć pięćdziesiąt - powiedział Webster. - Dwa pojazdy na drodze dwieście dwadzieścia dwa, na północ od miasta.

- Cztery minuty dwadzieścia sekund - rzucił Burrows. Nawet nie musiał się zastanawiać.

Biegiem ruszył do Rakiety, Webster deptał mu po piętach.

- Stawiam, że kierowca zasnął za kółkiem - powiedział Burrows w karetkę. - Wchodzisz?

Webster zastanowił się chwilę. Szesnasta czterdzieści pięć. Żadnego ruchu. Pogoda jak na zamówienie. Może jakiś pijany, ale to mało prawdopodobne. Albo sercowiec. Jeszcze mniej prawdopodobne.

- Kto wie? - sprzeciwił się. - Może mu sarna wybiegła na drogę?

- Jeszcze chwila, a wygrałbym od ciebie siedem dolców - orzekł Burrows, przyglądając krótko ostrzyżone włosy.

- Tak ci się tylko wydaje.

- Nic nie miałeś w kartach - powiedział Burrows.

- Wolno ci tak sądzić.

Burrows pokazał mu środkowy palec.

- Jesteśmy pierwsi? - spytał. - Czy robimy za wsparcie?

- Na razie pierwsi. Ich medycy pojechali do pożaru.

- Może ten też się śpieszył do pożaru? Strażak ochotnik?

- Możliwe - zgodził się Webster.

- Na złamanie karku...

- Na to wygląda.

- Ech, rany...

W pędzie minęli stary niebieski domek, ganek z żaluzjami. Ostry zakręt - i znaleźli się na drodze numer dwieście dwadzieścia dwa.

- Daleko? - spytał Burrows.

- Nie wiem.

Webster nienawidził tej drogi. Wiła się po wzgórzach, bardzo niebezpieczna. Trudno było jechać szybko, jeśli się widziało przed sobą na jakieś dwadzieścia metrów.

W pewnym momencie dostrzegł błyskające światła ostrzegawcze, wduśił hamulec w podłogę. Stanowy samochód policyjny, pomalowany na zielono i złoto, miał otwarte drzwi, one zasłaniały widok.

Websterowi. Burrowsowi nie.

- Cholera! - zaklął ratownik, wyskakując z karetki. Chwycił apteczkę, deskę i już go nie było.

Wtedy Webster zobaczył buicka.

Serce mu zamarło. Nie potrafił wydostać się zza kierownicy.

Wreszcie wysiadł, podbiegł do samochodu, zobaczył Sheilę na przednim siedzeniu. Burrows już się nią zajmował. Webster otworzył tylne drzwiczki. Gdzie Rowan? W żłobku? Starał się skupić. Może Sheila zostawiła małą u jego matki? Co ona w ogóle robiła na tej drodze?

Stanął przed nim policjant stanowy.

- Nieprzytomna kobieta za kierownicą buicka - odmeldował. - Dziecko dziesięć metrów od wozu. Drugi kierowca, mężczyzna, odbił w ostatniej chwili. Zakleszczony w ciężarówce. Staramy się go wydostać.

- Potrzebna pomoc! - zawołała policjantka.

Webster zobaczył przy niej na ziemi fotelik. Wystrzelił jak z procy.

- Dziecko przypięte pasami do fotelika - streściła policjantka - ale fotelik wstawiony do wozu luzem. Mała wypadła przez otwarte okno, żyje.

Webster opadł na kolana, uniósł koc okrywający Rowan. Nadal tkwiła w foteliku.

- Córeńko...

Jako fachowiec odruchowo sumował skutki wypadku: skaleczenia na twarzy, prawdopodobnie złamany nadgarstek, sądząc po jego ułożeniu. Twarz umazana krwią. Dziewczynka zapewne była w szoku. Nie podobało mu się szkliste spojrzenie.

- Potrzebna pomoc! - krzyknął.

- Fotelik musiał uderzyć pod kątem, ochronił jej głowę - odezwała się policjantka i przykucnęła. - Jak kask.

- To moja córka! - zawołał Webster.

Policjantka wstała, gwizdnęła ostro. Na ten sygnał podbiegł do nich jakiś mężczyzna w policyjnym mundurze.

- Kiedy będzie druga karetka? - spytała kobieta.

- Za niecałą minutę.

- Gdzie drugi ratownik?

- Zajmuje się ofiarą z buicka.

- Stan krytyczny?

- Raczej nie.

- Daj go tutaj, potem wezwij wsparcie razy dwa. Ten ratownik właśnie wypadł ze służby.

Burrows podniósł Webstera z mokrej trawy.

- Teraz jest moją pacjentką - oznajmił, zaglądając mu w oczy. - Ja się nią zajmę. Ty trzymaj ją za rękę.

Webster zrobił krok do tyłu.

- Dajcie dziecięcy kołnierz i łubki - odezwał się do paramedyka, który biegł od drugiej karetki.

Właśnie przyjechała trzecia.

Patrzył, jak Burrows usztywnia rękę Rowan. Słyszał płacz córki, najwspanialszy dźwięk na świecie. Potem, na widok małej na desce, zrobiło mu się niedobrze.

W głowie kłębiły się Websterowi wszelkie możliwe „co by było, gdyby”. Co by było, gdyby facet nie odbił? Co by było, gdyby Sheila uderzyła w drzewo? Co by było, gdyby to Rowan, wypadając z samochodu, uderzyła w drzewo?

Burrows położył mu rękę na ramieniu.

- Mała wyjdzie z tego bez szwanku - powiedział. - Złamany nadgarstek i złamana noga. Wylądowała na prawym boku. Zwerbowałem strażaka do prowadzenia karetki. Możesz jechać ze mną z tyłu. Tylko pamiętaj, ja jestem lekarzem, ty ojcem.

Webster pomógł Burrowsowi wsunąć deskę z Rowan na nosze w karetce. Świat stanął na głowie.

- Jeśli chodzi o twoją żonę - odezwał się Burrows, kiedy już siedzieli w karetce.

- Moją żonę...

- Nie jej nie będzie.

- Alkohol?

- Dwa i sześć.

Webster zacisnął zęby, kiwnął głową.

- Niewiele brakowało, żeby zabiła Rowan.

- Ale nie zabiła. Chcesz wiedzieć, w jakim jest stanie?

Webster milczał.

- Złamany obojczyk, skaleczenia na czole i klatce piersiowej. Liczne urazy. Możliwe uszkodzenie śledziony.

Innymi słowy, spokojnie się wylize, pomyślał Webster.

- Płakała - powiedział Burrows.

- A, pieprzyć...

W szpitalu Rowan została zbadana na ostrym dyżurze, następnie przeniesiona do dwuosobowego pokoju w skrzydle pediatrycznym. Webster nie odstępował jej na krok. Delikatnie gąbką obmył jej twarz z krwi. Karmił ją, przejmując tace od pielęgniarek. Pilnował monitorów. Czytał córce, gdy się budziła. Z czterdziestu trzech godzin spędzonych w szpitalnej salce przespał sześć.

Ani razu nie zajrzał do Sheili.

Trzeciego dnia rano matka Webstera przyszła po niego i wnuczkę. Mieli u niej zamieszkać przez kilka dni. Nie zająknęła się słowem o Sheili.

Miała ze sobą nowy fotelik samochodowy i koc, którym Webster opatulił córkę. Usiadł z tyłu i starannie przypiął

pasami ich oboje. Resztę tylnego siedzenia zajęły pluszaki, prezenty od pielęgniarek. Kiedy przystąpili do nadawania im imion, Rowan chichotała. Burrows pojechał za nimi cruiserem. Potem auto zabrał nowy żółtodziób.

W domu Webster oddał Rowan pod opiekę matki. Wiedział, że w kuchni na stole czekają na małą smakołyki. Sam został na ganku.

- Masz tydzień wolnego - oznajmił Burrows.

- Dzięki.

- Jutro rano wypuszczą Sheilę. Policja zabierze ją na posterunek, tam przedstawią jej zarzuty.

- Co z kierowcą ciężarówki?

- Złamane biodro, uszkodzone kolano. Może wyjdzie w przyszłym tygodniu. Ale kolano wygląda kiepsko, będzie potrzebna operacja i parę miesięcy rehabilitacji. Nie ma mowy, żeby wrócił do ochotniczej straży pożarnej.

- Jakie będą zarzuty?

- Spowodowanie wypadku, prowadzenie pod wpływem alkoholu, sprowadzenie zagrożenia na osoby trzecie... pewnie to nie koniec.

- Pójdzie siedzieć?

- Na pewno. Recydywa. No i tym razem ucierpiął inny człowiek.

Webster odwrócił wzrok.

- Gliny nie zjawią się przed dziesiątą - napomknął Burrows.

Webster znów kiwnął głową.

- Dostałem tę informację bezpośrednio od Nye'a.

- Kto by przypuszczał? - zdziwił się Webster.

- Kto by przypuszczał.

Nazajutrz Webster wszedł do szpitalnego pokoju Sheili o ósmej rano. Miała na sobie swoją starą skórzaną kurtkę. Najwyraźniej Burrows ją uprzedził. Wyglądała groteskowo. Przecięta warga, czoło i policzki ukryte pod bandażem. W prze-

ciwieństwie do Rowan, która złamała nadgarstek i nogę, mogła chodzić.

- Niewiele brakowało, a zabiłabyś dwie osoby - powiedział.
- I siebie. - Stał trzy metry od niej, ręce, zaciśnięte w pięści, trzymał w kieszeniach.

Pochyliła głowę.

- Przepraszam, naprawdę mi przykro.

- To nie ma znaczenia.

- Pójdę na odwyk - obiecała.

- Pójdiesz za kratki. - Wziął głębszy oddech. - Powiniennem cię teraz zawieźć na posterunek.

Podniosła wzrok.

- Ale tego nie zrobisz.

- N i e .

Przebiegł między nimi prąd. Gniew, żal, wyrzuty sumienia. I coś jeszcze. Ostatni przeblýsk pragnienia.

Webster podjechał cruiserem pod frontowe drzwi szpitala. Mary wytoczyła Sheilę na wózk. Pomagała mu, razem z Burrowsem i Nye'em. Gliniarzowi będzie winien wdzięczność do końca życia.

Gdy znaleźli się w samochodzie we dwoje, zapytał Sheilę, co robiła na drodze numer dwieście dwadzieścia dwa.

- Nie pamiętam - odparła.

Zaciskał dłonie na kierownicy. Nie mógł powstrzymać zgrzytania zębami, był na nią wściekły za to, co zrobiła, i za to, że czuł się zmuszony do zrobienia tego, co teraz zrobić zamierzał.

Zatrzymał się dobry kilometr przed domem rodziców. Odwrócił się do Sheili, ale ona nie podniosła wzroku.

- Zostawiam kluczyki w stacyjce - powiedział. - W skrytce na rękawiczki jest półtora tysiąca. Jedź, aż miniesz stan Nowy Jork. Potem zostaw cruisera na jakimś całodobowym parkingu. Wsiądź do autobusu i jedź jak najdalej. Nie wracaj. Jeżeli wrócisz, zostaniesz aresztowana.

Rozpłakała się.

- I trafisz do więzienia.

Czekał. Sądził, że poprosi o parę chwil z córką. Był przygotowany, by jej odmówić. Nie poprosiła.

Wysiadł z wozu. Zatrzasnął drzwiczki, świadomy, że właśnie zamyka rozdział życia. Poszedł przed siebie, przygarbiony, jakby czekał na kulkę w plecy.

Przeszedł jakieś pięćset metrów, zanim usłyszał warkot uruchamianego silnika. Słuchał, jak się zbliża.

Zapłonęła w nim wątlym płomykiem szalona nadzieja. Wyobraził sobie, że Sheila się zatrzymuje. Wtedy by jej powiedział, że ją kocha. Stałby się cud i wszyscy troje nadal byłiby rodziną.

Sheila minęła go o włos, przyhamowała, po czym dodała gazu.

Patrzył na tylny zderzak cruisera, aż zniknął mu z oczu.

Potem osunął się w trawę na poboczu i rozpłakał na cały głos. Nie dbał, czy go ktoś zobaczy.

2009

Kiedy Rowan wychodzi do szkoły, Webster zmywa naczynia po urodzinowym śniadaniu i wąskimi schodami wspina się na poddasze domu, który teraz, po śmierci rodziców, należy do niego. Oboje umierali we frontowym pokoju, otoczeni opieką syna. A Webstera dręczyła bezradność wobec raka. U ojca prostaty, u matki - płuc. Nigdy nie zapaliła ani jednego papierosa. Pod sam koniec życia ojca, gdy słuchał jego ostatnich oddechów, po których następowały sekundy pustki, mimo całej wiedzy i doświadczenia, czuł strach. W tamtym czasie mógł już tylko podawać morfinę i trwać przy umierającym, trzymać go za rękę, lekką i zimną, siedzieć w mrocznym pomieszczeniu przy szpitalnym łóżku, ustawionym w pokoju frontowym. Nie po raz pierwszy zetknął się ze śmiercią, ale ta ogromnie nim wstrząsnęła. Strach skręcał mu wnętrzności i paraliżował mózg, przerażenie dusiło w gardle. Najważniejsza na świecie stała się kroplówka z morfiną. W końcu dziesięcioletnia Rowan przyszła pożegnać się z dziadkiem.

Od odejścia Sheili minęło wtedy osiem lat.

Teraz Rowan ma lat siedemnaście.

Webster leży na łóżku córki.

Nad głową ma wymalowany przez nią fresk, przedstawiający kurorty narciarskie Nowej Anglii, które odwiedziła. Góry oddane wyrafinowaną kreską, nad nimi jałowe niebo, odległości między wzniesieniami skrócone przez kręte drogi, poznaczone figurkami dżipa cherokee, subaru oraz toyoty, stanowiącej własność Rowan, każda z bagażnikiem narciarskim

na dachu. Sunday River, Stowe, Okemo, Loon, Killington, Stratton, Bromley, Bretton Woods, a nawet Wachusett Mountain na południowym wschodzie.

Po śmierci rodziców Webster odnowił dla Rowan swoją dawną sypialnię na strychu. Sam zrobił szafę, półki na książki i biurko z szufladami. Rowan wciąż sypia w starym dębowym łóżku, które niegdyś należało do Webstera, tyle że zniknął koc z logo drużyny hokeja na lodzie Boston Bruins, zastąpiony patchworkową narzutą, uszytą przez babcię dziewczynki. Teraz narzuta leży na podłodze, pół kołdry zwisa przez krawędź. Webster, sam niezbyt dobry w ścieleniu łóżka, nie nauczył córki, jak należy to robić. Czasami zastaje tutaj kompletny galimatias, kiedy indziej - koc naciągnięty aż na poduszki, jakby ktoś postanowił zaścielić łóżko jednym gestem.

W kącie pokoju widać gitarę i klarnet. Webster od miesiąca nie słyszał, żeby Rowan grała.

Zna zawartość szuflad. Gdyby chciał je otworzyć, znalazłby mnóstwo tubek z błyszczkami do ust, kilkadziesiąt długopisów Bic z poobgryzаныmi końcówkami, zdjęcie Sheili i Rowan zrobione niedługo po narodzinach córki, oglądane tak często, że już chyba kompletnie pozbawione jakiegokolwiek siły oddziaływania... czy aby na pewno? Sztuczną biżuterię, którą Rowan przed wiekami dostała w prezencie i której za nic w świecie nie potrafi wyrzucić, oraz trochę drobników. Webster okresowo zarządza zbieranie drobników po domu. Rowan dzieli znalezione monety według nominału, zawija w papier i znosi do banku. Połowę dostaje. Jakoś niedawno Webster podarował córce na Gwiazdkę maszynkę sortującą monety i zawijającą rulony w papier. Tego samego dnia, jeszcze przed kolacją, Rowan przyniosła mu dwieście sześćdziesiąt dolarów w schludnych rulonach.

Nie miał jednak zamiaru zaglądać do szuflad biurka. Umówili się, że nie będzie szperał w jej rzeczach. Jesienią, tuż po siedemnastych urodzinach córki, znalazł w jej szufladzie blister z pigułkami antykoncepcyjnymi. Powiedział jej o tym. Popełnił błąd, który doprowadził do najgorszej kłótni, jaka im

się zdarzyła. Webster krzywi się na samo wspomnienie tamtej awantury, swojego nieopanowanego gniewu... na co właściwie? Na seksualność córki? Na jej przezorność? Zdrowy rozsądek? Oboje ich ogarnęła wtedy ślepa furia. Wyłynęły wszystkie zadawnione pretensje: o tajemnicze wgniecenie zderzaka toyoty, do którego żadne się nie przyznało, o C z testu z hiszpańskiego - Rowan broniła się, dowodząc, że zna materiał, tylko nie wyrobiła się w czasie, wymachiwała poprawioną pracą, opatrzoną życzliwymi komentarzami nauczycielki; o nakazie wracania do domu przed konkretną godziną, co Rowan uważała za żenujące, śmiechu warte, a jednocześnie odbierała jako karę. Pogwałcenie prywatności uznała za niewybaczalne. W końcu stanęło na tym, że ona zajmie się uszkodzeniem bagażnika, choć Webster zapłaci. Uzgodnili późniejszą godzinę powrotów do domu. Zgodzili się, że korepetycje z hiszpańskiego to całkiem niezły pomysł. No i Webster obiecał już nigdy nie szperać w jej rzeczach.

Przekręca się na bok, radio uwiera go w brzuch. Zdejmuje je z paska.

Ojciec przed śmiercią sprzedał sklep za całkiem przyzwoitą sumę, która po uregulowaniu podatków trafiła do jego rąk. Miał wtedy trzydzieści dwa lata, dziesięcioletnią córkę i nie miał żony. Pieniądze przeznaczył głównie na dzienną i nocną opiekę nad dzieckiem, resztę odłożył na wykształcenie Rowan.

Teraz Webster zarabia pięćdziesiąt siedem tysięcy rocznie. Dotarł na szczyt. Nigdy nie zarobi więcej, pomijając, rzecz jasna, wyrównania zagwarantowane prawem. Ostatnio nawet nie były one przyznawane corocznie. Najbliższe cztery lata chyba będą trudniejsze, ale jednak do przeżycia.

A może nie? Myśli o prezencie, który dostał od Rowan przy śniadaniu. Prognoza pogody mogłaby równie dobrze stanowić opis jego córki w ciągu dowolnego dnia: słońce, słońce zza chmur, deszcz, ponownie słońce.

Odzywa się radio.

- Webster - melduje się.

- Potrzebuję cię wcześniej - mówi Koenig. - W zasadzie natychmiast.

- Będę w jednostce za...

- Z domu masz bliżej.

Koenig podaje Websterowi adres.

- Co się dzieje?

- Mężczyzna, lat czterdzieści osiem. Kłopoty z oddychaniem.

Pacjent, zażenowany i spływający potem, siedzi pod ścianą na perskim dywanie. Webster ma dość czasu, by zwrócić uwagę na katedralny strop, ogromny płaski telewizor i szklaną ścianę otwierającą widok na Green Mountains. Koenig sprawdza puls, zakłada rękaw do mierzenia ciśnienia. Rudowłosa żona przestępuje z nogi na nogę, przyciska dłonie do twarzy. Dwie dziewczynki, także o rudych włosach, jedna z pięć, druga może osiem lat, zostały odesłane do kuchni, ale Webster widzi paluszki na framudze.

- Gdzie pana boli? - pyta.

Pacjent unosi rękę do piersi, przesuwa wzdłuż lewego ramienia.

- Ciśnienie siedemdziesiąt osiem na trzydzieści sześć - mówi Koenig. - Pulsu nie mogę złapać. Oddech trzydzieści dwa, płytki.

Webster podłącza elektrody monitora. Prawa ręka, lewa ręka. Prawa noga, lewa noga.

- Podłącz kroplówkę - poleca Koenigowi. - Potrzebne mu płyny, żeby podnieść ciśnienie.

- My tylko piliśmy kawę - mówi żona piskliwym głosem.

Nie wierzy własnym oczom. Miota się bez sensu, Webster ma ochotę jej powiedzieć, żeby się uspokoiła, bo straszy dzieci.

- Jak silny jest ból w skali od jednego do dziesięciu? - pyta mężczyznę.

Ten traci przytomność, opada na bok. Webster i Koenig

kładą przy nim deskę, prostują go i na niej układają. Sprawdzają puls.

- Jak ma na imię pacjent? - woła Webster.

Żona się waha, na tyle długo, że Webster odwraca głowę w jej stronę.

- To pan Dennis! - krzyczy któreś dziecko z progu kuchni. Pan Dennis...?

- Dennis! - krzyczy Webster.

Cisza.

- Dennis, zostań z nami! - sprawdza monitor. - Defibrylator - rzuca do Koeniga. - Puls?

- Nie wyczuwam.

- Zabierz tlen.

Webster sprawdza, czy elektrody są właściwie przyklejone.

- Uwaga! - rzuca głośne polecenie.

Jeszcze podnosi wzrok, upewnia się, że nikt nie dotyka pacjenta. Włącza urządzenie.

Żona zaczyna wyc przeźnikliwie, ostry dźwięk zdaje się przebijać sufit.

Webster kończy rundę resuscytacji, po czym ustawia defibrylator, ponownie na sto dzuli. Włącza. Podaje pacjentowi adrenalinę, przesuwając wskaźnik na sto pięćdziesiąt dzuli. Dopiero po trzech razach Koenig wyłapuje puls, następnie intubuje pacjenta, zabezpiecza drogi oddechowe.

- Na nosze - mówi Webster.

- Dokąd go zabieracie? - pyta żona, gdy idą do drzwi.

- Do Mercy - odpowiada Webster. - Zrobimy dla pani męża wszystko, co w ludzkiej mocy.

Zerka na dzieci o pobladłych twarzyczkach.

- To nie jest mój mąż - mówi kobieta cicho.

Webster kiwa głową.

Oczywiście. Dzieci zawołały „pan Dennis”. Ona go nie dotknęła, nawet się do niego nie odezwała przy ratownikach.

Nigdy niczego nie zakładać z góry.

- Niech pani zaczeka, ktoś tu się zgłosi do dzieci. Wtedy może pani pojechać do Mercy. I niech ktoś odwiezie mój samochód do straży. Kluczyki proszę zostawić pod siedzeniem. I proszę się uspokoić. Zrobimy dla pacjenta wszystko, co się da.

Niestety, pan Dennis ma się coraz gorzej. Jeszcze raz defibrylator i tym razem, w karetce, Webster nie może wznowić akcji serca. Gnają pasmem górskim, z rzadka poznanym ekskluzywnymi domami letniskowymi, których właściciele urzekła możliwość mieszkania w metrażu pięć razy większym niż na Manhattanie.

Hamują przed ostrym dyżurem już z wyłączonymi światłami i syreną. Webster biegnie obok noszy i zdaje raport, dokładnie przedstawia kolejność procedur, dawki leków, liczbę wstrząsów.

- Brak pulsu od dziewiątej czterdzieści siedem.

Innymi słowy, martwy.

Zastanawia się przez chwilę nad tym, czy przyjaciółka zmarłego pojawi się w szpitalu i czy mężczyzna był żonaty. Może zachowanie kobiety wyrażało poza nerwami coś jeszcze, na przykład gorące życzenie: „Oby nie tutaj!”.

Po wyjeździe z Mercy szybko docierają do miasta i kierują się do jednostki straży, mijając po drodze znak obwieszający, że Hartstone jest miastem wolnym od nikotyny. Obaj milczą, bo wszystkie ich wysiłki poszły na marne i śmierć wygrała. Jada na południe, od zachodu widzą góry Taconic, od wschodu Green Mountains. Webster myśli o przyjaciółce zmarłego. Koenig musi umieścić jej adres w raporcie. Może kobiecie to nie będzie przeszkadzało, ale raczej wręcz przeciwnie. Gdyby jej było wszystko jedno, udzielałaby więcej informacji. Byłaby z dziećmi, rozmawiałaby z Dennisem. Ciekawe, kim on faktycznie dla niej był. Może jego żona została na Manhat-

tanie? Albo we własnym domu o powierzchni dwóch tysięcy metrów kwadratowych, na przykład na sąsiednim zboczu? Webster jest cynikiem. Wiele wezwań pogotowia odsłania niewierność. Inne to często skutek gwałtownych kłótni małżeńskich. W zasadzie widział chyba już wszystko, co mogą sobie wzajemnie zrobić małżonkowie.

Koenig parkuje karetkę na wyznaczonym miejscu, przodem do wyjazdu, jest gotowa do drogi. Jeszcze sprzątanie. Obyło się bez krwi, o tyle dobrze. Webster już idzie do budynku.

- Co tam u Pinta? - pyta, gdy wchodzi do sali dla załogi.

Koenig podchodzi do automatu z kawą, musi nacisnąć dzwignię pięć razy, zanim nakapie mu pół kubka. Webster znowu patrzy na zegarek. Od chwili kiedy córka zrobiła mu śniadanie, minęły trzy godziny.

- Zadzwoił, że jest chory - mówi Koenig, stawiając kubek z kawą na blacie biegnącym przez całe pomieszczenie.

- Znowu?

- Wypalenie - ocenia Koenig.

Koenig nie jest żółtodziobem, ale ma staż krótszy niż Webster.

- Po dwóch latach? - dziwi się Webster.

- Od początku nerwy go zżerały.

Wypalenie.

Webster wie o nim wszystko. Z powodu braku równowagi emocjonalnej, spotęgowanego objawami fizycznymi, bólami pleców i kolan, wywołanymi noszeniem pacjentów, wielu żółtodziobów i niejednen weteran odchodziło ze służby przed czasem. Niektórzy wracali do nauki i robili kurs pielęgniarstwa. Młodszy starali się o przyjęcie do akademii policyjnej. Inni znikali z horyzontu albo, jak pierwszy partner Webstera, Burrows, umierali we własnym domu. Burrows w ostatnim roku pracy cierpiał na wypalenie, które skończyło się zawałem. Webster miał wtedy wolne, usłyszał o śmierci partnera godzinę po fakcie, mało nie oszalał. Gdyby tylko był na służbie! Na pewno by zdołał ocalić partnera, którego kochał jak ojca.

Sam tylko raz musiał sobie radzić z wypaleniem. Po odejściu Sheili. Nie potrafił odpowiedzieć na wezwanie. Leżał na kanapie i patrzył, jak matka zajmuje się jego dwuletnią córką. Akurat u niego nie całkiem wypalenie zawodowe wywołało ten paraliż, ale na pracy skupił się płomień zrodzony z gniewu. Ta krew, tłuste ciała, domy śmierdzące moczem i kocia karma, nastolatki ginące nagłą śmiercią, najgorzej, jeśli samobójczą. Widział, jak ratownicy tracili nerwy na miejscu zdarzenia, krzyczeli na początkujących, przerażając poszkodowanych. Patrzył, jak publicznie szlochali, jak ciskali wyposażenie po powrocie do jednostki. Co gorsza, wiedział, że są na równi pochyłej, prowadzącej do alkoholizmu. Nawet jeśli nie chcieli rezygnować, wypalenie kończyło się odejściem z zawodu.

Matka pozwoliła mu spędzić na kanapie tydzień. Potem stanęła nad nim i powiedziała, że nie ma wyboru, musi na powrót stać się takim człowiekiem, jakim był wcześniej. Że jest jedynym opiekunem córki. Nawet teraz pamięta jej wzrok: współczucie przesłonięte rodzicielską pretensją. Wsparła na biodrach dłonie zaciśnięte w pięści. Powiedziała, że oboje z ojcem pomogą mu, jak tylko zdołają, ale za Rowan odpowiedzialny jest on i nikt inny.

Potem już Webster nigdy nie pozwolił sobie nawet na przelotną myśl o wypaleniu. Nie stać go było na taki luksus.

- Będziecie dziś mieli dobrą pogodę na próbną ceremonię - mówi do Koeniga, żeby zmienić temat.

Jego partner, mężczyzna wysoki i dobrze zbudowany, który biega, a mimo to pali papierosy, nie wygląda na swoje czterdzieści siedem lat. Ma krótko przycięte blond włosy i piwne oczy. Dawniej był nauczycielem matematyki w prywatnej szkole, potem przeżył swoją odmianę wypalenia. Uznał, że musi sobie znaleźć pracę, która go nie zanudzi na śmierć. Webster ze zdziwieniem dowiedział się, że sanitariusz zarabia więcej niż nauczyciel matematyki. I po co studiować przez cztery lata? Koenig, szczęśliwy, że już nigdy w życiu nie poprowadzi lekcji, kocha pracę w ratownictwie, i to widać. Webster w życiu

nie miał lepszego partnera i zapewne mieć nie będzie. Często zamieniają się rolami, żeby Koenig nie zapomniał, co potrafi. Webster nie chce innego partnera, ale jednocześnie ze względu na dobro Koeniga ma nadzieję, że w swoim czasie kolega zyska pozycję lidera w innej karetce.

- Lubisz chłopaka? - pyta Webster.

Powiedzieć, że ślub jest organizowany w tempie odrzutowym, byłoby może niejaką przesadą, ale sprawy toczą się bardzo szybko, ponieważ Jim - czy Joe albo Jack? - w następnym tygodniu musi jechać do Afganistanu.

- Martwię się o chłopaka, ale jeszcze bardziej o Annabelle.

Annabelle ma dwadzieścia jeden lat, wzrostem dorównuje ojcu i tak jak on kocha biegać.

- Może go polubię, jak wróci - ciągnie Koenig. - Jest z niego zapalony prawicowiec, co normalne u chłopaka zakochanego w armii. Nigdy z nim nie gadam o polityce. Ale Annabelle pracowała dla Obamy. Nie mam pojęcia, o czym oni rozmawiają.

- Jak się poznali?

- Na randce w ciemno.

- Czasem można trafić w dziesiątkę.

A nie znaleźć sobie żonę na miejscu wypadku spowodowanego przez nią samą po pijanemu, dzięki czemu Webster powinien był domyślić się wszystkiego, co potrzebne do podjęcia właściwej decyzji, gdyby tylko zechciał uruchomić szare komórki.

- Mam nadzieję, że nie wróci do domu jako kaleka - wzdycha Koenig. - Że nie dostanie w głowę ani w kręgosłup. Znam Annabelle. Zostanie z nim na zawsze. Jezu drogi, po tygodniu małżeństwa będzie się całe życie opiekowała facetem, którego ledwie zna, podcierała mu tyłek i próbowała uczyć mówić. Taki żywiciel rodziny? A gdzie dzieci? Co to za los?

- Hej, hej - hamuje go Webster. - Za daleko wybiegasz w przyszłość. Najpierw niech dziewczyna wyjdzie za mąż. Cieszcie się ślubem. Taka twoja rola w najbliższym czasie.

- Oraz podpisywanie czeków.
- Racja. O rany, byłbym zapomniiał. - Webster wyjmując z tylnej kieszeni spodni kopertę, kładzie ją na stole i otwiera.
- Muszę odnowić licencję.
- Niedługo urodziny?
- Dzisiaj.
- Wszystkiego najlepszego. Ile to? Czterdziestka ci stuknęła?

- A h a .

- Małolat - prycha Koenig.

- No, no! Licz się ze słowami.

Webster czyta list.

- Mam dostarczyć nowe zdjęcie. Co oni, uważają, że mi się zmienił kolor oczu?

- Nie, ale mogłeś przytyć. I posiwieć.

- Moi rodzice posiwili właśnie około czterdziestki - przypomina sobie Webster.

- Ja pięćdziesiątkę będę obchodził łysy.

- Jak ojciec matki?

- Fantastyczny człowiek. Ale miał paskudną łepetynę.

Webster zagląda do komputera, który zawsze stoi włączony na środku stołu.

- Naprawdę będziecie jutro mieli pogodę jak na zamówienie. Dwadzieścia stopni i bezchmurne niebo.

- Niech się los uśmiechnie do Annabelle.

- Mam nadzieję, że do żołnierza też.

- Do Jacksona.

- Jasne, Jacksona, przecież wiem. - Webster odkłada list i pociąga łyk letniej kawy.

- U ciebie w porządku? - pyta Koenig.

- Tak, a co?

- Wydajesz się nie całkiem przytomny.

- E, jak zwykle, martwię się o Rowan.

- Jeszcze pół roku temu nie martwiłeś się o Rowan.

Webster milczy.

- Co się zmieniło?

- Skończyła siedemnastkę.
- Może ma chłopaka?
- Owszem, ma chłopaka. Nazywa się Tommy. O ile mi wiadomo, dobry z niego dzieciak.

Teraz Koenig milczy. Zgniatą pusty kubek, wrzuca go do kosza na śmieci.

- Z Rowan też równa dziewczyna - mówi w końcu. Zaczyna rozwiązywać sznurowadła. - Te timberlandy doprowadzą mnie do szału.

- Długo je masz?
- Trzy tygodnie.
- Nosisz cały czas?

Koenig kiwa głową.

- Pewnie masz ostrogi. Nie możesz chodzić w takich butach.

- Szkoda.
- Poszukaj w jednostce kogoś z takim samym rozmiarem stopy - radzi mu Webster, akurat kiedy odzywa się alarm.

Włącza radio.

- Napad drgawek - informuje Koeniga. - Kobieta dwadzieścia dwa lata. Epileptyczka.

- Suuuper - syczy Koenig, błyskawicznie wiążąc buty.

Webster sprząta kuchnię, przestawia srebrną kostkę ze stołu na parapet. Teraz pokazuje się w niej inna rada: „Powoli i bez szarżowania”.

Myśli o Rowan. Wczoraj wieczorem potrząsała pudełkiem, ciekawe, jakiej rady szukała.

Skończywszy w kuchni, przeciera łazienkę. Okna są brudne, jak to po zimie. Rowan się z nimi rozprawi. I to z ochotą, bo ciągle jest zafascynowana nowym cudem techniki, myjką Windeksa, która rzeczywiście ułatwia pracę. Dzień jest ładny, jak na zamówienie, Webster od czasu do czasu myśli o Koenigu, Annabelle i jej żołnierzu. W zasadzie jednak myśli głównie o Rowan.

Jeszcze nie tak dawno miała zwyczaj obejmować go po powrocie do domu i dawać buziaka. Pytała, jak mu minął dzień, krojąc jabłko dla obojga. Jadali je z cukrem i cynamonem. On dowiadywał się, co u niej, a ona mu opowiadała: kiedy zamierza wybrać się na wycieczkę z Giną, jak się cieszy, że już nie musi się uczyć historii, i pytała, czy może jej pożyczyć pięćdziesiąt dolców do wypłaty, boby się z Giną wybrały do Manchesteru, jest przecena zimowych kurtek. Kiedy to było? W październiku? W listopadzie? Czy przemiana w Rowan zaszła gwałtownie, czy następowała powoli? Nie pamięta. Wydaje mu się, że jednego dnia ścisnęła go i cmo-kała, a następnego już tego nie robiła. Że znienacka przestał wiedzieć, dokąd i z kim wychodzi. Że gdzieś w okolicach Gwiazdki wkradło się w ton jej głosu rozdrażnienie, pojawia-

jące się i znikające zniemacka. A potem, gdzieś koło marca, zaczęła podważać jego autorytet i dawać mu zbyt wyraźnie znać, kiedy ją irytuje pytaniami i nadzorem rodzicielskim. Webster wie, że takie zmiany musiały zajść, są korzystne, okaże się to jesienią, kiedy córka będzie musiała wyjechać. Teoretycznie wszystko miało sens. Natomiast bezsensowne wydawało się, że w realiach codziennej rzeczywistości córka stała mu się obca.

Webster słyszy charakterystyczny warkot corolli Rowan, zanim toyota znajdzie się na podjeździe. Nadal odkurza, gdy córka wchodzi, i dopiero po wyłączeniu odkurzacza słyszy głosy z przedpokoju. Rowan i Gina, blond geniusz, która może pewnego dnia, gdy już uwolni się od natłoku wulkanów zwanych wągrami, obficie znaczących kontynent jej twarzy, będzie prawdziwą pięknoscią. Webster wchodzi do kuchni, rękę trzyma w kieszeniach.

- Cześć, Gina - mówi. - Co u ciebie?

- Dzień dobry. Jakoś leci.

- Cześć, tato - rzuca Rowan, otwierając lodówkę.

Zawsze kieruje tam pierwsze kroki po wejściu do domu.

- Chcesz soku pomarańczowego? - pyta przyjaciółkę.

- Może być.

- Jak tam w pracy? - zagaduje Webster. - Byłyście dzisiaj na jednej zmianie?

Gina ma koszulkę w ciapki, przypominające plamki krwi.

- U mnie jakoś poszło - informuje, patrząc, jak Rowan napełnia sokiem dwie wysokie szklanki. - Prawie cały dzień spędziłam przy drzwiach dostawczych, otwierałam kartony. Przynajmniej złapałam trochę słońca.

- A na mnie się wściekła jedna klientka - oznajmia Rowan, siadając przy stole, ze szklanką w rękę. - Ni z tego, ni z owego zaczęła krzyżeć, że ją oszukuję. Nawet jeszcze nie zliczyłam jej zakupów, nie mówiąc o tym, że nie dotknęłam pieniędzy. A ona stoi i wrzeszczy, naprawdę, na cały głos, że ją okradłam.

Rowan wypija sok duszkiem, rozgląda się za serwetką. Webster oddziera kawałek papierowego ręcznika, podaje córce.

- Przyszedł zastępca kierownika, wziął paragon i sprawdził każdą pozycję z towarem w torbach. Wszystko się zgadzało. A ta wtedy mówi, że ma prawo do dwóch pudełek truskawek w cenie jednego, a ja jej policzyłam za oba. Wytyka mnie paluchem... Kierownik wyjaśnił jej, że ta promocja obowiązywała w zeszłym tygodniu. Nie zdążył do końca wyjaśnić, że chętnie dla niej przedłuży promocję, bo rzuciła w niego torebką. Wszystko się rozsypało. Monety, klucze, banknoty, zużyte chusteczki, odświeżacz do ust... Stłukł się słoiczek z podkładem, wszystko nam poszło na buty. A ona się rozplakała. Kierownik pomógł jej powkładać rzeczy z powrotem do torebki, oprócz tych chusteczek i stłuczonego słoiczka. Dał jej portfel, pomógł spakować zakupy, włożył je do wózka i zawiózł do samochodu. Oczywiście, nie zapłaciła ani grosza.

Gina się śmieje.

- Niezłe to z podkładem.

- Średnio. Zmywałam go z butów chyba przez godzinę. A najpierw musiałam wydłubać tysiąc kawałków szkła.

- Jakie macie plany na wieczór? - pyta Webster.

- Gina musi skorzystać z mojego laptopa, bo jej komputer znowu padł. Porobimy notatki i rozwiążemy test.

Oboje wiedzą, że to kłamstwo. Matki Giny nie stać na komputer, więc dziewczyna powinna korzystać z bibliotecznego, tyle że tam zawsze czeka długa kolejka chętnych. Wobec czego przynajmniej dwa, trzy razy w tygodniu przychodzi do Rowan i używa jej laptopa. Musi na nim kończyć wszystkie swoje prace, a niektóre przechodzą kilkakrotne przeobrażenie. Mimo kłopotów dziewczyna ma doskonałe stopnie. O czymś to świadczy, choć Webster nie do końca wie o czym. Tak czy inaczej, jest zadowolony, że Rowan spędza czas z Giną.

- W lodówce jest domowa grochówka - mówi.

Czasami Webster zastanawia się, co też Gina jada w domu. Dziewczyna mieszka z matką, Eileen, i z babką, która już nie

wychodzi z domu. Eileen pracuje na część etatu jako recepcjonistka w Blake Ford, bo nie może zostawić matki samej na całe dni. Wyciąga pewnie ze dwadzieścia pięć, najwyżej trzydzieści kawałków rocznie. Gina będzie mogła iść do Columbii jedynie wtedy, gdy zdobędzie stypendium.

W soboty Webster nie gotuje obiadu. Gina i Rowan jeżdżą poza domem, zresztą napychają się czymś, co on nazywa króliczą karmą. W sobotnie wieczory zjada resztki i ogląda telewizję, aż mu się zamkną oczy. Dawniej Rowan budziła go po powrocie, ale ostatnio przestała to robić.

- No to zostawiam was - mówi, patrząc znacząco na Rowan, która rewanżuje mu się wzruszeniem ramion.

- Umyjesz dzisiaj okna - oznajmia Webster w niedzielę rano. - Jutro będzie padało, więc trzeba to zrobić dzisiaj.

Rowan, jeszcze zaspana i mało przytomna, kiwa głową.

- Babcia lubiła, kiedy dziadek mył wiosną okna. Mówiła, że potem patrzy na świat innymi oczami.

Ma na sobie flanelowe spodnie i T-shirt. Mówi, że na czwartą musi być u Liz Foster.

- Kończymy pracę z fizyki.

- Dobrze. Nie wracaj bardzo późno. Pewnie masz sporo zadane do domu.

- Tonę czytania.

- A co masz przeczytać?

- „Tęczę grawitacji”.

- Co to takiego?

- Siedemset sześćdziesiąt stron głupot.

Webster odwraca się od kuchenki i patelni z jajkami sadzonymi na boczku.

- Każą wam przeczytać siedemset sześćdziesiąt stron w ostatniej klasie? Pani Washington wam to zadała?

- Twierdzi, że to najlepsza powieść anglojęzyczna.

- Nabijaliście się z niej w tym roku? - pyta Webster, zsuwając jajka na talerz córki.

- Nie... No, może trochę.
- Czyli sami sobie nawarzyliście piwa.
Rowan wzrusza ramionami.
- Masz pecha - podsumowuje Webster.
Stawia na środku stołu talerz z tostami.
- Co ty powiesz.
- Dobrze się wczoraj bawiłyście z Giną?
- Całkiem nieźle.

Na granicy włosów ma kolonię niewielkich pryszczycy, przy skrzydełku nosa formuje się jeden większy, czerwony. Zapach Rowan, trochę słodczy z włosów i szczególnie woń skóry, jest Websterowi tak dobrze znany, że chyba odnalazłby córkę wszędzie: w lesie, na pustyni, w zatłoczonym sklepie. Przypomina mu się wycieczka do Bostonu. Wybrali się tam w czasie ferii wiosennych, kiedy miała dziewięć lat. Zwiedzili najważniejsze zabytki, korzystając ze szlaku Freedom Trail, potem zabrał ją do Akwarium i tam najwycyzejniej w świecie zgubił. Jego zatrzymała grupa ludzi przy pingwinach, ją tłum poniósł dalej. Przeraził się wtedy. Zażądał pomocy od ochroniarza, który natychmiast zaalarmował kolejnych. Rowan znalazła się przy delfinach, zdumiona, że stanowi centrum uwagi.

- Cały czas wiedziałam, gdzie jest tata - powiedziała ratownikom.

- Rowan, jedz. Musisz mieć siły.

Rowan przewraca oczami. Webster zastanawia się, ile razy jej to powiedział. Czasami się zapętla i jakoś nie może wyjść na prostą.

- Chodzi mi o to, że w piątek przemknęłaś przez śniadanie z prędkością odrzutowca. Wszystko w porządku?

- W porządku.
- No to dobrze - mówi, choć wie, że to nieprawda.

Rowan drapie się po lewym ramieniu, znak, że jest zaniepokojona.

- A co z tobą? - pokazuje nietknięte śniadanie ojca.

Webster szturcha widelcem zimne jajko.

- Nie musisz się do mnie odzywać takim tonem.

Rowan pochłania jajko z tostem.

Webster odkłada widelec i patrzy na brudne okna. Nie może jeść jajek. Przygotował niewłaściwe śniadanie. Powinien był zaplanować coś słodkiego.

- Strasznie jesteś ostatnio humorzasta. Zaczynam mieć tego dosyć.

- Weź się odpieprz.

Agresywne słowa sprawiają mu fizyczną przykrość, jakby ktoś przeciągnął paznokciami po tablicy. Rowan wyraźnie czeka na reprimendę, na karę. Nic z tego. W końcu odpycha krzesło od stołu.

- Gdzie wąż? - pyta.

Webster patrzy z garażu, jak córka myje zewnętrzne szyby. Stoi na drabince, zaczyna od okien swojej sypialni, wychodzących na podwórze. Przyczepia myjkę Windeksa do węża, ustawia na „namydlenie” i puszcza pianę na szklaną tafelę. Czeka kilka sekund, przestawia zraszacz na wodę i spłukuje środek myjący z szyb. Okno jest czyste, poznaczone jedynie kropelkami wody, które wkrótce wyschną.

Dokładnie tak, jak ją uczył. Musiał się upewnić, że płyn do mycia okien nie zaszkodzi krzewom ani trawie, i choć nie rozumie, jak to jest możliwe, rzeczywiście ani trawie, ani krzewom nie dzieje się nic złego. Szkoda, że firma nie wymyśliła podobnego urządzenia do mycia okien od strony wewnętrznej. Stare domy mają swój wdzięk, ale cholernie trudno je utrzymać w czystości.

Rowan schodzi z drabiny i myje okna parterowe, po dwa za jednym zamachem. Namydla dwa, potem oba płucze. Ma na nogach kalosze, nadal jest w spodniach od piżamy, do tego włożyła nieprzemakalną pelerynę, która kiedyś była żółta. Buty są mokre, spryskane wodą z węża i od rosy, która jeszcze zachowała się na trawie w cieniu. Webster lubi rośliny rozkwitające pod koniec maja i na początku czerwca. Jabło-

nie, bzy, trillium. Jednego dnia jest tylko zielono, następnego bucha feeria barw.

Dochodzi do wniosku, że brak reakcji na przekleństwo bardziej wstrząsnął Rowan, niż gdyby została ukarana.

Dziewczyna przechodzi na front domu, zabiera się do mycia okna na strychu. Rozplątuje węza, wchodzi z nim na drabinę. Namydlą słupki okienne, framugi, przesuwa myjkę na winylowe pokrycie ściany zewnętrznej.

Co jest grane? Będzie myła cały dom?

Rowan miota się na drabinie. Wydaje z siebie dźwięki świadczące o gniewie i złości. Kieruje swoją broń na krzewy o świeżych liściach, na bzy, które mają niedługo pachnieć, na sosenkę, która po chwili wygląda jak owinięta mokrym papierem toaletowym.

Pryska pianą na podjazd jak najdalej. W końcu unosi wąż do góry i pokrywa pianą siebie.

Webster zrywa się biegiem. Rowan puszcza węza i zaczyna schodzić po drabinie. Na dole potyka się, wtedy Webster ją łapie i podtrzymuje. Przyciska do siebie jej głowę, włosy całe w pianie, przytula córkę do piersi.

Webster i Koenig stanowią wsparcie, są drugą załogą na miejscu zdarzenia. Sześć samochodów, karambol na drodze prowadzącej ze stoku góry. Widoczność zerowa, mgła pojawiła się znienna. Otacza aureolą białe i niebieskie światła wozów policyjnych. Webster widzi ich pięć, dostrzega też jeszcze jedną karetkę. Razem z Koenigiem meldują się u dowodzącego akcją, Webster zostaje skierowany do autobusu. Widzi leżącą na boku długą ciężarówkę, na nią, jak pies, wspiął się żółty bus. Dalej tkwi zgnieciony czerwony mercury, obok granatowy dżip, który najwyraźniej uderzył bokiem w drzewo, srebrny volkswagen touareg, który złożył w harmonię jakiś zagraniczny samochód, chyba hyundaia. Webster chwytą z karetki, co mu się nawinie pod rękę, i biegnie do szkolnego busu. Teraz już są z Koenigiem częścią większego zespołu.

Najważniejsze zawsze są dzieci. Webster, biegnąc, rejestruje zgiełk charakterystyczny dla miejsca, gdzie wydarzył się karambol: syreny wozów policyjnych, strażackich i ambulansów, a także dźwięków, i zawsze, nieodmiennie, krzyki rannych oraz przerażonych ludzi.

Wcześniej dwóch policjantów wyważyło frontowe drzwi autobusu. Webster podciąga się i wsuwa do środka. Nieprzytomny kierowca zostaje szybko wyniesiony przez paramedyka i stróża prawa. Webster przesuwą się wzdłuż przejścia, przytrzymując się oparcia. Dzieci wołają o pomoc, ale jego bardziej martwią te, których nie słyhać. W lokalnym busie szkolnym nie ma pasów, niektóre ciała zostały wyrzucone aż

na koniec przejścia, tam gdzie się zostawia plecaki, większość przesunęła się na tył autobusu, a nie można otworzyć tylnych drzwi, zablokowanych przez mercury'ego. Policjanci wybili szyby w wyjściach awaryjnych, wpełzli do środka, wyciągają dzieciaki. Niektóre są już właściwie dorosłymi ludźmi. Nic dziwnego. Skutek łączenia etapów edukacji na terenach wiejskich. Jedne są w wieku przedszkolnym, inne, te z dwunastej klasy, mają nawet po siedemnaście lat. Najdalej za kwadrans zaroi się tu od rodziców.

Webster, pochylony, dokładnie sprawdza każde siedzenie. Pod jednym znajduje blondynkę we fioletowym topie. Tkwi wciśnięta pod konstrukcję po prawej, jej biodra wpadły tak głęboko między poręcze, że pośladkami dziewczyna niemal dotyka podłogi przed następnym siedziskiem. Leży na boku, kolana i ramiona utknęły między stalowymi podporami.

Ratownik opada na czworaka, przestaje słuchać krzyków i zawodzenia, skupia się na pojedynczym przypadku. Obawia się uszkodzenia kręgosłupa, może nawet paraliżu. Nie widać krwi. Ofiara się nie porusza. Webster mówi do dziewczyny głośno, stara się ją ocucić. Sprawdza drogi oddechowe, nadśłuchuje oddechu. W tętnicy szyjnej odnajduje słaby puls. Dziewczyna żyje, ale jest w złym stanie. Paramedyk zapina jej kołnierz ortopedyczny, sprawdza źrenice. Równe i reagują na światło. Wobec tego kręgosłup raczej nieuszkodzony.

Webster podnosi wzrok i dostrzega chłopca, może trzynastoletniego, w brązowej bluzie zapinanej na suwak. Mały siedzi trzy rzędy dalej, twarz ukrył w dłoniach.

- Hej, synu! - woła Webster.

Chłopak podnosi głowę. Jest oszołomiony, ale chyba na szczęście nie w szoku.

- Jak się nazywasz? - pyta Webster.

- Edward.

- Możesz się ruszać?

- Kazali mi tu siedzieć.

- Musisz mi pomóc. Sam nie oswobodzę tej dziewczyny.

Chłopak podnosi się i idzie pod górę, do Webstera, który wskazuje chłopakowi, gdzie ma usiąść. Mały z kłapnięciem łąduje na siedzisku, pośladki dziewczyny ma między nogami.

- Masz jakieś obrażenia? - pyta Webster.

Chłopak kręci głową.

- To dobrze. Teraz słuchaj uważnie. Na „trzy” delikatnie popchniesz dziewczynę do przodu, żebym mógł ją wyciągnąć i zbadać. Jeżeli cokolwiek cię przy tym zaboli, natychmiast przestajesz, jasne?

Chłopak kiwa głową.

- Co jej jest? - pyta.

- Jeszcze nie wiem. Jak ma na imię?

Chłopak podciąga się na oparcie, spogląda w dół.

- Jill.

- Jill! - krzyczy Webster.

Brak odpowiedzi. Woła ponownie. Nadal nic.

Rozpina dziewczynie skórzany pasek, upewnia się, że po obu stronach ma symetryczne pętle, za które będzie ciągnął.

- Na „trzy”, pamiętasz? I delikatnie. Raz. Dwa. Trzy.

Z pomocą chłopaka, włożywszy ręce między stalowe elementy konstrukcji, ciągnie dziewczynę do siebie. Jest lekka, waży może pięćdziesiąt kilogramów, nie więcej.

- Dobrze. Teraz podejdziesz do mnie z tej strony i pomożesz mi ją położyć na plecach. Kiedy ci powiem, bardzo ostrożnie wyprostujesz jej nogi. Ja podniosę ją za barki.

Każdy medyk musi podejmować takie decyzje. Możliwe, że zmiana pozycji blondynce zaszkodzi, ale pozostawienie dziewczyny bez interwencji do czasu, aż strażacy uwolnią ją z pułapki, może odebrać jej szansę na przeżycie.

Chłopak ustawia się we właściwym miejscu. Webster kładzie Jill na wznak, przesuwając jej nogi wzdłuż przejścia. Chłopak je prostuje.

Ratownik szuka uszkodzeń ciała. Przeprowadza szybkie badanie neuromotoryczne, ponownie sprawdza źrenice. Nadal równe i reagują. Kolano podskakuje, unosi nogę.

- Mów do niej cały czas - instruuje Webster Edwarda. -
Wołaj ją po imieniu.

W tylnej części busu krzyczy jakiś starszy chłopiec, widok przesłania Websterowi żółta kurtka sanitariusza. Niepotrzebnie się rozprasza, musi się skupić na przypadku, którym się zajmuje.

Jeden bark wybity, może i oba. Z tyłu głowy guz wielkości piłki baseballowej. Ciśnienie sto dziesięć na siedemdziesiąt dwa. Puls szybki i słabo wyczuwalny. Ratownik lekko uciska obojczyk dziewczyny, wyczuwa złamanie. Powinna się ocknąć z bólu i głośno krzyżeć.

- Zostań tutaj - mówi Webster do chłopca. - Idę po tlen i nosze. Nie ruszaj się stąd, żeby nie wiem co. I przypilnuj, żeby nikt jej nie nadepnął.

Wychodzi z busu tą samą drogą, którą wszedł. Większość medyków przemieszcza się środkowymi drzwiami, które policja zdążyła już odblokować. Biegnie po nosze i widzi dopiero co przybyłą jednostkę ze stanu Nowy Jork. Podnosi rękę.

- Chodź ze mną - mówi do paramedyka. - Mam pacjentkę. Potrzebne nosze i tlen.

We dwóch wspinają się do busu. Przekręcają dziewczynę na bok, wsuwają na deskę. Przymocowują nieprzytomną, Webster unieruchamia głowę. Centymetr za centymetrem przesuwają się w stronę przednich drzwi. Webster wychodzi pierwszy, podpira deskę barkiem, ale drugi ratownik to wyjątkowo sprawny gość, wyskakuje z pojazdu, nie puszczając deski. Kładą Jill na noszach, odwożą ją do ambulansu. Webster pierwszy, za nim sanitariusz i Edward. Drugi paramedyk z Nowego Jorku już otworzył drzwi.

- Bierzemy ją - mówi.

- Nieprzytomna, płytki oddech, puls szybki i słabo wyczuwalny, ciśnienie sto dziesięć na siedemdziesiąt dwa, jeden, a może oba barki wybite, złamany obojczyk, możliwe obrażenia głowy. Ma na imię Jill.

Odwraca się do chłopaka stojącego na boku. Ten dygocze, jakby go ktoś podłączył do defibrylatora.

- Weźcie też dzieciaka - mówi Webster do sanitariusza.
- Nazywa się Edward. Dajcie mu telefon, niech zadzwoni do rodziców. Jak nie da rady, niech go który wyręczy. Niech poda nazwisko dziewczyny, przekażcie je do centrali.

Pomaga chłopakowi, który całkiem opadł z sił, wsiąść na miejsce pasażera.

- Dobrze się spisałeś - mówi, zapinając mu pasy.

Zamyka drzwi i odsuwa się od ambulansu. Patrzy na zegarek. Jest na miejscu zdarzenia od dziewiętnastu minut.

W zasięgu wzroku wszędzie pojazdy ratownicze, światła dają po oczach w gęstej mgle. Poważne obrażenia, kilka zgonów. Paramedycy, nie w ciemną bici, zawracają na poboczu, zanim się na dobre zatrzymają, żeby potem jak najszybciej ruszyć. Inne pojazdy uprzywilejowane posłużą jako minicentra opatrywania urazów, tam sanitariusze i ratownicy będą udzielali pierwszej pomocy.

Webster przyjechał jeden z pierwszych, odjeżdża niemal na szarym końcu, w wozie opatruje ramię jednej z dwóch ofiar wypadku, które wiozą do Mercy. Pacjenci są ranni, ale nie w stanie krytycznym. Matka i syn z volkswagena. Ona ma twarz i klatkę piersiową posiniaczone od poduszki powietrznej, chłopiec, dziewięciolatek, złamany nadgarstek. Uszkodził go sobie, gdy wypadł z samochodu na pobocze, dłuższy czas po wypadku. Poza tym nic mu nie jest.

Cztery osoby zmarły na miejscu, w tym trójka dzieci. Czwartha to kierowca hyundaia. Kobieta z sąsiedniego samochodu nie doznała żadnych obrażeń, ale wpadła w histerię, szlochala, że nie zdołała zatrzymać się na czas. W końcu któryś z policjantów wsadził ją do cruisera i zawiózł do domu, żeby skończyć tę scenę. Ekipy lokalnych kanałów informacyjnych z obu stanów w sposób karygodny zablokowały drogę. Małeńkie dzieci na dziecięcych deskach, czerwone i niebieskie sweterki wystające spod połyskliwych koców termicznych. Webster łączył się z centralą,

prosił o informację, dokąd zabrano Jill, ale na razie nikt nie wiedział.

Teraz myśli o Rowan, o tym, że na miejscu dziewczyny we fioletowym topie mogła się znaleźć jego córka.

Nie jest to pierwszy karambol w życiu Webstera, ale szkolny bus potęguje wrażenie, na dodatek zjeżdżają się rodzice, na szczęście niektórzy mają tyle rozsądku, żeby zaoferować pomoc. Kierowca dzipa wyglądał dziesięć razy gorzej na noszach niż za kierownicą. Webster zajmował się połamanymi kośćmi, wstrząśnieniami, skaleczeniami, opatrzył dwie groźne rany. Odwracał oczy od rodziców, którzy mieli się dowiedzieć, że ich dzieci nie przeżyły. Odczuwał zawsze ich rozpacz tak przejmująco, że niekiedy sam miał łzy w oczach. Nie dawał sobie rady z myślami o zmarłych dzieciach. Ich obrazy prześladowały go we śnie.

W drodze powrotnej z Mercy Koenig zajmuje miejsce pasażera.

- Koszmar - mówi. - Powinni zabronić ciężarówkom jeżdżenia czterdziestkądwójką.

- A którądy mają jeździć? - Webster, z jedną ręką na kierownicy, siedzi odchyłony do tyłu. - Przecież to jedyna droga po zachodniej stronie stanu.

- Niech wysyłają towar mniejszymi wozami. Te się nie nadają na takie drogi. I na dodatek jeżdżą za szybko.

- Ten ile ciągnął?

- Gliny szacują, że ponad setkę.

- Nie kupuj hyundaia.

- No, ale taki volkswagenik...

- Jakby cię było na niego stać.

- Policja go zabrała.

- Nienawidzę takich wezwań - mówi Webster.

- Co ty powiesz.

- Jak tam ślub?

Koenig kręci głową.

- Katastrofa.

- Co się stało?

- Annabelle jest mądrzejsza, niż mi się zdawało. Rozpłakała się w samochodzie, czekałem dobre dwadzieścia minut, aż jej przejdzie. Bała się. Nie chciała wyjść za Jacksona przed jego wyjazdem, ale uważała za niemoralne pozwolić mu odjechać bez ślubu. Nie mogła się pogodzić z myślą, że miałyby go zostawić przed ołtarzem, czy jak tam to zwać, jeżeli ślub ma się odbyć w gospodzie.

- O Jezu...

- Dręczyła się dziewczyna już parę tygodni.

- Co jej poradziłeś?

- Powiedziałem, że jej współczuję. Zdawałem sobie sprawę, że Ruth, matka narzeczonego, na ślubie oczywiście w pierwszym rzędzie, dostałaby zawału, gdyby Annabelle wycofała się w ostatniej chwili. Ale powiedziałem córce, że wystarczy jedno słowo, a zapuszczę silnik i pojedziemy w świat. Potem sam wrócę i wyjaśnię sprawę obojgu, Ruth i Jacksonowi. No i gościom. Zapaliłem silnik, przejechałem z dziesięć metrów, wtedy poprosiła, żebym zatrzymał wóz. W końcu powiedziałem jej, że musi się zdecydować: albo wysiądzie z samochodu, albo pozwoli mi jechać. Pozbierała się, wzięła w garść i poszliśmy do gospody. Miałem uczucie, że prowadzę ją na stracenie.

- Fatalnie - mówi Webster, skręcając do jednostki.

- Na przyjęciu wydawała się szczęśliwa, więc może to była raczej kwestia nerwów. W każdym razie taką mam nadzieję. Będzie miała cały rok na myślenie, czy postąpiła właściwie.

- Lepiej, żeby w ogóle o tym nie myślała - podsumowuje Webster. - I tak nie może się rozmyślić, póki on jest w Afganistanie.

Webster z pewnym trudem wysiada z cruisera i wchodzi do domu tylnymi drzwiami. Pół godziny po północy. Koniec najdłuższego i najgorszego od wieków dnia pracy. Półtorej zmiany. Rowan siedzi przy kuchennym stole, czeka, żeby wstawić jedzenie do kuchenki mikrofalowej.

- Jeszcze nie śpisz? - pyta Webster zdziwiony. - Goto-
wałaś?

- Tylko gulasz. Wyglądasz na zmęczonego.

- Mam za sobą ciężki dzień.

- Słyszałam o karambolu. Co się działo?

Webster zawsze odpowiadał na pytania Rowan związane z ratownictwem. O reanimacji, udzielaniu pierwszej pomocy, o skutkach. Ostatnio nie ukrywał nic, mówił nawet o strasz-
nych zgonach.

- Jeden wielki koszmar. Cztery ofiary śmiertelne, w tym
trójka dzieciaków. Ratowałem dziewczynę, która utknęła pod
siedzeniem w busie. Myślę, że doznała obrażeń głowy, chociaż
wolałbym się mylić. Nie dałbym jej więcej niż piętnaście lat.

- Jak zmarła ta osoba dorosła?

- Kobieta. Zmiażdżona w hyundaiu.

Rowan milczy dłuższy czas. Czy próbuje sobie wyobrazić
miejsce katastrofy?

Webster zdejmuje kurtkę. Najchętniej zrzuciłby z siebie
od razu wszystko i wsadził do pralki. Każda śmierć powleka
go szlamem.

- Masz wspaniałą pracę - mówi Rowan, podnosząc wzrok
na ojca. - Jesteś rewelacyjny.

Czekała na jego powrót do późna w nocy, żeby mu właśnie
to powiedzieć.

- Dziękuję. W takich momentach czuję, że to, co robię,
ma sens.

- To dobrze. - Rowan wstaje.

- Idź do łóżka. Za sześć godzin musisz iść do szkoły.

- Zdrzemnęłam się w dzień.

Webster patrzy za swoim zmęczonym dzieckiem wcho-
dzącym na piętro.

Odszkodowanie. Za „weź się odpietrz”? Za namydlenie
liści i kwiatów?

Po południu, po drzemce, Webster pracuje w nowo zaprowadzonym ogrodzie. Słyszy skrzypnięcie tylnych drzwi, podnosi wzrok. Przez sekundę, przez mgnienie, wydaje mu się, że widzi Sheilę. Nie taką, jaka zapewne jest teraz, ale taką, jaka była wtedy: długie ciemne włosy, nieco wyzywająca postawa, dżinsy i szary sweter. Okulary przeciwsłoneczne nad czołem, nawet podobne długie buty. Ale to nie Sheila. To jej córka. Wydaje się jakieś dwa lata starsza niż przy ostatnim spotkaniu.

Podchodzi do niej na podjeździe.

- Dokąd się wybierasz? - pyta.

Ociera dłonie o stare dżinsy. Ma na sobie brązową starą koszulkę z krótkimi rękawami i logo miejscowej drużyny.

- Wychodzę.

- Rowan?

- Umówiłam się z Tommym. Mamy znaleźć prezent dla jego matki na urodziny. Później idziemy na pokaz talentów w gimnazjum. Może potem będzie jakaś impreza.

- Jaka impreza?

- Bo ja wiem?

- Wiesz, że mi się to nie podoba.

- Jeśli na nią pójdę, przekręcę.

Oboje wiedzą, że telefon z komórki nie ma większego znaczenia. Łatwo skłamać, podać inne miejsce.

Czy córka by go okłamała?

- Masz dość benzyny? - pyta.

- Styknie.

Podnosi głowę, odrzuca włosy gestem, którego u niej nie widywał. Nie chce, żeby szła na tę imprezę, lecz nie może nic na to poradzić.

Chce ją przytulić. Trzy miesiące wcześniej by to zrobił. Boi się o córkę. Że będzie miała wypadek, że się zgubi, że natrafi na jakiegoś drapieżnika. Ale czuje, że się przeciwko niemu uzbroiła.

- No to lecę.

Webster chce powiedzieć: „Nie pij”.

Patrzy, jak córka wsuwa się za kierownicę corolli. Wie, że ją denerwuje, patrząc. Powinien odejść, wrócić do ogrodu, ale czuje, że musi zobaczyć ją ruszającą z podjazdu. To stary nawyk, nie sposób go zmienić. Patrzył, jak odjeżdżała na tylnym siedzeniu vanem mamy przyjaciółki, a potem, gdy dostała prawo jazdy, jak sama wyprowadzała samochód na drogę. Przyzwyczajenie jest drugą naturą.

Rowan cofa samochód, zsuwa okulary na oczy, poprawia włosy i rusza podjazdem.

Webster patrzy za nią aż do skreću na międzystanową.

Lubi zapach ziemi, lubi jej dotykać, podobają mu się wypukłe rządki sadzonek. Już zebrał sałatę, lada moment powinien zacząć pękać groszek. Na jutro zaplanował wyrywanie chwastów, trzeba się zająć pomidorami. Dzień wcześniej poprawiał płot, zabezpieczał ogród przed zwierzętami, chociaż słyszał, że jeszcze nikomu w Vermoncie nie udało się z nimi wygrać na dłuższą metę. Żona Koeniga, Ruth, powiedziała, że zeszłego roku sarny zjadły jej wszystkie różowe i błękitne kwiaty. Inne zostawiły w spokoju. Webster przewidział u siebie nagietki - dookoła, wzdłuż całego płotu, od strony podwórka. Powinny odstraszać mniejsze szkodniki. A na razie już pojawił się problem z większymi - sądząc po kopczykach na trawniku, do ogrodu wprowadziły się krety. Trzeba uważać, jak się chodzi, stopy wpadają w podziemne tunele. Pewnie to tylko kwestia czasu, kiedy zwierzęta dotrą do warzywnika.

Myśli o Rowan w samochodzie. Prowadzi jedną ręką?
Pisze esemesy w czasie jazdy?

Zanim córka wyjedzie do college'u, stuknie im osiemnastka.
I być może na tym skończy się wspólne życie. Webster musi się na to przygotować.

Sheila miała córkę tylko dwa lata.

Pochyla się, wbija szpadel głęboko w czarną ziemię, dopycha
dłonią drewniany trzonek. Ma ochotę się położyć. Pozwolić,
żeby zmartwienia i niepokoje wsiąkły w glebę.

Wróciwszy do domu, wyczuwa alkohol. Natychmiast po wej-
ściu do kuchni. Przeskakując po dwa stopnie, wbiega na samą
górze, wpada do pokoju Rowan. Córki tam nie ma. Nie po-
trafi ocenić, czy była, czy spała. Nieomal spada ze schodów,
gnając do salonu. Tam znajduje Rowan, na kanapie, owiniętą
w cienką kapę.

- Rowan!

Smród alkoholu zbija z nóg, jest coś jeszcze. Na dywanie
Webster dostrzega plamy wymiocin.

Jezu Chryste.

Potrząsa córka, udaje mu się wydobyć z niej słaby jęk.

Rany boskie, straciła przytomność?

Potrząsa nią znowu, powtarza jej imię. Rowan otwiera oczy,
z trudem skupia wzrok. Przez jej twarz przemyka strach.

Przytomna i świadoma.

- Co jest, do cholery? - rzuca Webster.

- Niedobrze mi - jęczy Rowan.

- Ile wypijała?

Lekki ruch pod przykryciem. Rowan kładzie dłoń na
brzuchu.

- Nie wiem.

- To sprawka Tommy'ego?

- Nie. On się na mnie wkurzył.

- Odwiózł cię do domu?

- Rany boskie, tato, daj mi spokój!

- Ja ci dam spokój! Odpowiadaj!
- Tommy mnie przywiózł. Trzeźwy. Potem już nic nie pamiętam.

- Boże drogi... Rowan, dlaczego?
- Co dlaczego?
- Co się stało? Dlaczego się upiłaś?

Rowan kaszle, Webster jest przekonany, że będzie znowu wymiotowała. Czy wcześniej była w tak fatalnym stanie, że nie dała rady dojść do toalety ani wziąć jakiegos gara z kuchni?

- Nie wiem - odzywa się Rowan słabym głosem. - Pewnie odziedziczyłam w genach.

Webster sadza ją gwałtownie. Głowa jej się kiwa. Cereę ma zielonkawą. Wystarczy na nią spojrzeć, żeby człowiekowi zrobiło się niedobrze.

- Posłuchaj no mnie - mówi do córki cicho. - Nie będę tego tolerował. Nie ma w tobie żadnych skłonności do alkoholizmu, więc się nimi nie zasłaniaj. Sama zdecydowałaś, co robisz. Nie wiem, w co grasz, ale lepiej przystopuj.

Puszcza ją, a ona osuwa się na kanapę. Odwraca głowę.

Kiedy miała dwanaście lat, Webster powiedział jej, że matka była alkoholiczką i dlatego musiała odejść, szukać pomocy. W życiu nie przypuszczał, że córka uzna, iż odziedziczyła po matce skłonność do alkoholu. Powiedział jej wszystko, co nastolatka mogła usłyszeć o nim i o Sheili, zataił jeden istotny fakt. Nie zdradził, że to on odprawił Sheilę. Powinien był to zrobić dawno temu.

Przegarnął włosy palcami.

Cholera jasna.

Co powiedzieć teraz? Nic, bez sensu jakiegokolwiek gadanie. Najprawdopodobniej w ogóle nie będzie pamiętała tej rozmowy.

Nie trzeba jej zabierać na pogotowie. Wystarczy poczekać, aż się wyśpi. Już leży na boku, więc w porządku. Będzie ją budził przez następne dwie godziny co trzydzieści minut. Ma nadzieję, że rano da się jej we znaki solidny ból głowy.

Opada w fotel naprzeciwko kanapy. Teraz i tak nie zaśnie. W miarę jak wzrok przywyka do mroku, widzi, że na dywanie są dwie plamy. Dźwiga się z fotela, idzie do kuchni po wiadro i szmatę. Nie on powinien to sprzątać, ale nie może znieść smrodu.

Im zacieklej szoruje i czyści, tym większa furia go ogarnia. Jeżeli ciśnienie nadal będzie mu rosło w tym tempie, zejdzie na atak serca. Przychodzi mu na myśl, by wyjąć ciśnieniomierz. Nie pamięta, kiedy ostatnio był tak wściekły na córkę. Może nigdy.

Ona nie pamięta drogi do domu. A Tommy? Dostanie za swoje przy pierwszej okazji. Jej chłopak! Jezu Chryste. Co robił? Siedział i patrzył, jak dziewczyna pije na umór? Może miał w tym swój cel? Webster kręci głową. Nie wolno tak myśleć.

Kończy sprzątanie, myje ręce, parzy sobie kawę i znowu siada w fotelu naprzeciwko kanapy. Kiedy się rozgniewa na ukochaną osobę, czuje ucisk w klatce piersiowej. Za dużo prawdy, zbyt blisko sedna. Wracają niechciane wspomnienia. Pijana Sheila z dzieckiem na rękach. Sheila na przyjęciu urodzinowym Rowan. Sheila na drodze numer dwieście dwadzieścia dwa.

Nie dopuści do tego, nie pozwoli, żeby losy Rowan potoczyły się podobnie.

Kiedy się budzi, wokół cieni rysują się pasma światła. Jest coś jeszcze... stukanie do drzwi. Która godzina? Patrzy na zegarek. Prawie ósma.

Wygląda przez szybę w drzwiach kuchennych. Otwiera je szybko i od razu zamyka za sobą. Porusza się tak gwałtownie, że Gina robi dwa kroki do tyłu. Tommy odstępkuje na bok.

- Chciałbym wiedzieć, co macie do powiedzenia - warczy Webster.

Przez mgnienie pamięta Tommy'ego, którego lubił. Jakies metr dziewięćdziesiąt, może ciut wyższy. Ciemna linia

włosów na wysokim czole, pełne wargi, miły uśmiech. Przy pierwszym spotkaniu przyjechał po Rowan samochodem nie lepszym niż jej. Ona, pokazując swoje dobre manie-ry, do czego nigdy wcześniej nie miała okazji, postanowiła ich sobie przedstawić. Uprzedziła ojca, żeby nie zadawał zbyt wielu pytań, a on, zaskoczony i zadowolony, że córka ma chłopaka, posłuchał.

- Wrócisz przed północą?

Rowan nie odpowiedziała, a Tommy owszem.

- Da się zrobić.

Webster od razu polubił dzieciaka. Trochę nieśmiały, ale naprawdę z dobrymi chęciami. Szczera twarz. Ciemne oczy, które nie uciekały przed spojrzeniem Webstera. Mocny uścisk dłoni. Bez przesady, żadnego wyzwania. I jak on patrzył na Rowan! Powiedziała wtedy coś zabawnego... co to było? Chłopak śmiał się do rozpuku i patrzył na nią tak, że Webster już nie musiał o nic pytać. Lepiej trafić nie mógł, bez wątpienia.

A teraz? Czuje się oszukany.

- Tommy w niczym nie zawinił - mówi Gina.

- Słucham uważnie. Jakim cudem Rowan tak się spiła w towarzystwie przyjaciół? Siedzieliście i przyglądaliście się jej z ciekawością? Śmiesznie wyglądała? Mieliście ubaw?

Tommy unosi ręce.

- Proszę pana, powinienem tam być, to prawda, ale mnie nie było. Pojechaliśmy na imprezę razem, ale oboje wiedzieliśmy, że w pewnym momencie będę musiał wyjść, skoczyć do domu, zobaczyć się z babcią, która przyjechała z Indiany. Po powrocie zastałem Rowan ledwo ciepłą.

- Ile czasu cię nie było?

- Może godzinę.

- Zalała się w ciągu godziny? - zdumiewa się Webster. - A ty gdzie byłaś? - pyta Ginę.

- Mnie tam w ogóle nie było - mówi przyjaciółka. - Nie pojechałam na to przyjęcie. Ale słyszałam, że kiedy Tommy wyszedł, Rowan przestawiła się na wódkę i nie wylewała

za kołnierz. Strasznie mi przykro, naprawdę. Żałuję, że mnie przy niej nie było. Pewnie bym ją powstrzymała.

- Przyjaciół poznaje się w biedzie.

- Jak ona się czuje? - pyta Gina.

Webster otwiera drzwi, głową wskazuje wejście do salonu.

Gina prześlizguje się obok niego, podchodzi do Rowan.

- Jest tam, gdzie ją zostawiłeś - mówi Webster do Tommy'ego, kiedy chłopak wchodzi do kuchni. - Sam ją tu przywiozłeś?

Tommy potakuje.

- Całą noc robiłem za kierowcę.

- Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś?

- Właściwie nie wiem - przyznaje chłopak zawstydzony.

- Wiedziałem, że pan jest na służbie.

- I doszedłeś do wniosku, że nie przyjadę, żeby zająć się córką? Dlaczego zostawiłeś ją samą?

- Musiałem być w domu - mówi Tommy, wyraźnie dotknięty. - Rodzice prosili, żebym nie wracał późno.

- Zdajesz sobie sprawę, że mogła umrzeć? - mówi Webster. - Dwukrotnie miała torsje. Bóg łaskaw, że zwymiotowała na podłogę. Nigdy nie zostawiaj człowieka w takiej pozycji.

Tommy opuszcza głowę. Wygląda, jakby i jemu zrobiło się niedobrze.

- W sumie to nie twoja wina - przyznaje Webster i kładzie dłoń na ramieniu chłopaka. - Wina leży wyłącznie po stronie Rowan. Powinienem ci być wdzięczny, że ją zabrałeś z imprezy.

Idą do salonu. Tam Gina kłęczy przy kanapie i cicho mówi coś do Rowan, która wydaje się przytomna na tyle, by słuchać.

Tommy staje niepewnie za oparciem. Niby ma prawo tu być, ale nie do końca.

Webster chodzi tam i z powrotem.

- Gdzie Tommy? - słyszy pytanie córki.

Patrzy, jak chłopak kładzie rękę na ramieniu Rowan. Ona przykrywa ją dłonią. Prosty gest, wiele znaczący.

Chłopak stawiał czoło wściekłości Webstera. Ma charakter. I umie zachować umiar. Inny by się usprawiedliwił.

Webster oddycha głęboko. Musi się uspokoić.

Światło późnego ranka jest szarawe. Rowan osłania oczy i płacze. Webster zostawia trójkę dzieciaków, wspina się na piętro i kładzie do łóżka, ciągnąc za sobą niechciane wspomnienia.

Śpi i śni o Shelli.

Policjant wychodzi im na spotkanie przed front sklepu.

- Skoczek - mówi.

- Jednak? - dziwi się Webster. - A nie wierzyłem. Ktoś tu już kiedyś skoczył?

- Ja czegoś takiego nie pamiętam - stwierdza glina. - Może Quechee Gorge...?

Prowadzi na tyły budynku.

Koenig niesie deskę i apteczkę. Resztę Webster. Puszczają się biegiem. Wokół bezwładnego pacjenta stoi wianuszek policjantów. Na widok ratowników robią przejście.

- Przytomny i mówi - raportuje jeden z gliniarzy.

Miejsce zdarzenia oświetlają metaliczne światła, surrealistyczne, obramowane czernią. Pacjent spadł na plecy. Lewą nogę w kolanie ma wygiętą pod nienaturalnym kątem. Przez skórę wystaje kość. Policjant, który właśnie dołączył do kolegów, mówi: „O Jezu”, i się odwraca.

Webster podnosi wzrok. Jedno piętro. Może i można się zabić, skacząc z pierwszego piętra, kto wie?

- Strażnik przed frontowym wejściem usłyszał głucho łupnięcie - odzywa się pierwszy glina. - Przybiegł sprawdzić, co się stało.

Webster kuca obok pacjenta, zakłada mu kołnierz ortopedyczny.

- Trzeba usztywnić nogę - mówi do Koeniga, wskazując złamanie.

- Pił - stwierdza Koenig, pociągając nosem.

Zakłada pacjentowi rękaw do mierzenia ciśnienia.

- Proszę pana, jak pan się nazywa? - pyta Webster.

Dlaczego facet nie wrzeszczy? Chociaż jest koniec maja, on ma na głowie kolorową czapkę, jakby babcinej roboty. Spod wełny cieknie krew. Webster zakłada opatrunek. Mężczyzna ma na sobie spodnie i kurtkę z dżinsu, jeden but. Powinien się zwijać z bólu.

- Randall.

- W porządku. Możesz mi powiedzieć, co cię boli?

- Plecy. Wybiło mi całe powietrze.

- Głowa?

- Nie za bardzo.

Webster unieruchamia głowę. Rany na głowie zawsze bardzo krwawią. Nie jest tak źle, jak wygląda. Sprawdza puls na nadgarstku.

- Randall? Ile masz lat?

- Trzydzieści cztery.

Koenig zerka na Webstera. Dałby pacjentowi pod sześćdziesiątkę, przy dobrej woli. Najwyraźniej życie faceta nie rozpieszca.

- Ktoś cię popchnął czy skoczyłeś?

- Chyba skoczyłem.

- Czujesz którąś nogę? - pyta Webster.

Mężczyzna stara się unieść głowę. Wysiętek najwyraźniej go wyczerpuje, znów kładzie się płasko.

- Ciśnienie sto dwanaście na sześćdziesiąt osiem - raportuje Koenig. - Puls niepewny, słabo wyczuwalny. Oddech dwadzieścia cztery. Równy, obustronny.

- Masz koc termiczny?

Koenig wyciąga z wielkiej apteczki błyszczącą płachtę i nakrywa pacjenta pod brodę.

- Złamanie w odcinku lędźwiowym? - odzywa się Webster.

- Tak sądzę.

Webster słyszy nad głową komentarze policjantów.

- Kto się zabija, skacząc z pierwszego piętra? - pyta jeden.

Drugi zaczyna się śmiać.

- Zgłoś przypadek - odzywa się Webster do Koeniga. - Powiedz im, że mamy skoczkę, prawdopodobnie złamanie w odcinku L-1, do tego otwarte złamanie kości podudzia, przemieszczenie kolana, obfite krwawienie w tylnej części głowy. Po spożyciu alkoholu. Przytomny, jest kontakt. - Zastanawia się chwilę. - Chcę go całego unieruchomić - decyduje. - Przyprowadź karetkę. - Rzuca kluczyki któremuś gliniarzowi. - Jak najszybciej.

We dwóch z Koenigiem wsuwają pacjenta na nosze. Gdy kończą, ambulans już czeka z szeroko otwartymi drzwiami.

- Zaczynają się drgawki - stwierdza Webster. - Czuję przez nosze. Jest w szoku.

Wchodzi za pacjentem do wnętrza wozu, podaje kroplówkę, pierwszą z dwóch. Słyszy, jak Koenig łączy się z centralą. Ogrzewa płyny do podawania dożylnego, ustawia termostat.

Mężczyzna dygocze tak mocno, że ledwo go można zrozumieć. Websterowi zależy, żeby pozostał przytomny, żeby mówić.

- Dlaczego skoczyłeś? - pyta.

- Dziewczyna.

- Randall, skup się na mnie. Patrz na mnie. Widzisz mnie?

Randall kiwa głową. Raz.

- Co z dziewczyną? - dąży Webster.

- Nie żyje.

Takiej odpowiedzi się nie spodziewał.

- Bardzo mi przykro - mówi głośno. - Jak umarła? - pyta, sprawdzając funkcje życiowe.

- Zabiła się - odpowiada pacjent.

- T a k ?

- Skoczyła.

O Boże.

Webster czuje, że się nie powstrzyma. Próbuje zduścić śmiech, ale im bardziej się stara, tym gorsze efekty. Głośny, nieokiełznany rechot narasta mu w piersiach.

W ostatniej chwili odwraca się od pacjenta, odkręca w stronę tylnego kąta ambulansu. Otwiera usta szeroko, w miarę możliwości tłumiąc dźwięk. Łzy ciekną mu po policzkach, ociera je rękawami. Śmiech zamiera. Webster łapie oddech. Sądzi, że to już koniec, więc zaczyna się obracać do pacjenta, gdy nagle musi błyskawicznie znów odwrócić się do niego plecami. Knebluje sobie usta przedramieniem. Nie może się uspokoić. Wbijają zęby w rękaw. Opiera czoło o obicie ścianki. Człowiek na noszach mówi coś niezrozumiałego, co powoduje następną falę niepohamowanego rechotu. Webster wali pięścią we wnętrze dłoni, to trochę pomaga, więc powtarza gest, aż odzyskuje opanowanie na tyle, by wrócić do pacjenta. Koenig wjeżdża w zatoczkę, Webster otwiera drzwiczki, widzi biegnącą w ich stronę pielęgniarkę z ostrego dyżuru. Nadal ma łzy w oczach, zdaje raport możliwie najszybciej. Ruchem głowy prosi Koeniga, żeby poszedł z noszami.

Gdy Koenig wraca, Webster siedzi na miejscu dla pasażera.

- Co z tobą? - pyta Koenig. - Nie wierzyłem własnym oczom.

- Rany boskie... Zapytałem faceta, dlaczego chciał się zabić, a on mówi, że jego dziewczyna zmarła. No to go pytam, jak zmarła, a on mi na to, że skoczyła. I wtedy... - Wrywa mu się piskliwy chichot.

Koenig potrząsa głową i zaczyna się śmiać. Webster już nie może, wali dłońmi w uda, Koenig parska śmiechem.

Po jakimś czasie obaj się uspokajają.

- To było straszne - mówi Webster.

- Fatalne. Mało brakowało, żebyś zawałił sprawę.

- Zawałiłem sprawę.

Przypomina sobie Rowan z wężem ogrodowym.

- Nie będziemy do tego wracać - postanawia.

- Nigdy.

Koenig włącza silnik i prowadzi wóz do jednostki.

Chelsea wydaje się Websterowi labiryntem opuszczonych dwupiętrowych rezydencji. Jedzie do wieży wodnej na szczycie wzgórza, mija coś, co wygląda mu na szpital żywcem przeniesiony z czasów pierwszej wojny światowej. Przejżdżając obok zabudowań straży pożarnej, szuka wzrokiem przynależnego do nich budynku jednostki ratowniczej, ale z ulicy nie takiego nie widać. Zostawia za sobą kościół zwany Świętą Różą i liczne domy o płaskich dachach, ustawione wzdłuż ruchliwej drogi.

Chociaż korzysta z mapy, nie może trafić pod właściwy adres. Jest pewien, że kolejny raz okrąży tę samą ceglana szkołę, otynkowaną na zielonkawy kolor. Ponieważ i tak musi zatankować, wjeżdża na stację Mobil i pyta sprzedawcę o plan miasta. Akurat zabrakło planów Chelsea, lecz mężczyzna pyta Webstera, czego szuka, i ten podaje mu adres. Pena - takie imię mężczyzna ma wyszyte na kieszeni - tłumaczy Websterowi, jak dojechać. Webster chce mu podziękować za pośrednictwem pięciodolarówki, ale tamten nie chce jej przyjąć. Wobec tego Webster kupuje kawę i pączka.

Jedzie zgodnie z uzyskanymi wskazówkami, zwraca uwagę na każdy zakręt i po jakimś czasie wjeżdża na wzgórze usiane budynkami. Dostrzega tabliczkę, za którą się rozglądał, sprawdza numer. Parkuje po drugiej stronie ulicy.

Dom jest dwupiętrowy, dach ma kryty dachówką bitumiczną, na szczycie różową, niżej szarą. Wchodzi się prawie bezpośrednio z chodnika, tylko drucziana siatka oddziela go od ulicy. Webster pociąga długi łyk kawy, odgryza kawałek pączka. Słońce stoi wysoko na niebie. Z miejsca, gdzie zaparkował, widać, że mieszkańcy mają przepiękny widok na panoramę Bostonu i solidny kawał wody. Bostoński port? Mystic River? Po jego stronie ulicy, przed domem o ścianach wyłożonych bladezielonym winylem, stoją dwie Dziewice Maryje na betonowych postumentach tworzących bramę. Stróżówkę należącą do tego domu ozdobiono fałszywą studnią ze Świętym Mikołajem. Jest ostatni tydzień maja. Ganek wyłożono płytkami z linoleum.

Odszukanie Sheili okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. W Internecie znalazł dwadzieścia dwie Sheile Webster w Massachusetts, ale tylko sześć Sheili Arsenault, w tym jedną w Chelsea. Oczywiście, nie miał pewności, czy właśnie ta jest jego byłą żoną, może istniał klan Arsenaultów w mieście? Poza tym Sheila mogła równie dobrze osiąść w Nowym Jorku albo i w Kalifornii. Na wyprawę do Chelsea i z powrotem musiał przewidzieć osiem godzin. Nie miał pewności, czy warto jechać tylko po to, by trafić na niewłaściwą Sheilę. Z początku zamierzał zadzwonić, żeby się upewnić, doszedł jednak do wniosku, że nie chce, by pierwszy kontakt po latach miał miejsce przez telefon. Musieli się spotkać, stanąć twarzą w twarz.

Zastanawiał się też, czyby nie zajrzeć do McGilla na posterunek, poprosić o przeszukanie akt policyjnych, ale wtedy ktoś mógł wpaść na ślad dawnego nakazu aresztowania, a to przysporzyłoby jej najróżniejszych kłopotów. Swoją drogą, kiedy przedawnia się zarzut o spowodowanie wypadku drogowego?

Webster chciał tylko spotkać się z Sheilą. Od tej nocy, gdy Rowan wróciła do domu pijana, kiełkowała w nim nadzieja, że matka pomoże córce. Plan, delikatnie mówiąc, nie był wcale przemyślany w najdrobniejszych szczegółach, Webster działał pod wpływem impulsu, musiał się zobaczyć z byłą żoną. Co ona na to? Będzie chciała spotkać się z Rowan? Porozmawiać z córką?

Nie potrafi sobie tego wyobrazić.

Kawa dawno wystygła, pączek został zjedzony, wreszcie Webster wysiada z samochodu i podchodzi do ganku. W budynku znajdują się trzy mieszkania, każde ma osobny brzączyk. Obok trzeciego znajduje się nazwisko Arsenault.

Dzwoni.

Słszy szybkie kroki na wewnętrznych schodach. Stara się przygotować na każdą ewentualność. Zdaje sobie sprawę, że drzwi może otworzyć na przykład gliiniarz z Chelsea.

- Już zaczynałam wątpić, czy podejdiesz.

To jest Sheila i nie jest. Webster czuje się jak na spotkaniu absolwentów szkoły średniej po dwudziestu latach od jej ukończenia: twarze niby te same, a jednak inne, zmieniające się dosłownie w oczach. Tym razem jednak wrażenie jest niesłychanie osobiste, jakby obserwował w lustrze procesy zachodzące w nim samym.

- Sheila - mówi.

Włosy długie, ciemne, posiwiałe na skroniach. Ma teraz czterdzieści dwa lata. Ubrana jest w dżinsy i kraciastą koszulę, jedno i drugie poplamione farbą. Stopy boso. W kącikach oczu rysują się kurze łapki, ale usta są takie same jak dawniej. Sylwetka szczupła, a jednocześnie nie wychudzona.

- Co tu robisz? - pyta.

Webster wsuwa ręce do kieszeni.

- Przyjechałem porozmawiać z tobą o Rowan.

Nawet mu w głowie nie postaje, żeby jej podać rękę albo ją uścisnąć.

- Fatygowałeś się z Vermontu?

- Tak.

Sheila milczy.

- Mogę wejść?

Odsuwa się na bok, żeby mógł przejść przez próg. Znajdują się w mrocznym wnętrzu, na klatce schodowej o stromych stopniach; na bocznej ścianie okno z witrażem.

Sheila wskazuje ręką schody.

- Drugie piętro. Na samej górze.

- Widziałas mój samochód.

- To już inny cruiser. Który?

- Nie licząc tamtego, trzeci.

Tamtym ona odjechała.

- Myślałam, że to jakiś tajniak. Potem zobaczyłam tablicę rejestracyjną.

Mocno czuć terpentyną. Webster wchodzi za Sheilą do sporego pokoju z oknami na trzy strony świata. Słońce kładzie na białych ścianach złote prostokąty. Na długim drewnianym stole stoją butelki z terpentyną i olejem lnia-

nym, w szklanych naczyniach tkwią pędzle, obok leżą jakieś szmaty, dziesiątki tubek z farbami i paleta. Na podłodze, oparte o ściany, stoją płótna różnych rozmiarów, wszystkie odwrócone tyłem.

- Malujesz?

Sheila rozkłada ręce.

Nic nie wie o kobiecie, która przed nim stoi. Spędzili trzy lata razem i piętnaście osobno. Z jednej strony wszystko, co się z nią wiąże, jest w jakimś sensie znajome: jej postawa, głos, ciało, gesty, z drugiej - pozostaje całkiem obcą osobą.

- Chcę porozmawiać o Rowan - wraca do sedna.

- Ma kłopoty?

- Ma i nie ma.

- Jest chora?

- N i e .

Sheila staje w drugim końcu pokoju, splata ręce na piersi.

- Dałabyś trochę wody? - pyta Webster.

Mierzy go przeciągłym spojrzeniem, ale idzie do kuchni. On za nią. Wnętrze jest nieco zagracone, jednak ma swój wdzięk. Stół i krzesła pamiętają wcześniejsze pokolenia. Na ścianach drukowana tapeta, stanowczo relikwiczek czasów minionych. Przybory kuchenne wiszą na haczykach obok kuchenki. Na sąsiedniej ścianie półki, jedna z nich zastawiona książkami kucharskimi.

- Mieszkasz sama?

Sheila kiwa głową, odkręca kran, nalewa wody do szklanki. Stawia ją na stole. Webster sięga po naczynie.

- A ty nadal z rodzicami?

- Nie żyją.

- Bardzo mi przykro.

Wygląda, jakby rzeczywiście tak było.

- Dostałem dom w spadku.

- To mieszkanie siostra sprzedała mi za symbolicznego dolara. Tutaj się wychowałam.

Webster jest zdziwiony tymi wzajemnymi grzecznościami. Nie powinni przypadkiem na siebie wrzeszczeć? Płakać? Czymś rzucać?

Z miejsca, gdzie stoi, widać samoloty podchodzące do lądowania na lotnisku Logan. Ładny widok. Mógłby sobie patrzeć na ruch w szczycie, o siedemnastej. Najlepiej siedząc na balkonie, z piwem w rękę.

- Co tu robisz? - pyta Sheila ponownie.

- Chyba potrzebuję pomocy. Chciałem porozmawiać z tobą o Rowan. Parę dni temu wróciła do domu pijana. Nie poznaje jej. Wygląda na to, że jest na równi pochyłej.

Sheila zagryza wewnętrzną stronę policzka.

- Jest piękna. Bardzo podobna do ciebie. I dobry z niej dzieciak... był, do tej pory.

Sheila też się zmieniła, pod każdym względem.

- Pijesz? - pyta Webster.

- Nie. Od dziesięciu lat.

Ryzykował, przyjeżdżając do Chelsea. Mógł tu znaleźć Sheilę pijaną w sztok.

- Zakładam, że jesteśmy oficjalnie rozwiedzeni? - chce wiedzieć Sheila.

- Tak.

- Na jakiej podstawie?

- Porzucenie. Nic więcej nie miałem. Mój adwokat cię szukał, ale nie istniałaś w systemie.

- Kiedy to było?

- W dziewięćdziesiątym ósmym? - odpowiada niezbyt pewnie.

- Byłam w Meksyku.

- Nie przykładał się specjalnie - przyznaje Webster.

Sheila zwija włosy z tyłu głowy, po czym puszcza je luźno na ramię. Webster pamięta ten gest, jest poruszony. Teraz to gest Rowan.

- Nie wyszłaś za mąż?

- Nie. Ty się ożeniłeś?

Webster kręci głową.

Z pytaniem w oczach wskazuje złote kółko na środkowym palcu lewej ręki Sheili.

- Należała do osoby, którą kochałam.

Czas przeszły.

Tępy ból ściska Websterowi klatkę piersiową.

- Przykro mi - odzywa się Sheila po chwili ciszy - niestety, nie mogę spełnić twojej prośby. Wiem, sprowadziły cię tu dobre intencje. Ale ty mnie już nie znasz. Właściwie nigdy mnie nie znałeś.

Cisza trwa tak długo, że Webster odruchowo zaczyna płycej oddychać.

- Ma siedemnaście lat - mówi.

Sheila potrząsa głową.

- Uważa, że jest alkoholiczką. A w każdym razie ja sędzę, że ona tak uważa.

- A jest?

- Nie panuje nad sobą, to niebezpieczne.

Sheila krzywi się. Webster dostrzega drżenie jej rąk.

- Nie dociera do mnie, że tu przyjechałeś. - Milczy przez chwilę. - Byłam jej matką, a potem przestałam nią być. Kto wie o tym lepiej niż ty? Zerwałam więzi rodzinne, w chwili gdy pijana wsiadłam do samochodu, posadziwszy dziecko na tylnym siedzeniu.

Webster chce jej przypomnieć, że to on ją odesłał z Hartstone i z Vermontu, ale też nie ma ochoty na sprzeczkę o to, kto jest winny. Nie widzi, żeby ta rozmowa miała przynieść jakiś skutek.

- Zastanowisz się przynajmniej? - pyta w końcu.

- Czy się z nią spotkać?

- No tak.

- Niepotrzebnie przejechałeś taki szmat drogi.

- Ale się zastanowisz.

Sheila milczy.

- Pokażesz mi obrazy? - pyta raptem Webster.

Sheila wydaje się speszona nagłą zmianą tematu. Wychodzi z kuchni, on za nią. W dużym pokoju Sheila odwraca jeden

z obrazów. Jest na nim stary drewniany stół, na tle ściany z po-
pękany tynkiem, na blacie stoi lśniąca biała misa w niebieskie
wzory, a przed nią leży czerwona papryka chili. Obraz jest
namalowany starannie. Webster zna tę misę. Kiedyś należała
do jego matki, matka podarowała ją Sheili.

Sheila odwraca jeden obraz po drugim. Webster patrzy,
jak się pochyla, jak ujmuje każdy ostrożnie, jak opiera go
o ścianę. Wszystkie przedstawiają martwą naturę, są dopraco-
wane w najdrobniejszych szczegółach. Na kolejnym widać trzy
puchary na tle okropnej zasłony, drukowanej w kwiaty, która
wisała w oknie ich mieszkania. Na następnym - przekrojona
cytryna, tak realistycznie oddana, że człowiekowi ślina napływa
do ust. Tło stanowi tapeta z kuchni Sheili. Dalej krzesło przy
stole, trzy jabłka i książka.

- To się nazywa martwa natura - mówi Sheila. - Okruchy
życia.

- Gdzie się nauczyłaś malować?

- W Meksyku.

- Malujesz z pamięci?

- Tak.

- Są bardzo ładne.

- Dziękuję.

Na dłuższy czas zapada cisza.

Webster zastanawia się, na co liczy. Że ona zmieni zdanie?
Tu i teraz?

- No tak - odzywa się wreszcie. - To ja już pójdę.

Z ociąganiem rusza w stronę drzwi. Tam przystaje, przy-
gląda się Sheili przez kilka sekund. Zastanawia się, czy widzi
ją po raz ostatni. Zacisnęła ręce w pięści. Cała jest spięta.

Nie będzie błagał. Nie będzie przekonywał. Jakoś da
radę.

- Niepotrzebnie przyjechałem.

Sheila otwiera usta i zaraz je zamyka.

Webster zbiega ze schodów, zatrząskuje za sobą drzwi
wejściowe.

Prowadzi jak wariat, ucieka z miasta, nie mając pojęcia, dokąd jedzie, aż dostrzega drogowskaz z nazwą miejscowości. QUINCY. Leży ona na południe od Bostonu, czyli pojechał w niewłaściwą stronę. Skręca w boczną drogę. Ma sporo szczęścia, że nie zarobił mandatu.

Otwiera okno i głęboko oddycha metalicznym powietrzem.

Wymnuje telefon komórkowy, wybiera numer córki.

Rowan odbiera po drugim sygnale.

- Halo? - szeptem.

- Rowan, to ja, tata.

- Wiem.

- Chciałem tylko spytać, co u ciebie.

- Tato...

- A h a ?

- Jest dwadzieścia po pierwszej.

- Jasne.

- Siedzę na historii. Jeśli się zaraz nie rozłączę, pan Cahill mnie zamorduje.

- A no tak, zapomniałem. Przepraszam.

- Wszystko w porządku? - nadal szepcze Rowan.

- Tak, tak. Pogadamy później.

Odchyła głowę na oparcie i zamyka oczy. Postanawia za-trzymać się w pierwszej przyzwoitej knajpce i zjeść solidny posiłek. Potem znajdzie mapę i jak normalny człowiek wróci do Hartstone.

W odtwarzaczu DVD - „Golfiarze”. Film leci po raz setny. Każdy żółtodziób przez mniej więcej trzy pierwsze miesiące służby ogląda go w zasadzie na okrągło. Muszą się rozładować, uspokoić, potrzebny im bezmyślny śmiech.

Wezwanie przychodzi o trzeciej dziesiątej. Powell, chudy nowicjusz o włosach ostrzyżonych na żołnierza piechoty morskiej, wyskakuje z kanapy jak rażony prądem.

- Hartstone, potrzebna ekipa na High Street cztery trzy pięć. Kobieta, lat pięćdziesiąt, problemy z oddychaniem, ostry ból w klatce piersiowej.

Webster odpowiada.

- Sześćset dwa i siedemset cztery w jednostce. Więcej info?

- Zadzwoiła chora. Chyba jest sama.

- Ty prowadzisz - dysponuje Webster, gdy biegną do karetki.

Po raz pierwszy ma zmianę z tym dzieciakiem, będzie musiał się zajmować i pacjentką, i żółtodziobem. Zerka na prędkościomierz.

- Przydepnij trochę gaz. Jedziemy możliwie najszybciej, byle nie spowodować wypadku. Do zdecydowanej większości kolizji z udziałem karettek dochodzi na skrzyżowaniach.

Młody powtarza w myślach procedury. Widać to po jego minie.

- Zawsze staraj się zapamiętać drogę do miejsca zdarzenia - instruuje go Webster. - Po pierwsze, dlatego że możesz

być wezwany ponownie pod ten sam adres, a po drugie, dlatego że to najlepszy sposób na wykucie topografii. Chociaż, oczywiście, mapy też trzeba znać na pamięć. Uczysz się map na pamięć?

- Tak jest, proszę pana.
- Daj spokój z tym panowaniem. Mów mi Webster.
- Tak jest.
- Gdzie miałeś praktyki?
- U Świętego Jana.
- Sprowadziłeś się niedawno?
- Tak.
- Masz tu rodzinę?
- Nie.

Webster kręci głową. Chłopak pewnie podnajmuje u kogoś pokój ze wspólną łazienką w korytarzu. Nowicjusz nie zarabia dużo.

- Byłeś kiedyś przy kodzie dziewięć zero dziewięć?
- Tylko na ćwiczeniach.

Dom stoi na końcu podjazdu. Stanowczo domaga się remontu. Powell musi zwolnić ze względu na potężne dziury w drodze.

Zatrzymuje wóz, bierze deskę i szyny SAM splint. Webster zgarnia apteczkę i latarkę. Wchodzą od razu do domu, zastają kobietę w średnim wieku, siedzi wyprostowana na kuchennym krześle. Przy jej stopach stoi duży garnek. Czuć wymiociny.

- Sprawdź funkcje życiowe, ja przeprowadzę wywiad - poleca nowemu.

Bierze w rękę długopis i formularz.

- Jak pani na imię?
- Susan.
- Susan, wiesz, że przyjechaliśmy ci pomóc? Doskonale.

Ile masz lat?

- Pięćdziesiąt jeden.
- Czy potrafisz określić, co cię boli?

Kątem oka obserwuje nowicjusza, który mierzy pacjentce ciśnienie. Kobieta znów wymiotuje.

- Susan, jak mocny jest ból w skali od jednego do dziesięciu?

- Osiem.

- Możesz pokazać, co cię boli?

Kobieta poklepuje mostek.

- Przygniata.

Ucisk w klatce piersiowej. Serce.

Webster podłącza kroplówkę. Widzi, że nowy ma kłopoty z rękawem do mierzenia ciśnienia.

- Co tam? - pyta.

- W porządku.

- Jakie ciśnienie?

- Sto osiemnaście na osiemdziesiąt - odpowiada nowy po chwili wahania.

- Co jeszcze?

- Puls sto dwadzieścia cztery. Oddech trzydzieści sześć - melduje Powell.

Pacjentka wydaje się zmieszana, zaskoczona obecnością Webstera. Kojarzy z większym trudem, niż tuż po ich przyśściu.

- Potrzebujemy więcej światła. Pstryknij tam - wskazuje Webster.

Powell włącza górne światło, w tym czasie ratownik sprawdza drogi oddechowe pacjentki, osłuchuje płuca. Zakłada jej maskę tlenową ciągłego przepływu, sprawdza podłączenie elektrod monitoringu.

- Daj mi ten rękaw - poleca nowemu. - Uważaj na wymioty.

Mierzy ciśnienie krwi.

- Osiemdziesiąt sześć na pięćdziesiąt osiem - czyta na głos.

Oddaje rękaw nowemu. Akurat w tej chwili monitor sygnalizuje konieczność zastosowania defibrylatora. Webster chwytą Susan pod ramiona, razem z Powellem kładą ją na podłódze.

- Włączam defibrylator - ostrzega Webster.

Sprawdza ułożenie elektrod na ciele. W końcu nowy zrobił coś jak należy. Zdejmuje maskę tlenową.

- Uwaga! - woła.

Już ma włączyć prąd, gdy kątem oka dostrzega, że Powell sięga po worek z płynem do kroplówki.

- Zostaw!

Nowy zamiera w bezruchu, z ręką może pięć centymetrów od worka.

- Siadaj - rozkazuje Webster.

Odczekuje sekundę. Powell wygląda, jakby miał ochotę odciąć sobie rękę.

- Uwaga! - powtarza Webster.

Włącza prąd.

- Uciskaj mostek - poleca nowemu. - Defibrylacja, jeszcze raz - oznajmia po chwili. - Uwaga!

Tym razem Powell odskakuje tak szybko, że o mało się nie wyraca.

Webster podkreca prąd i włącza urządzenie.

- Zabieramy ją na nosze i do karetki. Prowadź reanimację.

Wsuwają pacjentkę do ambulansu. Webster wchodzi za nią, przejmując reanimację. Kobieta jest nadal podłączona do urządzenia monitorującego, połączonego z defibrylatorem. Webster za wszelką cenę chce ją przywrócić do życia. Zdejmuje pacjentce maskę tlenową, kolejny raz uruchamia defibrylator. Tym razem nastawiony na sto pięćdziesiąt dzuli. Podaje jej miligram adrenaliny, potem zaraz wstrząs - dwieście dzuli - i sto miligramów przeciwbólowej lidokainy.

Łączy się ze szpitalem.

- Jednostka ratownicza z Hartstone do Mercy.

- Mów.

- Wieziemy wam kobietę, lat pięćdziesiąt jeden. Pacjentka z początku świadoma, straciła przytomność wkrótce po naszym przybyciu. Monitorowanie wykazało konieczność defibrylacji. Zastosowałem ją cztery razy. Dostała też w sumie dwa miligramy adrenaliny i dwieście lidokainy. Intubowana.

- Jak długo trwa reanimacja?
- Osiem minut.
- Resuscytacja krążeniowo-oddechowa?
- Tak.
- Lekarz dyżurny numer dwadzieścia trzy zleca ampułkę wodorowęglanu sodu. Kiedy będziecie?
- Za siedem, osiem minut.
- Czekamy.
- Słuchaj, Susan - zwraca się Webster do pacjentki, która na dobrą sprawę jest trupem. - Razem damy radę. - Zdejmuje maskę tlenową. - Ja się odsuwam, ty nie. - Włącza defibrylator.

Następnie ponownie zakłada maskę i podaje wodorowęglan sodu.

- Jesteś mężatką? Gdzie mąż, poszedł do pracy? A dzieci? Palisz papierosy?

Przerywa resuscytację, zdejmuje maskę, ładuje defibrylator, wszystko po kolei.

- Hej, Susan, kochana moja. Poważnie mówię, też masz robotę do odwalenia.

Wznawia resuscytację.

- No cóż, Susan, nie mamy nic do stracenia. Trzymaj się wiatru.

Powtarza kolejno wszystkie czynności, ustawia defibrylator na dwieście pięćdziesiąt dzuli.

- Ja się odsuwam, a jeśli to cholerne urządzenie nie udowodni, co potrafi, to ty jesteś martwa.

Ciało unosi się na noszach. Webster nie odrywa oczu od monitora. Wskazanie zmienia się z płaskiej linii na normalny rytm sinusoidalny.

- Pięknie, kochana, po prostu rewelacyjnie! - mówi Webster z niekłamany podziwem.

Uwielbia normalny rytm sinusoidalny. Wręcz kocha normalny rytm sinusoidalny.

- Świetnie się spisałaś!

Ujmuje ją za rękę i markuje przybijanie wysokiej piątki.

- Ile jeszcze? - krzyczy do Powella.
- Dwie minuty.
- Gaz do dechy.

Kiedy docierają do pogotowia, wybiegają im na spotkanie technik medyczny i pielęgniarka. Przejmują pacjentkę. Na oddziale przekładają ją z noszy ambulansu na szpitalne, wtedy żółtodziób zabiera sprzęt jednostki z powrotem do karetki. Webster idzie do pokoju lekarskiego, uzupełnia raport - musi w nim być wszystko, co widzieli i co zrobili. Oddziera kopię dla pogotowia, niesie z powrotem do izby, kładzie na nogach Susan.

- Dobra robota - mówi technik. - Byłem pewien, że przywieziecie zwłoki.

Webster lekko wzrusza ramionami, kiwa głową.

Wróciwszy przed budynek, widzi zamknięte tylne drzwi ambulansu, co oznacza, że wewnątrz karetki zostało uprzągnięte i zdezynfekowane. Powell już siedzi za kierownicą. Webster wsiada na miejsce dla pasażera i odwraca się do młodziaka.

- Zmyśliłeś wartości ciśnienia - mówi.

Na twarz Powella występują szkarłatne rumieńce. Chłopak ma wielkie uszy.

- Nie mogłem zmierzyć.

Webster nie musi podnosić głosu.

- Nigdy nie kłam. Nie zmyślaj. Nigdy. Powiedz mi, że nie możesz zmierzyć. Fałszywe informacje o ciśnieniu mogą skutkować niewłaściwym postępowaniem leczniczym. A niewłaściwe leczenie prowadzi do katastrofy. Rozumiesz?

Żółtodziób potakuje gorliwie.

- A co to było z workiem od kroplówki? - pyta Webster.
- Mogłeś wystrzelić do Montrealu.

- Jakoś... nie pomyślałem.

- Nie pomyślałeś. Od teraz masz myśleć. Masz myśleć tak często i tak intensywnie, żeby ci mózg parował. Nad każdym ruchem, każdą procedurą. Nie mogę mieć dwóch pacjentów na podłodze.

- Tak jest, proszę pana.

„Proszę pana”. Webster przewraca oczami.

- Przez następny tydzień każdemu spotkanemu człowiekowi będziesz mierzył ciśnienie. Jeśli zobaczę cię bez rękawa, jesteś zawieszony. Masz mierzyć ciśnienie dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści razy dziennie. Rozumiemy się?

- Tak jest, proszę pana.

- Nazywam się Webster. Jeśli nie potrafisz się zwracać do partnera na „ty”, będziesz miał spore kłopoty. Jedziemy.

Ambulans potoczył się w noc. Na horyzoncie rozbłysły pierwsze smugi świtu.

Webster opiera głowę na zagłówek i zamyka oczy. Uratował człowiekowi życie po raz pierwszy od trzech miesięcy. Uśmiecha się. Cudownie jest doprowadzić do zmartwychwstania.

Webster siedzi w swoim samochodzie, może dziesięć metrów od boiska. Ma na sobie mundur. Dzieciaki przywykły do widoku jego wozu. Nawet uniform nikomu nie przeszkadza.

Spogląda na zegarek. Ma jakieś pół godziny wolnego. Potem trzeba się stawić w jednostce. W sezonie stara się obejrzeć jak najwięcej meczów.

Dzisiaj czuje potrzebę uczestniczenia w czymś całkiem normalnym, w czymś tak odległym od spraw związanych z jego zawodem i z wizytą u Sheili, jak Vermont od Kansas. Kiedyś będzie musiał powiedzieć Rowan o wyprawie do Chelsea. Tylko co właściwie ma jej powiedzieć? „Odszukałem twoją matkę, ale ona nie chce mieć z tobą do czynienia”?

Zamyka samochód i idzie, z rękami w kieszeniach, w stronę ławek. Dziewczęta rozgrywają mecze w soboty i środy, większość w środy, dzięki czemu Rowan nie musi rezygnować z pracy. Webster nie potrafi określić, który inning jest rozgrywany, bo nie ma tablicy z wynikami. Mógłby kogoś zapytać, jednak jakoś nie czuje potrzeby, żeby się angażować towarzysko. Zna większość rodziców siedzących na ławkach, jeśli nie z nazwiska, to przynajmniej z widzenia. Od lat przychodzą na mecze. Rowan w kasztanowym stroju rozgrywa na pierwszej bazie, stoi pewnie, dłoń w pogotowiu. Lubi to miejsce, tu się zawsze dzieje.

Odbijająca jest dwa duże kroki dalej. Rowan czeka z wyciągniętą ręką, uważnie obserwuje miotacza, wypatrzy każdy błąd. Websterowi udało się obejrzeć pewnie z połowę rozgrywek

w tym sezonie. Widok córki na boisku ożywia wspomnienia godzin spędzonych na ławce za czasów Małej Ligi, kiedy Rowan miała sześć, siedem lat. W za dużej czapce, w koszulce sięgającej kolan biegała, jakby miała pełno w spodniach. W którymś momencie jej postawa uległa zmianie i przemieścił się środek ciężkości, jednak do tamtych wspaniałych lat zawsze warto wracać.

Odbijająca mocno uderza piłkę. Rowan wyskakuje wysoko w górę, stara się ją złapać. Biegnąca gna do drugiej bazy, kiedy spostrzega, że Rowan nie złapała piłki. Jakaś inna zawodniczka, której Webster wcale nie kojarzy, rzuca do Rowan piłkę. Ona podaje do łapacza, akurat na czas, żeby zapobiec zdobyciu bazy domowej. Odbijająca czeka przy trzeciej.

I tak nie miała szansy złapać tej piłki, stwierdza Webster.

Za wysoko.

Gdy drużyna truchtem opuszcza boisko, koński ogon Rowan, przewieszony nad paskiem czapki, podskakuje rytmicznie. Córka macha do ojca, jak zazwyczaj, chociaż machanie do rodzica w czasie meczu nie jest fajne. Zawodniczka z tej samej drużyny rzuca jej butelkę z wodą, Rowan opróżnia ją duszkiem.

Webster pyta stojącego obok mężczyznę o wynik.

- Siedem pięć. Hartstone przegrywa.

Rowan rzuca pustą butelkę i idzie po swój ulubiony kij. Teraz ona będzie odbijającą. Sądząc po jej postawie i wprawnym kołtysaniu kijem, najchętniej odbije piłkę daleko za boisko.

Na boisku przymierza się i pudłuje. Pierwszy strike. Webster uwielbia komentarze dobiegające z ławek zawodników. Rowan przygotowuje się do drugiego odbicia.

Tym razem jest solidne, jak większość, które podziwiał u córki w tym sezonie. Zrywa się do biegu, jakby brała udział w mistrzostwach świata. Fakt, że Webster patrzy, nie jest bez znaczenia - wszystkim znany syndrom obserwującego rodzica, ale jednak naprawdę jest szybka. Kiedy dociera do drugiej bazy, w Websterze wzbiera znajoma nadzieja. Środkowa obrończyni

w polu rzuca się do przodu, lecz nie sięga piłki. Rowan tymczasem nawet nie zwalnia, dociera do celu. Baza domowa.

Świetnie.

Dziewczyny przybijają piątkę. Jego córka ociera twarz rącznikiem.

Webster patrzy na zegarek. Jeszcze dziesięć minut. Może uda się obejrzeć następny inning.

Uświadamia sobie, że od ławek dla publiczności ktoś idzie w jego stronę. Odwraca się, widzi jakąś kobietę, która wydaje mu się znajoma.

- Dzień dobry panu.

- Dzień dobry.

- Jestem nauczycielką pana córki. Uczę angielskiego, nazywam się Elizabeth Washington.

- Oczywiście.

Ma ochotę palnąć się w czoło.

- Moja córka dołączyła w tym roku do drużyny. Jest w drugiej klasie. Julie Washington.

- Gra dzisiaj?

- Nie, tylko grzeje ławę.

- Trener wpuści ją na boisko we właściwym czasie - zapewnia Webster.

- Właściwie chciałam pana zapytać, czy nie mają państwo jakichś kłopotów w domu.

Webster dostaje gęsiej skórki. Kobieta ma na sobie szary blezer, na nogach trampki. Dałby jej pod pięćdziesiątkę. Czy lekko skośne czy zmrużone od słońca?

Nie ma ochoty mówić nauczycielce o epizodzie z alkoholem. Jednak nie chce także wydać się rodzicem obojętnym na losy dziecka, bo taki nie jest.

- Czasami czuję się zbity z pantałyku - przyznaje. - Jednego dnia do rany przyłoż, następnego bez kija nie podchodź. A ja nie wiem dlaczego.

Elizabeth Washington potakuje.

- To normalne u nastolatków i pewnie w jakimś stopniu rzeczywiście o to chodzi. Niestety, Rowan bardzo się opuściła

w nauce. Właściwie trwa to przez cały drugi semestr ostatniej klasy. Może nie zdać angielskiego. Jest zagrożona także z matematyki. Nie odrabia prac domowych, nie uważa w szkole. Nie czyta lektur.

Webster buja się na piętach. Elizabeth osłania oczy dłonią.

- Nie bardzo wiem, co powiedzieć - przyznaje Webster.
- Zawsze była dobrą uczennicą i jakoś tak, już dość dawno, przestałem sprawdzać jej prace domowe. Czasami rozmawiamy o szkole, jednak zawsze odnosiłem wrażenie, że wszystko jest w porządku.

Odgrzebuje w pamięci ostatnie wyniki z karty kontrolnej. B+ z angielskiego, to na pewno. C+ z matmy, tak, robił jej wyrzuty o tę ocenę. Nie pamięta, jak się broniła. Nie wydawała się zmartwiona, chociaż stopnie rzeczywiście dostawała gorsze niż dawniej.

- Jeszcze ma szanse, jeśli się weźmie do pracy, ale musi naprawdę przysiąc fałdów, bo do końca roku zostały raptem dwa tygodnie. Martwię się o nią. Jeśli zawali angielski i matematykę, na University of Vermont jej nie przyjmą. Mamy obowiązek przesyłać do college'u wyniki końcowe.

- Skończy szkołę?

- Tak. Od jesieni nazbierała dobrych ocen. Ale nie chodzi tylko o stopnie. Niepokoję się, czy w domu wszystko w porządku.

- Niby tak, ale trudno za nią trafić - przyznaje Webster. - Ostatnio zadała pani lekturę... coś o grawitacji...

- „Tęcza grawitacji” - podpowiada Elizabeth z uśmiechem. - Rzeczywiście. Dla większości uczniów okazała się niemałym wyzwaniem... głównie ze względu na objętość. Natomiast jeśli chodzi o Rowan, to, moim zdaniem, nawet nie otworzyła książki.

Webster pozwala sobie na ciche westchnienie.

- Bardzo pana przepraszam, naprawdę mi przykro. Powinam dać znać wcześniej. Teraz już niewiele można zrobić. Wydawało mi się, że pytałam...

Webster rozkłada ręce, kręci głową.

Kobieta z pewnością ma dobre intencje, zależy jej na dobru Rowan, a jednocześnie on sam czuje się, jakby został wezwany na dywanik. Jak to możliwe, żeby nie wiedział, co się dzieje z Rowan w szkole? Czuje się niczym ostatni idiota.

- Jestem całkowicie zaskoczony - wyznaje. - Dziękuję za informacje. Z pewnością coś jest nie tak. Porozmawiam z córką. - Zerka na zegarek. - Spóźnię się na zmianę.

Elizabeth dotyka jego ramienia.

- Nie sugeruję w najmniejszym stopniu, że jest pan złym rodzicem. Osobiście uważam, że opiekuje się pan Rowan w sposób godny podziwu. Pańska córka to jedna z nielicznych uczennic, z których jestem naprawdę dumna. Niestety, ostatnio zaczęła się zmieniać na gorsze.

Webster potrząsa dłonią kobiety, po prostu dlatego, że nie potrafi wymyślić innego sposobu na zakończenie rozmowy. Zostały mu dwie minuty na dotarcie do jednostki. Chętnie by natychmiast odciągnął Rowan na bok i wypytał o przyczyny złych stopni, ale rodzice nie ściągają graczy z boiska, jeśli sytuacja nie jest podbramkowa.

Jednak zawalony angielski i matma? Czy to nie jest sytuacja podbramkowa?

Zerka w stronę Rowan, ale nie widzi jej twarzy. Jedyne mocno zaciśnięte usta.

Webster gładzi się po nieogolonej brodzie i przygląda stercie rachunków, które ignoruje od kilku tygodni. Zwykle stosuje podział na trzy grupy: do zapłacenia natychmiast, te, które można zapłacić pod koniec miesiąca, i te, co to mogą poleżeć jeszcze kilka tygodni. Dzisiaj nie będzie podziału na trzy - trzeba zapłacić wszystkie. Myśli o niedalekich rachunkach za naukę. Będzie musiał więcej pracować albo wziąć kredyt pod hipotekę. Jedyne pocieszenie, że czesne na UVM dla studentów ze stanu Vermont ma rozsądną wysokość.

Od wczoraj, gdy Elizabeth Washington wzięła go na bok w czasie meczu, Webster planował rozmowę z Rowan. Po służbie czekał, aż córka się obudzi. W kuchni powiedział jej, co wie.

- I co z tego? - Rowan bezskutecznie próbuje odsunąć temat.

- I co z tego? - powtarza Webster. - I co z tego?! To z tego, że możesz nie dostać się do college'u.

- I co z tego?

- Przeciągnęłaś strunę. Oddaj kluczyki.

- C o ?

Ma na ramieniu plecak, nie zamierzała jeść śniadania.

- Słyszałaś. - Nie spuszcza z tonu, chociaż ziemia kołysze mu się pod nogami.

- To jak się dostanę do szkoły?

- Pieszko. Wielu uczniów chodzi do szkoły piechotą.

Rowan rzuca kluczyki na stół. Suną w stronę Webstera.

- Nikt nie chodzi do szkoły piechotą - oznajmia Rowan tonem wyrażającym politowanie wobec jego ignorancji.

Patrzy, jak córka wychodzi z domu. Ale nie odprowadza jej wzrokiem na podjeździe.

Teraz siedzi przy rachunkach. Która to godzina? Już pierwsza trzydzieści.

Jutro Rowan ma bal absolwentów. Czy do tego czasu zacznie się odzywać do ojca? Poranna rozmowa nie przebiegła tak, jak by sobie życzył. Dlaczego w ogóle spodziewa się rozsądnej wymiany argumentów z siedemnastolatką, która składa się wyłącznie z humorów?

Bo kiedyś potrafili ze sobą sensownie rozmawiać.

Upija łyk zimnej kawy. Mógłby ją podgrzać w mikrofalówce, ale woli zaparzyć nową. Ma przed sobą co najmniej godzinę papierkowej roboty.

Kałużę rozlanej na blacie wody wyciera połą flanelowej koszuli. Kiedy wejdzie na górę i tak wrzuci ją do kosza z brudną bielizną. Na stopach ma rozdeptane kaptcie, prezent gwiazdkowy od Rowan sprzed dwóch lat. Są od środka wyściełane futerkiem, za ciepłe na tę porę roku. Trzeba będzie odszukać mokasy.

W pewnej chwili słyszy dziwny dźwięk. Dzwonek do drzwi frontowych? Tylko kurierzy FedEksu i UPS dzwonią do frontowych drzwi.

Pewnie jakaś paczka dla Rowan. Webster idzie korytarzem. Do niego rzadko przychodzi paczki. Córka robi zakupy w sieci, zwykle w ten sposób oszczędza. Webster nie ma nic przeciwko temu. Lubi wyraz twarzy Rowan, kiedy córka dostrzega przesyłkę czekającą na kuchennym stole.

Otwiera drzwi.

Takiego kuriera się nie spodziewał.

- Masz tupet.

- Ty też.

- Nie przypuszczałem, że cię jeszcze zobaczę.

- Wet za wet - odpowiada Sheila.

Webster czuje, że się wewnętrznie spina. Gotów na każdą ewentualność.

- Przyjechałam porozmawiać o Rowan.

Webster odstepuje o krok, ona odbiera to jako zaproszenie.

Zamyka za nią drzwi. Sheila rozgląda się po ciasnym przedpokoju. Pamięta: jadalnia na lewo, kuchnia na wprost.

- Prawie się nie zmieniłeś.

Webster nie jest pewien, czy to komplement.

Sheila ma na sobie krótką czarną kurtkę, obcisłe szare dżinsy. Do tego skórzane sandały. I dziwny naszyjnik z dużych koralii. Włosy ściągnęła w jakiś zawile spleciony koński ogon. Stoi i wchłania dom.

On się nie ogolił. Pachnie też zapewne nie najpiękniej. Flanelowa koszula najlepsze lata ma dawno za sobą. Nie umył zębów.

Skąd ta nagła zmiana frontu? Chciałby wiedzieć.

- Chodź do kuchni - mówi.

Idzie pierwszy, zgarnia ze stołu papiery, znosi je do jadalni.

- Rachunki - wyjaśnia zwięźle.

Bardzo by chciał, żeby istniały procedury przewidziane na taką okazję.

- Napijesz się kawy? Właśnie wstawiłem.

- Chętnie. Dzięki. - Chwila przerwy. - Wyjdę, zanim ona wróci. Nie ma potrzeby, żeby wiedziała o mojej wizycie.

- Nie mamy przed sobą tajemnic.

Kłamstwo. Zwłaszcza w odniesieniu do ostatnich miesięcy. Webster zastanawia się, kiedy ostatnio rozmawiali z Sheilą o dobru córki. W ogóle kiedyś rozmawiali?

Zwraca uwagę, że drżą jej ręce.

- Nie ma dnia, żeby nie myślała o Rowan.

Zadiera brodę, wydyma usta. Nadal piękne, trzeba przyznać. Na długiej szyi właściwie nie ma zmarszczek. Webster obawia się przyglądać Sheili zbyt intensywnie.

- Skoro bez przerwy myślałaś o Rowan, czemu nie zadzwoniłaś? Mówisz, że nie pijesz od dziesięciu lat.

- To nie takie proste.

- Wytłumacz mi.
- Bałam się - mówi Sheila.

Webster stawia przed nią kubek z kawą.

- Trzeźwość nadal jest dla mnie dziwnym uczuciem. Bałam się, że jeśli na nowo otworzę ten rozdział... ty, Rowan, Vermont... znowu zacznę pić. Nie wiedziałam, czy tak by się stało, po prostu tak czułam.

- Używasz czasu przeszłego.
- Dlatego tu jestem.

Webster czeka.

Zegar po dziadku wydzwania w korytarzu. Sheila się uśmiecha.

- Ciągłe go masz. To miło.

- Na co dzień się go nie zauważa. - Webster upija łyk kawy. - Rowan jest fantastyczną dziewczyną. Tyle tylko, że teraz znalazła się na rozstaju. O co chodzi, nie mam pojęcia. Bez przerwy sprawdza, jak daleko może się posunąć. Wspomniałem ci już, uważa, że odziedziczyła skłonność do alkoholu. Mówiłem też, że któreś nocy znalazłem ją prawie nieprzytomną.

Sheila krzywi się.

- Zrobię, co będę mogła, ale nie jestem na czasie.

Jasne postawienie sprawy, równie szczere, jak wszystko, co powiedziała do tej pory. Webster stara się ujrzeć siebie w jej skórze, jednak wyobraźnia odmawia mu posłuszeństwa.

- Rowan się ode mnie oddala - wyznaje. - Opuściła się w nauce. Miała iść do college'u na University of Vermont, ale teraz, z powodu kłopotów z angielskim i matematyką, mogą jej tam nie przyjąć.

- College - mówi Sheila w zamyśleniu.
- Ciężko pracowała na tę szansę. A teraz niewiele brakuje, żeby ją zaprzepaściła.

Sheila rozgląda się po kuchni.

- Dziwi mnie, że się nie ożeniłeś - mówi. - Zawsze mi się zdawało, że jesteś typem żonkosia.

- Nie miałem czasu. Pracowałem i zajmowałem się Rowan. Musiałem być dla niej i matką, i ojcem. - Milknie, patrzy na swoją byłą żonę. Zastanawia się, jakie wrażenie robią na niej te słowa. Rodzi mu się w głowie nieproszona myśl. - Ciągłe nie mogę się nadziwić, że w tamtą noc w ogóle znalazłaś się w Vermontcie. I że za mnie wyszłaś. - Przerzywa. - Całkiem jakbyś postanowiła wykorzystać chwilę, spróbować innego życia, tak jak się przymierza nowe ubranie. Potem stwierdziłaś, że pije w pasie, a rękawy są za krótkie, więc rzuciłaś wszystko. Mnie i Rowan, i Vermont. Cisnęłaś za siebie.

- Lubiłam to ubranie - powiedziała Sheila. - Nie było dla mnie odpowiednie, ale bardzo je lubiłam.

- Tyle że jakoś mogłaś się bez niego odejść.

- Kochałam Rowan, przecież wiesz.

- Powiedz mi coś - prosi Webster. - Tamtej nocy na wzgórze, kiedy byliśmy ze sobą pierwszy raz, nie brałaś pigułek, prawda?

- Nie pamiętam.

- Pamiętasz, pamiętasz.

- To nie tak, jak myślisz. Nie wrobiłam cię w małżeństwo. Czułam, że mogę sobie pozwolić na beztroskę, bo ty zapewnił mi bezpieczeństwo.

Webster woli zamilczeć.

Sheila pochyla się do niego.

- Chciałabym się z nią zobaczyć.

- Zapytam. Na razie nie wie nawet, że cię znalazłem, ani tym bardziej, że tu jesteś.

Sheila pociera skronie.

Webster patrzy przez kuchenne okno.

- Kiedy rozmawialiśmy w Chelsea, byłaś oschła, jak obca. Dlatego postanowiłem nie wspominać jej o tej swojej wycieczce. Nie chciałem, żeby się z tobą spotkała.

- Chcę ją poznać. Jestem jej matką.

- Moim zdaniem, musisz zasłużyć na to miano.

- Ty mi ją odebrałeś.

- Nie. Sama jej siebie pozbawiłaś.

Sheila bierze torebkę.

- Absurd.

Webster uświadamia sobie, że nie chce, by wyszła.

- Co się z tobą działo? Co zrobiłaś, kiedy odjechałaś?

Zawsze byłem ciekawy.

Sheila przyszpila go wzrokiem.

- Wpakowałam samochód do rowu i pojechałam do siostry, na Manhattan. Nie trzeźwiałam. Ona wtedy też miała małe dziecko, znosiłam to z trudem. Zmieniłam jej życie w piekło. Kiedyś w barze poznałam jednego mężczyznę... Mieszkał w Piermoncie. Oszalałam na jego punkcie. Przeprowadziłam się do niego, nadal piłam. - Pauza. - Ktoregoś razu strasznie się pokłóciliśmy, wyszłam na ulicę, tak jak stałam, kompletnie pijana, klnąc, na czym świat stoi. Zatrzymano mnie za pijaństwo i zakłócanie spokoju, noc przesiedziałam w areszcie. Paul oświadczył, że zapłaci kaucję pod jednym warunkiem: zgłoszę się na odwyk. Tego samego dnia. Natychmiast. I tak się stało. Wylądowałam na północy stanu. Kiedy mnie wypuścili, przyjechał i pojechaliśmy do Meksyku. Mieszkaliśmy tam osiem lat. Zrobił tak, bo uważał, że jeśli znajdę się z dala od znajomego otoczenia, nie będzie mnie tak bardzo ciągnęło do picia. No i... podziałało.

- A co z nim?

Sheila gniewnym gestem ściąga gumkę z włosów. Rozsypują się po ramionach.

- Zmarł na raka trzustki.

Webster zamyka oczy.

- Tak mi przykro. To musiało być dla ciebie bardzo trudne.

Wstaje, krąży po kuchni, pobrzękując drobnymi w kieszeni. Najważniejszy człowiek w jej życiu, jej ukochany. Zmarł. Webster serdecznie jej współczuje. Jednocześnie ona była miłością jego życia.

Dokąd to prowadzi?

Do tego samego punktu, w którym tkwi od piętnastu lat.

- Zastanowię się - decyduje Webster - czy powinnaś się spotkać z Rowan. Porozmawiam z nią. Dam jej wybór. Raczej nie zrobię tego natychmiast.

- Dziękuję.

- Dlaczego zmieniałaś zdanie?

- Kiedy wyszedłeś, oparłam się o ścianę, osunęłam na podłogę i tak zostałam, na długi czas. Widzisz, poukładałam sobie życie. Sensowne, ale bardzo kruche. Kiedy przyjechałeś, a przecież nie przypuszczałam, że w ogóle jeszcze kiedyś się spotkamy, byłam wstrząśnięta. Zamknęłam się w skorupie. Dopiero później przemyślałam, co powiedziałaś. Dotarło do mnie, że Rowan ma kłopoty. Pewnie nie będę umiała jej pomóc, ale powinnam spróbować. Tyle wiem.

Webster kiwa głową. Tyle musi mu na razie wystarczyć.

Zapyta Rowan, czy chce się widzieć z matką. Pewnie z początku będzie niechętna, ale może ciekawość zwycięży.

- Chyba już pójde - mówi Sheila. - Mogę skorzystać z łazienki? Sam wiesz, mam za sobą kawałek drogi.

- Pamiętasz, jak trafić?

- Chcesz powiedzieć, że nie urządziłaś łazienki dla gości?

- Zajmę się tym, kiedy nie będę mógł wejść na piętro.

Mija dobrych kilka minut, zanim Webster uświadamia sobie swój błąd. Pędzi na górę, przeskakując po dwa stopnie, zastaje Sheilę w pokoju Rowan. Sheila płacze, tuli do siebie pluszowe zwierzątko, które kiedyś było psem.

- Co jest, do cholery?

Sheila podnosi wzrok.

- To ode mnie. Nie wiedziałam, że ona... że ty... że go zatrzymaliście. Tyle lat... - Kołysze pluszaka jak dziecko.

- Tak wiele straciłam. Tutaj wszystko łączy się z Rowan, a ja jestem obca. Tyle lat... - Szlocha. - Biurko, zobacz. I klarnet. A ten fresk...? Boże drogi. Jestem dla niej kompletnie obca.

Nie chciał jej na to narażać. Czy aby na pewno? Podchodzi do biurka, szpera w górnej szufladzie. Znajduje to, czego szukał, i pokazuje Sheili fotografię. To zdjęcie zrobione tuż po narodzinach Rowan, niemowlę w objęciach matki.

- Jej największy skarb.

Sheila bierze w rękę zmięty kawałek papieru, przygląda mu się uważnie, przyciska do piersi. Pochyla głowę.

Webster odwraca wzrok. Sheila jest zdruzgotana. Słuchając jej szlochu, zastanawia się, czy w odwrotnej sytuacji, gdyby to on był alkoholikiem, zareagowałby tak samo? Prawdopodobnie tak.

Stoi w progu, prawie odwrócony tyłem, chce jej zapewnić trochę prywatności.

Ma ochotę do niej podejść. Przywykł do zajmowania się osobami, które płaczą. Zdarza mu się to przynajmniej raz w tygodniu. Do niej jednak podejść nie może.

Kiedy się w końcu odwraca, Sheila stoi. Wygląda fatalnie. Ostatni raz obejmuje pokój spojrzeniem, wyraźnie stara się go zapamiętać.

- Dasz radę prowadzić? - pyta Webster. Zaraz kręci głową. - Chodziło mi o to...

- Wiem, o co ci chodziło. Tak, dam radę prowadzić. - Po chwili: - Wiem, że się bardzo zmieniłam. A ty wcale.

- To dobrze czy źle?

- Dobrze.

Patrzy na nią, idącą do samochodu zaparkowanego na ulicy. Musi sama się uporać ze swoimi problemami. Jechał do Chelsea z myślą o Rowan, tymczasem osiągnął zupełnie inny skutek, otworzył stare rany swojej byłej żony.

Idzie na piętro, do pokoju Rowan, upewnić się, że Sheila tam czegoś nie zostawiła, że pluszowy psiak leży na swoim miejscu. Tuż za progiem staje jak wmurowany. Perfumy! Na dole nie zwrócił na nie uwagi, tutaj wiszą niby gęsta zasłona.

Cholera.

W pierwszym odruchu rusza po odświeżacz powietrza, lecz natychmiast zmienia zdanie. Rowan chciałaby wiedzieć, dlaczego użył go w jej pokoju. Postanawia otworzyć okno. Próbuje unieść ramię, nie może. Zacięła się. Upewnia się, że zamek jest zwolniony. Mimo wszystko okno ani drgnie. Próbuje otworzyć drugie, po przeciwnej stronie pokoju. Nic z tego.

Co jest grane?

Powinien był dawno się tym zająć. Wraca do pierwszego okna. Może trzeba przesmarować taśmę? Oby tylko udało się je chociaż uchylić. Wtedy otworzy któreś z okien na dole i powie córce, że chciał schłodzić dom. Popycha raz jeszcze, mocno, a wtedy z góry coś spada. Biały notes, nieduży, jakies piętnaście na dziesięć centymetrów.

Stoi z notesem w dłoniach. Ponieważ Rowan go schowała, powinien go od razu odłożyć. Niestety, nie wie, gdzie dokładnie był ukryty. Po lewej czy po prawej stronie.

Zaczyna go trafiać szlag.

Otwiera na chybił trafił.

„Nie chcę robić za gwiazdę. Nie lubię sztuczności, w innych też. Pojawia się nagle”.

Inna strona.

„Jak można zrobić coś takiego? Zostawić własne dziecko na piętnaście lat?”.

Dalej.

„O wielu rzeczach nie ma bladego pojęcia, ale jest dobrym ojcem. Próbuję o tym pamiętać, kiedy zdrowo przegina. Ma dobre chęci. Stara się. To mój ojciec. Kocha mnie. I jest sto razy lepszy od rodziców większości moich przyjaciół”.

Trochę o Tommym i o Ginie, także o szkole. To wszystko Webster omija. Inny akapit przyciąga jego uwagę.

„Allison powiedziała mi tuż przed Gwiazdką. Myślałam, że się nie pozbiiram. Na pewno było to po mnie widać. Moja matka była w ciąży, kiedy się pobierali! Uświadomiłam sobie, że nawet nie znam daty ich ślubu. Dlaczego nigdy nie spytałam? Bałam się, że mu będzie przykro? Allison wie o wszystkim

od matki, która pracowała u dziadka. Nie umiem przywyknąć do myśli, że jestem niechcianym dzieckiem".

Webster się krzywi. Nie powiedział córce, że była w drodze, kiedy się pobierali?

Czyta dalej:

„Trzeba wychowywać dziecko, żeby naprawdę być matką, nie? Chyba nie chciałabym żyć inaczej. Tylko czasem bywają takie dni, kiedy przydałaby się rada matki w kobiecych sprawach. Tyle nocy byłam sama, chociaż bardzo nie chciałam. No, ale życia nie da się zmienić. Można tylko w teorii. Mojej matki przy mnie nie ma. To trochę tak, jakbym sobie wyobrażała, że mam rodzeństwo. Mogę sobie kogoś wymyślić, ale to do niczego nie prowadzi, bo...".

- Co robisz?

Webster z trzaskiem zamyka notes.

W progu stoi Rowan, ubrana w bordowy dres.

- Chciałem otworzyć okno... Wypadł, podniosłem...

- Czytałeś.

- Ja tylko...

- Czytałeś mój pamiętnik - powtarza Rowan.

- Otworzył się... - Doskonale wie, że brzmi to nieprawdopodobnie.

- Tak nie wolno! - Rowan opiera dłonie na framugach, wysoko, koło głowy, jakby się powstrzymywała od ataku. - To mój pamiętnik! Rzecz osobista!

- Wiem, wiem... - Webster upuszcza notes na łóżko.

- Precz stąd! - krzyczy Rowan. - Wynoś się z mojego pokoju i nie waz się tu nigdy więcej wchodzić. Rozumiesz?! Nigdy!

W życiu nie widział córki tak wściekłej.

Rowan cofa się za próg, żeby ojciec mógł wyjść. Tuż za jego plecami zatrzaskuje drzwi z takim hukiem, że dygocze całe poddasze.

Webster wie, że Rowan była u fryzjera, razem z Giną. Nie ułatwi jej życia, nie pozwoli się dziś ignorować. W świeżej koszuli i dżinsach czeka, aż córka zejdzie na dół. Za każdym razem, gdy myśli o notesie, kurczy mu się żołądek.

Z piętra dobiega stukanie wysokich obcasów. Gdy przynosi się na schody, Webster wstrzymuje oddech. Rowan wchodzi do kuchni. Ma na sobie czarną sukienkę z podwyższonym stanem, niepokojąco podobną do tej, którą Sheila wybrała na ślub. Na szyi krótki sznurek pereł, prezent od babci. Idzie do lustra w przedpokoju. Ogląda się z boku, z drugiego boku, całkiem jak modelka. Jest kobietą. Ta myśl pojawiała się już wcześniej, ale tak czy inaczej, za każdym razem uderza Webstera z równą mocą. Stara się o tym zapomnieć, jednak Rowan wciąż mu o tym przypomina. Gdy obserwuje ją w towarzystwie Tommy'ego, jest kompletnie skołowany, w głowie ma pustkę, trzeszczący obraz jak w telewizorze nastawionym na kanał bez sygnału. „Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy”, powtarza sobie ciągle na nowo. Tylko jak tego dokonać?

- Niezłe obcasy - ocenia.

Odzywa się do córki po raz pierwszy od czasu, gdy wyszedł z jej pokoju.

Rowan nie odpowiada.

- Chcę ci zrobić zdjęcie.

Jeśli odmówi, będzie wiedział, że przepaść między nimi jest znacznie głębsza, niż się obawia.

- Gdzie? - pyta naburmuszona.

- Tam gdzie zawsze.

Rowan podchodzi do nagiej części ściany kuchennej. Tam pozowała do wielu zdjęć: przebrana za kiść winogron na Halloween, z uniesionym wysoko trofeum, zdobytym w grze w softball, z dumą w oczach, w mundurze zucha, bezskutecznie usiłująca przybrać poważną minę.

Czy wybrała czarną sukienkę, bo powiedział jej, że Sheila włożyła taką na ślub? Czy w ogóle pokazał jej fotografie ślubne? Gdzie ich szukać? Nie wie. Zapewne w którymś z licznych pudeł porzuconych w piwnicy. Czy córka dokonała tego wyboru świadomie, czy przez przypadek?

Rowan wstrząsa ramionami, rozluźniając barki. Widział już, jak robiła to przed meczem. Celuje w nią obiektywem aparatu cyfrowego, przygląda się kadrowi, ustawia pod odpowiednim kątem. Nie doczeka się uśmiechu. Wcisną srebrny guzik.

Rowan nie prosi o pokazanie zdjęcia.

Walczy z mikroskopijną torebką, musi dokonać wyboru przez eliminację. Błyszczący do środka, szczotka do włosów odpada, to samo lakier. Klucze do torebki, lusterko, komórka. Krem do rąk wylatuje.

Jest piękna letnia noc. Webster pamięta, w czasie jego balu była podobna pogoda. Wypożyczył smoking. Czy teraz też chłopcy pożyczają smokingi? Pamięta też swoją partnerkę. Miała na imię Alicia, ubrana była w sukienkę o suto marszczonoj spódnicy i szerokich ramionach. Ciekaw był, czy da się ją przelecieć, nic z tego nie wyszło. Bawili się grzecznie.

Spogląda na zegar nad zlewem. Słyszy samochód Tommy'ego na podjeździe.

Rowan otwiera torebkę i raz jeszcze sprawdza jej zawartość.

Chce wyglądać pięknie.

Zabiera szal z krzesła. Otwiera tylne drzwi i bez słowa je za sobą zamyka. Webster przechodzi do jadalni, wygląda przez okno. Tommy wysiada z samochodu, idzie w stronę domu. Normalnie podałyby mu rękę. Może by też wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Rowan trochę niezdarnie drepcze na wysokich szpilkach. Kiedy indziej ten widok mógłby Webstera rozśmieszyć. Tommy otwiera jej drzwiczki, ładny gest. Obchodzi samochód od tyłu, poprawia sportową marynarkę. Nie ma smokingu. Kiedy uruchamia silnik, Webster odchodzi od okna.

Żadnego buziaka na do widzenia. Żadnego uścisku. Żadnej szansy, by powiedzieć córce, że wygląda przepięknie.

Webster odczekuje kwadrans, po czym wsiada do cruisera. Do swojej zmiany ma jeszcze godzinę.

Wyjeżdża z miasta, kieruje się w górę łagodnym zboczem. Księżyc przyrasta, jutro będzie pełnia. Webster otwiera wszystkie okna, wpuszcza do wozu ciepły wiatr. Gdyby miał radio i dwadzieścia lat mniej, śpiewałby pełną piersią. Nie był na tym szczyście prawie dwie dekady. Miewał wezwania w okolicy, ale nigdy nie dojechał aż do miejsca, które uważał za swoje wymarzone.

Parkuje na skraju drogi i wysuwa się zza kierownicy. Góry stroją się we fiolety, zielenie i miedź, zależnie od światła i wysokich obłoków. Idzie między smukłe trawy. Jest zdumiony, że nikt tutaj nie postawił domu ani nie sprzedał ziemi deweloperowi. Poprzedni właściciel zmarł.

O czym to marzył przed laty? Na co miał nadzieję?

Dom z dużym oknem.

Teraz marzenia ma bardziej skomplikowane.

Trawa się porusza. Część budynku, w którym mieszkał właściciel ziemi, zapadła się dawno temu, dach przypomina muszlę ostrzygi.

Czy hodowałyby owieczkę, a może ze dwie? Miałyby psy? Warzywnik z prawdziwego zdarzenia? Czy postawiłyby dom własnymi rękami?

Patrzy w stronę szkoły swojej córki, budynku nie widać. Gdzieś tam w dole jest miasteczko, w którym spędził całe życie. Czy umrze również tutaj? Czy Rowan zamieszka w pobliżu, czy też przeprowadzi się do dużego miasta? Trudno powiedzieć. Nie sposób sobie wyobrazić przyszłości.

Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa czuje się samotny.

Gdzieś tu niedaleko poczęli z Sheilą Rowan.

W głowie mu się kręci od pytań i domysłów.

Nie chce, by rok szkolny zakończył się nutą pełną goryczy. Boi się, żeby wspólne życie z córką nie zamknęło się przykrym incydentem. Doskonale wie, że nastolatki potrafią odejść z domu rodzinnego, zniknąć z życia rodziców, poprzestając na machnięciu ręką.

Spogląda na zegarek. Do zmiany jeszcze dwanaście minut. Droga zajmie mu sześć.

Postanawia, że kiedy Rowan wyprowadzi się z Hartstone, on też to zrobi. Może gdzieś bliżej dużego miasta, zobaczy, jak się żyje w innych warunkach. A może w ogóle opuści Vermont. Spróbuje się zaczepić jako medyk na Manhattanie albo może w Bronksie.

E, nic z tego. Bez szans. W jego pracy podstawą jest doskonała znajomość okolicy. Przypomina sobie wezwanie do „skoczka”, jakie to było dziwne, niecodzienne zdarzenie w Vermoncie. Z drugiej strony, pewnie ratownicy z Bronksu nigdy nie widzieli nogi rozszarpanej przez kombajn albo zmiażdżonej przez prasę na polu.

Krajobraz podsuwa mu coś nieuchwytnego, a upragnionego. Kiełkuje w nim ogromna chęć, by trwać. Dziwne uczucie, jednocześnie nowe i znajome.

Zamyka w dłoni źdźbła wysokiej trawy.

- Skąd się tu wzięłeś? - pyta Koenig.
 - Zamieniłem się, bo chcę mieć wolne na koniec szkoły - odpowiada Webster, wlewając w siebie kawę. - A ty tu skąd?
 - Ściągnęli dodatkową obsadę. Na Turnip Hill jest pokaz ogni sztucznych, a w szko... - Koenig przerywa.
 - ...a w szkole bal - kończy za niego Webster. - Wiem, wiem.
 - Rowan jest na imprezie?
 - Tak. W towarzystwie świetnego, odpowiedzialnego chłopaka. Bardziej odpowiedzialnego niż ona, żeby już być w zgodzie z prawdą.
 - Wobec czego dzisiaj nie będziesz krążył jak lew w klatce? Pamiętam cię w dniu zakończenia roku po pierwszej klasie.
 - Koenig rysuje koła palcem w powietrzu.
 - Nie. - Webster upija łyk gorącego płynu. W zasadzie wolałby mrożoną herbatę. - Dostyc mam zamartwiania się. Poważnie. - Podnosi wzrok na kolegę. - Jak przetrwałeś do-rastanie Annabelle? Mam teraz z Rowan straszną jazdę.
 - Twoja córka jest dobrą dziewczyną - przypomina mu Koenig.
- Webster macha ręką.
- Ostatnio mamy kłopoty z porozumieniem - przyznaje.
 - Co się stało?
 - Przyłapała mnie na czytaniu jej pamiętnika.
 - Niemożliwe!
 - A jednak.

- Wdepnąłeś po uszy.
- Co ty powiesz. Rowan się do mnie nie odzywa.
- Zaćmiło cię czy co? - Koenig kręci głową z niedowierzaniem.
- To długa historia. Ten pamiętnik dosłownie spadł mi z sufitu, podniosłem go i jakoś tak...
- Aha. Jasne. Oczywiście.
- Z kim dziś jeździsz?

Koenig jest teraz numerem jeden w karetce, Webster przejął nowy ambulans.

- Z Dunstanem. Przeniesiony z miejscowości Bennington. Jego żona została u nas nauczycielką. W dzisiejszych czasach trudniej o posadę nauczyciela niż paramedyka.

- Poważnie? Nie wiedziałem. Mam wrażenie, że ciągle nam obcinają budżet.

- Owszem, ale straży nie można obciąć za dużo. Natomiast budżety szkolne przez kilka ostatnich lat były bez przerwy trymowane. W końcu jednak przegłosowano przywrócenie kursu komputerowego. No i trzeba było kogoś zatrudnić.

- Nie znam Dunstana. Jeżdżę z żółtodziobem.

- Tym z uszami?

Webster kiwa głową. Koenig pochyla się ku niemu, zniża głos.

- Chłopak ma świra na punkcie ciśnienia. Mierzy każdemu, kto mu się pod rękę nawinie. Mnie też próbował.

Webster zerka w kąt, gdzie nowy siedzi z podręcznikiem w dłoniach.

Uśmiecha się lekko. Czas już odpuścić dzieciakowi.

- Powell - odzywa się, idąc w jego stronę.

Nowy zrywa się na równe nogi, Webster ma wrażenie, że chciałby zaszalutować.

- Słucham.

- Jak ci idzie mierzenie ciśnienia?

- Całkiem nieźle.

- To dobrze. - Webster podwija rękaw. - Zmierz.

Nowy zakłada rękaw, ruchy ma pewne.

- Sto czterdzieści dwa na osiemdziesiąt sześć - raportuje.

- Na pewno? - Webster jest zdziwiony. - Zmierz jeszcze raz.

Żółtodziób nerwowo powtarza czynności. Webster przygląda się jego lśniący butom.

- Tak samo.

- Dokładnie tak samo?

- Sto czterdzieści dwa na osiemdziesiąt sześć.

- Koenig, możesz podejść? - odzywa się Webster głośniej.

Koenig wstaje, podchodzi do Webstera.

- Co tam, mistrzu?

- Zmierz mi ciśnienie.

Nowy podaje Koenigowi rękaw. Kolejna powtórka rytuału.

- Sto czterdzieści dwa na osiemdziesiąt sześć - oświadcza Koenig. - Trochę za wysokie, moim zdaniem.

- Dzięki - mówi Webster do Koeniga. Zwraca się do Powell: - Możesz sobie odpuścić dalsze praktyki w mierzeniu ciśnienia. - Wrywa mu się westchnieniem. - Powinienem się wybrać do lekarza.

Zdziwiony siada w fotelu, choć powinien wrócić do sąsiedniego pokoju, do zwykłego kieratu. Trzeba odstawić ciasta i kluski. Zawsze miał niskie ciśnienie, między innymi dlatego nie poświęcał mu zbyt wiele uwagi. Wiek, stres czy styl życia? Trudno powiedzieć.

Budzi go wezwanie, a ponieważ przysnął na chwilę, przegapił początek informacji. Siada prosto, rozgląda się za nowym, który już stoi w drzwiach.

- Co jest? - pyta mężczyznę obok.

Może to ten przeniesiony, Dunstan.

- Dwie kobiety: siedemnaście i osiemnaście lat w kamieniołomie Gray Quarry. Jedna nie oddycha, podejrzenie utonięcia, druga nieprzytomna, ale oddycha.

Webster wyskakuje z fotela. Wzrokiem odszukuje Koeniga.

- Jadę za tobą! - rzuca były partner.

- Ja prowadzę! - woła Webster do nowego, biegnąc do drzwi.

Pędzi do karetki.

Rusza z piskiem opon, na syrenie. Nowy jest spięty, błądy.

Webster dociska gaz do stu czterdziestu, nie zwalniając, przemyka przez dwa skrzyżowania.

- Nigdy tak nie rób! - krzyczy do młodego. - Pamiętaj, co ci mówiłem o skrzyżowaniach.

Sto metrów za sobą widzi światła ambulansu prowadzonego przez Koeniga.

Nie chce oglądać obrazów podsuwanych przez wyobraźnię. Powtarza w pamięci najważniejsze procedury. W tym wypadku to równie dobre jak modlitwa.

Pędzi międzystanową, samochody ustępują mu drogi, zjeżdżają na pobocza. Doskonale wie, gdzie jest kamieniołom. Miejsce wydobycia marmuru. Pływał tam jako dzieciak. Pamięta, jak na początku praktyki, będąc jeszcze żółtodziobem, uratował chłopaka, który o mało się nie utopił w czarnej wodzie.

Nocą tam nic nie widać.

Ambulans podskakuje na koleinach drogi prowadzącej do kamieniołomu. Webster dostrzega blask ogniska.

Powell jeszcze nie zdążył otworzyć drzwiczek, kiedy on już wyskakuje z karetki. Chłopak klęczący obok jednej z dziewcząt wstaje.

Tommy.

Websterowi robi się niedobrze.

Staje okrakiem nad córką. Rowan ma oczy i usta ubrudzone krwią. Widać, że ktoś, pewnie Tommy, starał się otrzeć jej twarz.

- Przyjęła wyzwanie - mówi chłopak. - Błagałem, żeby dała spokój. Kiedy ją wyciągnąłem, nie oddychała, ale udrożniłem układ oddechowy i reanimowałem ją, aż zaczęła kaszleć. I zwymiotowała.

Webster pochyla głowę, przysuwa twarz do ust córki i li-
czy. Dziesięć oddechów na minutę. Cuchnie wymiocinami
i alkoholem.

- Dziesięć oddechów! - krzyczy do Powella. - Po alkoholu.
Zmierz tętno i ciśnienie. Daj kołnierz.

Nowy podaje mu kołnierz, Webster go zakłada. Zapala
latarkę, sprawdza źrenice. Równe, reagują.

- Rowan! - woła.

Sprawdza uszy. Czuje czyjeś dłonie na ramionach.

- Przejmuję pacjentkę - mówi Koenig.

- To Rowan - odpowiada Webster.

- Wiem. Odsuń się.

Webster wstaje, odstepuje na bok. Patrzy, jak Koenig kłęka
przy Rowan. Ratownik woła o deskę. Dopiero teraz Webster
sposprzega, że córka ma na sobie tylko bieliznę.

- Koenig, przykryj ją, na litość boską.

Koenig narzuca na ofiarę koc grzewczy. Tommy płacze,
ma mokre bokserki. Webster odwraca głowę, widzi kolej-
nych dwóch paramedyków, z następnej karetki. Prowadzą
reanimację drugiej dziewczyny. Tamta nie reaguje. Jej skóra
już poszarzała, widać to nawet w sztucznym świetle. Gliniarz
stojący obok medyków zadaje pytania i zapisuje dane. Nad
nimi, pod księżycem w pełni, kołyszają się gałęzie. Światło mi-
gocze na czarnej wodzie.

- Dajcie dzieciakowi koc. - Webster wskazuje Tommy'ego.

- Co się stało? - pyta chłopaka.

- Rowan i Kerry założyły się, która wejdzie na drzewo,
jeden kumpel je zachęcał...

Uwadze Webstera nie umyka fakt, że Tommy nie wymienia
nazwiska.

- Rowan piła, błagałem ją, żeby się nie zakładała. Trzyma-
łem ją, ale mi się wyrwała. Wtedy się rozebrałem, na wszelki
wypadek. Potem spadła i chyba się pod wodą uderzyła w głowę,
bo od razu widziałem, że coś jest nie tak. Skoczyłem za nią.

- Kto skoczył za tą drugą dziewczyną?

- Ten chłopak, który je namawiał.

- Wyciągnąłeś ją na brzeg. Podjąłeś reanimację.

Tommy kiwa głową.

- Skąd wiedziałeś, co robić?

- Nauczyłem się już dawno, w harcerstwie.

- Zalecany sposób postępowania się zmienił, ale tak czy inaczej, prawdopodobnie uratowałeś jej życie.

Koenig przesuwa knykciami po mostku Rowan, zero odziewu.

Rowan, kochanie, ocknij się, błaga Webster w duchu.

- Nowy, dzwoń po śmigłowiec! - krzyczy Koenig.

- Kobieta, lat siedemnaście, nieprzytomna, potrzebny śmigłowiec do Burlington - nadaje Powell przez radio. - Uraz głowy na skutek upadku ze skalistego zbocza. Podejrzenie wybicia prawego barku ze złamaniem. Źrenice równe, reagują. Pod wpływem alkoholu. Oddech dziesięć. Ciśnienie sto dziesięć na sześćdziesiąt cztery. Nie reaguje na ból. Musimy znać wasz czas przybycia i miejsce spotkania.

Nowy pomaga Koenigowi przetoczyć Rowan na deskę. Koenig ustawia pomarańczowe klocki po bokach głowy i unieruchamia ją rzepem. Okryta błyszczącym kocem Rowan wygląda jak mumia nie z tego świata.

- Wylądują przy szkole - mówi nowy Koenigowi. - Tamci ze śmigłowca przygotowują ją do lotu.

Webster odwraca się i wymiotuje. Doskonale wie, co oznacza konieczność transportu lotniczego.

Jakiś gliniarz kładzie mu rękę na ramieniu.

- W porządku?

- Tak - odpowiada.

Prostuje się, ociera usta rękawem.

- Jadę z nią - mówi do Koeniga.

- Ale ja się nią zajmę - oświadcza dawny partner.

- Jeszcze raz mostek.

- Nie reaguje.

- Nieważne.

Koenig mocno przeciąga kłykciami po mostku Rowan.

- Jęknęła? - pyta Webster.

- Nie słyszałem.

Webster trzyma córkę za rękę, karetka gna do szkoły, do budynku, który Rowan opuściła tak niedawno. Ojciec gładzi palce córki, potem zwyczajnie trzyma ją za rękę, jakby to była linka bezpieczeństwa. Ona daje mu życie, bo przecież bez niej...

Czuje zeszytywnienie jej dłoni, zaraz potem zaczynają się drgawki. Widział konwulsje dziesiątki razy, tym razem z opuszek palców strzela mu adrenalina. Koenig już reaguje. Dwa miligramy lorazepamu, na uspokojenie. Webster słyszy, że rytm serca Rowan przyśpiesza. Drgawki to zawsze zły znak.

Mijają. Żaden ratownik nie ma ochoty podawać lorazepamu pacjentowi pod wpływem alkoholu, ale czasem nie ma wyjścia. Obaj milczą. Webster odgarnia włosy z twarzy córki.

Myśli o procedurach związanych z lotem Rowan. Pierwsza - przygotowanie sprzętu, o którym Webster nie chce nawet myśleć. Druga - natlenianie przez pięć minut. Trzecia, podanie lidokainy na dwie minuty przed intubacją. Półtora miligrama na kilogram wagi. Czwarta - paraliż. Unieruchomią ją, żeby w drodze do szpitala nie dostała drgawek.

Chce mu się wycić.

Piąta - intubacja. Szósta - umocowanie, siódma - opieka w czasie lotu.

Straż pożarna wysłała wszystkie wozy do obstawienia miejsca lądowania. Webster ścisnął dłoń Rowan. Należy rozmawiać z nieprzytomnym pacjentem. Możliwe, że słyszy, co się wokół niego dzieje, nawet jeśli nie potrafi w żaden sposób tego zasygnalizować.

- Kochanie - odzywa się Webster - powiem ci, co teraz będzie się działo. Jedziemy na boisko twojej szkoły. Tam wyląduje śmigłowiec, który zabierze cię do bardzo dobrego szpitala w Burlington. To szpital uniwersytecki... kto by pomyślał. Innymi słowy, polecisz do college'u. Będę z tobą przez cały czas. To wszystko rutynowe postępowanie, bo nieźle oberwałaś

w głowę. Pamiętasz, opowiadałem ci kiedyś, jak się transportuje pacjenta śmigłowcem. Nic szczególnego. Właściwie tak samo jak karetką, tylko to trochę inny środek transportu. Będę cię trzymał za rękę. Oboje wiemy, że jesteś silna. Niedługo, jak już się znajdziesz w szpitalu, odzyskasz przytomność. To ważne, więc słuchaj. W szpitalu będziesz musiała się wziąć w garść. Może ci się to wydać trudne, ale tak trzeba. I nie przejmuj się, jeśli nie wszystko zapamiętasz, bo będę z tobą cały czas. Będę cię trzymał za rękę i pilnował, żeby szło, jak należy. Jesteś pod dobrą opieką. Pamiętaj. Pod najlepszą.

Webster obserwuje śmigłowiec, który krąży nad boiskiem, po czym ląduje. Pilot nie będzie chciał rodzica na pokładzie. Webster idzie za noszami z Rowan, widzi załogę śmigłowca biegnącą z własnymi. Pielęgniarka i ratownik wysłuchają raportu Koeniga, podłączają Rowan do swojego sprzętu i wróca do śmigłowca.

- Waga?

- Sześćdziesiąt dwa kilo - odpowiada Webster.

- Ten ratownik jest ojcem dziewczyny - wyjaśnia Koenig.

- Ojciec pacjentki jest paramedycznym?

- Uspokajał ją - wyjaśnia Koenig. - Mówił do niej.

Webster wyskakuje z karetki w chwili, gdy załoga kładzie Rowan na swoich noszach. Idzie z nimi, trzyma córkę za rękę.

- Obiecałem, że z nią polecę - mówi do idącego przodem ratownika.

Tamten milczy.

- Ważę dziewięćdziesiąt kilogramów. Plus jej sześćdziesiąt dwa to sto pięćdziesiąt dwa. Zostaje spory margines.

Ratownik nadal nie odpowiada. Webster ma ochotę na niego wrzasnąć, ale zdaje sobie sprawę, że to najpewniejszy sposób na odcięcie sobie drogi do śmigłowca.

Światła wozów strażackich tworzą oślepiający krag. Webster czuje zgrzytanie żwiru pod podszewkami, potem miękką trawę, pęd powietrza pod łopatami wirnika wichrzy mu włosy.

Przerazająca scena, jak z koszmaru. Tuż przed maszyną musi puścić rękę córki.

Pilot rozmawia przez radio z ratownikiem, chce znać wagę pacjenta i ile czasu zajmą procedury medyczne przed odlotem.

- Na procedury potrzebujemy dziesięć do piętnastu. Dziewczyna waży sześćdziesiąt dwa kilo. Jej ojciec jest ratownikiem. Możemy go podrzucić?

- Ile waży?

- Dziewięćdziesiąt.

- Ty go masz na oczach. Ile waży?

- Dziewięćdziesiąt - powtarza ratownik bez wahania.

- Przekaż mu zasady.

- Znam - odzywa się Webster.

Wspina się do śmigłowca, siada na przedzie, z pilotem. W czasie lotu nie da rady trzymać Rowan za rękę, ale przynajmniej będzie blisko. Może córka wyczuje jego obecność, mimo leków. Słyszał o nieprzytomnym pacjencie, który zapamiętał prowadzoną przy nim rozmowę.

Kwadrans przygotowań wlecze się jak wieczność. Webster nie może się doczekać chwili, gdy śmigłowiec wystartuje. Najchętniej sam by go podniósł. Chce, żeby Rowan jak najszybciej dotarła na urazówkę.

Kiedy maszyna przechyła się pod dziwnym kątem i wlatuje w powietrze, Webster zmienia się w milczka. Jak żółtodziób, obserwujący pracę bardziej doświadczonych. Głowę ma odwróconą, koncentruje się na dłoniach ratownika, kropłowce, monitorze, pielęgniарce... Wszystko przebiega tak jak powinno. Stara się nie patrzeć na twarz Rowan, bo jest zbyt spokojna.

Traci poczucie czasu. Zauważa światła Burlington i czuje, że maszyna obniża lot, by po chwili wylądować na dachu. Wychodzi im na spotkanie następny zespół paramedyków, Rowan zostanie przewieziona po raz kolejny.

Przypominają mu się słowa matki: „Dzieci są darem od Boga, a nie powodem do zmartwienia”. Chętnie by do nich

dodał: „Powód do zmartwienia jest wtedy, gdy dopuścisz, by im się stała krzywda”. Mógł zabronić Rowan iść na tańce. A gdyby nie czytał jej pamiętnika, może by się wolniej zbierała, poczekała, aż Tommy zapuka do drzwi, i te kilka minut zmieniłoby cały układ wszechświata w taki sposób, by nie piła dużo i nie przyjęła wyzwania. Gdyby tak spróbował wcześniej się skontaktować z Sheilą. Gdyby nie odesłał żony z miasta, pozbawiając Rowan życia w normalnej rodzinie.

Webster czuje wstrząs przy lądowaniu. Lekarz pogotowia i pielęgniarka natychmiast otwierają drzwi i już pchają nosze, zabierają Rowan do szpitala. Ratownik ze śmigłowca biegnie obok, zdaje im raport. Webster wyskakuje z kabiny, pędzi za nimi. Z personelem pogotowia nie powinien mieć kłopotów. Tu rodzic ma pełne prawo być przy dziecku.

Lekarz pogotowia ocenia stan Rowan. Zleca badania krwi, rentgen barku, tomografię mózgu. Jeśli w ten sposób nie uzyska wystarczających informacji, uzupełni badania o rezonans magnetyczny. Webster ma nadzieję, że Rowan odzyska przytomność przed rezonansem.

- Pan jest ojcem? - pyta lekarz.

- Tak. Co z nią?

- Stan krytyczny. Zleciłem badania, trudno przewidzieć, co wykażą. Jak pan wie, przy urazach głowy należy stawiać diagnozę bardzo ostrożnie. Musimy się zorientować, jak duży jest obrzęk mózgu. Proszę się napić kawy i coś zjeść. Po badaniach przewieziemy ją na OIOM, wtedy będzie pan mógł z nią zostać.

Lekarz kładzie na przedramieniu Webstera wielką dłoń, ten gest przeraża ojca pacjentki.

Czy lekarz wie więcej, niż mówi?

Webster znajduje barek i ustawia się w kolejce. Jedzenie takie jak w każdym innym szpitalu: niezdrowe i tuczące.

Zastanawia się, ile faktycznie waży. Lepiej będzie parę tygodni pobiegać, zanim stanie na wadze. Przesuwając się razem z kolejką, ogląda wszystkie dania w gablocie i nie znajduje nic dla siebie. W końcu decyduje się na kawę i mandarynkę. Szuka pustego stolika. Nie chce z nikim rozmawiać, a mundur skłania do rozmowy.

Gdzie się podziała sukienka Rowan? Gdzie jest Tommy, co się z nim dzieje? Może później do niego zadzwoni, powie mu, co z Rowan, i poprosi, żeby mu przyprowadził do Burlington cruisera. A nie, to niemożliwe, kluczyki ma w kieszeni. Nie szkodzi. Nieważne. Wszystko inne jest nieważne.

Ważny jest jedynie obrzęk mózgu córki.

Webster trzyma Rowan za rękę. W ciszy rozbrzmiewa niski brzęczyk kroplówki, stały szum monitora, szmer rękawa mierzącego ciśnienie. Symfonia w równej mierze przerażająca i pocieszająca. Dowód, że córka wciąż żyje, czeka, podobnie jak ojciec, na moment przebudzenia. Webster wyobraża sobie, jak skoczyła w ciemność, długi lot, wystającą skałę, czarną wodę. Chłopaka stojącego w samej bieliźnie, wołającego, błagającego. Cichy śmiech, głucho łupnięcie, dziwną trajektorię, płytkie plaśnięcie stóp, głośne ostrzeżenie, prędzej, prędzej...

Widzi łunę ogniska, ogłupiałe twarze, ktoś przytomnieje, inni tylko się gapią. Chłopak nurkujący w smoliście czarnym kamieniołomie woła, płacze. Holuje do brzegu bezwładne ciało.

Na OIOM-ie światła rażą bezlitośnie. Rowan ma fioletowo-błękitne sińce pod oczami, głowę owiniętą bandażem. Webster się modli, choć nie robił tego od wieków.

- Proszę - mówi głośno.

Przytula szczupłą dłoń córki do czoła i szepcze.

Po chwili wstaje, wychodzi na korytarz, gdzie wolno korzystać z telefonu. Szuka w portfelu świstka papieru, na którym Sheila, wychodząc z jego domu, zapisała numer telefonu. Czeka, słuchając długiego sygnału. Czuje ulgę, gdy była żona odbiera połączenie.

- Przyjedź - mówi Webster.

Im dłużej pacjent pozostaje w śpiączce, tym mniejsze są szanse na pełny powrót do zdrowia. Webster o tym wie i zastanawia się, siedząc na krześle obok łóżka, jak przebiegają procesy zdrowienia w czaszce córki i dlatego to trwa tak długo.

Pojawia się Sheila, ubrana w czarne spodnie i białą męską koszulę. Ma bezradną minę. W ręce trzyma niewielką torbę podróżną.

- Mówią, że najbliższe czterdzieści osiem godzin będzie rozstrzygające - wprowadza ją w sytuację Webster, gdy stoją na korytarzu.

A jaki będzie wynik tego rozstrzygnięcia? Chciałby wiedzieć. Nie spytał. Boi się odpowiedzi.

- Powiedzieli, że może być konieczny drugi rezonans. Sheila opiera się o ścianę.

- Dzisiaj spróbują jej zoperować bark. Pytałem neurochirurga, czy będą nawiercać czaszkę, żeby zmniejszyć ciśnienie śródczaszkowe, powiedział, że na razie nie widzą takiej potrzeby.

- Na razie.

- Tak.

- Jesteś wykończony.

- Nie odważę się od niej odejść.

Siedząc przy córce, mówił do niej bez ustanku, choć już nie wierzył, że go słyszy. Jak agnostyk odmawiający modlitwę przy zaganianiu była do zagrody. Opowiedział Rowan wszystko, co pamiętał z jej dzieciństwa, choć było tego niewiele, bo jego wspomnienia ograniczały się do fotografii, które robił córce, zwykle przy jakiejś szczególnej okazji. Gdyby wierzyć zdjęciom, całe życie Rowan stanowiło jedną wielką uroczystość. Nie opowiadał jej tylko o ostatnim zdjęciu, na którym jest w szpilkach i czarnej sukience, a na twarzy próżno by szukać śladu uśmiechu. Ma ogromne wątpliwości, czy kiedykolwiek zdoła spojrzeć na tę fotografię. Jeśli sprawy przybiorą zły obrót, a potem przyjdzie czas i Webster przekaże Koenigowi na dysk zdjęcia do wydrukowania, tego jednego tam zabraknie.

Wszystko będzie dobrze. Wszystko się ułoży.

- Teraz ja z nią posiedzę - proponuje Sheila.

Webster jest zdziwiony.

- Może się zdenerwować, jeśli po obudzeniu zobaczy ciebie.

- Mogliśmy być szczęśliwi - mówi Sheila.

Webster pozwala jej wejść do izolatki. Patrzy na byłą żonę, która widzi swoją córkę po raz pierwszy od piętnastu lat. Szczupły kształt pod prześcieradłem, ciało podłączone do kroplówki, różnych czujników i monitorów, zabandażowana głowa. Sheila jest blada jak ściana.

- Wiem - mówi Webster. - To straszny widok.

- Jest piękna.

- Czasem do niej coś mówię. I trzymam ją za rękę.

Sheila siada. Długi czas nie robi nic. Potem niepewnie sięga po dłoń Rowan.

- Śmiało - zachęca ją Webster. - Uszkodzony jest ten drugi bark.

- Mam zimne ręce.

- Ona cię rozgrzeje.

Sheila ujmuje w dłonie szczupłą dłoń córki. To moment spokoju, choć Webster zdaje sobie sprawę z napiętej atmosfery. Pamięta swoje czuwanie przy Rowan piętnaście lat wcześniej, kiedy Sheila nie mogła w nim brać udziału.

- Cud się zdarzy, jeśli zasnę - mówi. - Pewnie najdalej za godzinę wrócę. Tu obok szpitala jest motel, chcieli mnie tam ulokować... Masz mój numer komórki? Gdyby się cokolwiek zmieniło, dzwoń od razu.

- Jasne.

- Boisz się?

- T a k .

Po powrocie mówi Sheili, że wynajął jej pokój w motelu. Podaje klucz.

- Spałeś?

- Chyba się zdrzemnąłem.
 - To dobrze.
 - Tu się coś działo?
 - Trzymałam ją za rękę.
 - Dobry Boże - wzdycha Webster.
 - Rozmawialiśmy.
 - Co powiedziała?
 - Że wszystko w porządku.
- Webster uśmiecha się lekko.

Tommy i Gina przychodzą z kwiatami, których nie mogą wnieść na OIOM. Na widok Rowan Gina płacze, Tommy odwraca wzrok. Koenig i jego żona, Ruth, też przyjeżdżają, przywożą domowe jedzenie, którego Webster i tak nie może przełknąć. Nawet żółtodziób się zjawia, zaraz po zmianie. Cicho stoi przy drzwiach, niezdarny i nie na miejscu. Webster dziękuje mu, że przyjechał.

Webster pochyla się i całuje córkę w policzek. Chce poczuć jej oddech.

- Twoja matka przyjechała - mówi. - Aż z Bostonu. Dokładnie rzecz biorąc, z Chelsea. Tam mieszka. Zjawiła się tutaj, żeby przy tobie czuć. Myślę, że ją polubisz. Jest świetną malarką. Widziałem jej obrazy. Tobie też się spodobają. Jestem całkiem pewien, że przez wszystkie te lata stale o tobie myślała. Popłakała się, kiedy zobaczyła Szczeniaka. A nie, o tym lepiej zapomnij.

Zastanawia się chwilę.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że ma poczucie humoru. Sądziłem, że je straciła, ale nie, nadal potrafi żartować. Może się jeszcze rozkręci. Siedziała tu z tobą, kiedy ja się zdrzemnąłem w przyszpitalnym motelu. Trzymała cię za rękę. Nie wiem, czy to czułaś. Powiedziała, że rozmawialiście, podobno ją zapewniłaś, że wszystko w porządku. Oby to była prawda...

Zaczyna mu brakować słów. Czy córka odsuwa się od niego z każdą mijającą godziną? Tego obawia się najbardziej. Że już wszystko stracone, tylko on jeszcze o tym nie wie.

Budzi się, z przerażeniem spogląda na zegarek. Czterdzieśta dziewięćta godzina Rowan w szpitalu. W pokoju są inni ludzie.

Wstaje zaalarmowany.

- Co się dzieje?

- Zrobimy jeszcze raz tomografię - odpowiada jedna z pielęgniarek.

- Miała rezonans. Więc dlaczego? - pyta Webster.

- Lada moment przyjdzie lekarz, udzieli panu wszelkich informacji. - Po chwili dodaje: - To rutynowe działanie, nie ma powodu do niepokoju.

- Rutynowe działanie? - powtarza Webster z niedowierzaniem. - Jak można mówić o rutynie w przypadku dziecka pozostającego w śpiączce od czterdziestu dziewięciu godzin?

- Lekarz będzie za chwilę - powtarza pielęgniarka.

Webster podchodzi do okna, spogląda na parking. Jest jeszcze ciemno. Wpół do czwartej nad ranem. Dwie pełne doby, odkąd Rowan i jej koleżanka, Kerry, spadły do kamieniołomu. Webster myśli o tym drugim ojcu, który musi sobie dać radę ze śmiercią córki. Nawet nie zna nazwiska ofiary. Nie widywał jej wcześniej, więc raczej nie była przyjaciółką Rowan. Mógłby zadzwonić do Tommy'ego, ale nie chce tego robić, bo mógłby mu jedynie powiedzieć, że sytuacja się nie zmieniła.

Dwie doby to jeszcze nic, powtarza sobie. Zna przypadki, kiedy pacjent wychodził ze śpiączki po tygodniu albo i więcej, i odyskiwał zdrowie. Jeśli nawet nie w stu procentach, to jednak żył. Nie, to nie to samo. Rowan musi się ocknąć i być sobą. Całkowicie. On ciągle się o to modli. Może nastanie dzień, kiedy będzie w stanie zaakceptować gorszą wersję. Teraz nie potrafi o tym nawet myśleć.

- Proszę pana.

Webster odwraca się i widzi w progu neurologa, Lockharta. Mężczyzna ma na sobie rozpiętą sportową marynarkę, krawat poluzowany. Gęste, ciemne włosy. Wygląda na najwyżej dwadzieścia dwa lata.

- Zabraliśmy pańską córkę na tomografię komputerową - mówi. - Od wypadku minęło czterdzieści osiem godzin, więc czas jej się przyjrzeć ponownie. Nie muszę panu przypominać, że im później pacjent odzyska przytomność, tym dłużej będzie wracał do zdrowia.

Nie, nie musisz mi tego przypominać.

- Mam nadzieję, że znajdziemy coś, co da nam pojęcie o dalszym postępowaniu. Być może będziemy musieli nawiercić czaszkę, żeby obniżyć w niej ciśnienie. Oczywiście, wolelibyśmy tego unikać.

Webster milczy. Jest przerażony.

- Widziałem niejedną cud, proszę pana. Nie chcę budzić w panu nadziei, ale zdarzały nam się wybudzenia ze śpiączki po tygodniu, nawet po dwóch, i pacjenci całkowicie...

- Dlaczego to tak długo trwa? - pyta Webster.

- Ludzki mózg nadal jest dla nas zagadką. Gdybyśmy mieli jakiś lek, który by pozwolił wybudzić ją bez ryzyka, z pewnością byśmy go jej podali.

Webster dziękuje lekarzowi i idzie do barku. Pokój szpitalny bez Rowan jest jak scenografia horroru.

Nieco później przychodzi Sheila, żeby go zmienić. Webster wstaje, podchodzi do niej w progu. Ona pyta, czy jest jakaś zmiana. On jej powtarza, co usłyszał od Lockharta. Sheila zamyka oczy i potrząsa głową.

- Nie rób mi tego - prosi Webster.

- Czego?

- Nie zamykaj oczu i nie potrząsaj głową w ten sposób. Ja się boję, ale tobie nie wolno. Potrzebuję oparcia. Mów mi, że wszystko będzie w porządku.

- Dobrze.

Webster wychodzi przed salkę, Sheila wchodzi do środka, przysuwa sobie krzesło. Tym razem śmiało sięga po rękę Rowan. Webster widzi, że matka mówi do córki.

Webster przesypia pięć godzin i wraca do szpitala. Sheila postanawia przynieść coś do jedzenia. Zostawiony sam na sam z córką, siedzi i patrzy w jej twarz bez wyrazu, tak samo jak przez minione dwie doby. Próbuje sobie przypomnieć, jak to było odgrywać rolę jej trenera w Małej Lidze.

- Posłuchaj mnie, Rowan. Zagramy w pewną grę. Nie ma się czego bać. Tylko będziesz musiała dać z siebie wszystko. Wziąć się w garść. Nie musisz się śpieszyć. Nie machaj kijem bez sensu. Ale jak już piłka leci w twoją stronę, walisz z całej siły. Widziałem, jak odbijasz za ogrodzenie, więc wiem, że potrafisz. Śmigniesz do pierwszej bazy bez najmniejszego problemu. Wystarczy, że porządnie odbijesz. Dobrze uderzenie może spokojnie załatwić sprawę. Wiem, że dzięki tobie twoja drużyna wygra mecz. Tylko pamiętaj, wiele od ciebie zależy. Żadnego kombinowania. Jestem twoim trenerem i masz mnie słuchać.

Cichnie.

- Co powiesz? - pyta po chwili.

Czeka.

- Masz mi coś do powiedzenia? Masz jakieś pytania? Teraz ty trzymasz w rękach kij, twoja kolej, twój ruch.

Znowu czeka.

- Kochanie? Słonko?

Nic.

Przysuwa twarz do jej twarzy. Użył płynu do płukania ust Listerine. Może to ją ocuci?

- No dobrze, posłuchaj. Ja tu poczekam. Gra też zaczeka. Gdy tylko będziesz gotowa, daj mi znać. Jesteśmy w gotowości. Będę cię trzymał za rękę. Nie zostawię cię. Dasz mi znać.

Drugie badanie tomografem komputerowym nie wykazało poprawy.

Minęło sześć godzin.

Sheila i Webster wymieniają się co sześć godzin. Za którymś razem, gdy on wchodzi do pokoju, ona siedzi nachylona nad córką, z twarzą tuż przy jej głowie, mówi coś do niej po cichu. Kiedy indziej siedzi przy nogach łóżka, głowę opiera na pościeli.

Na zmianie Webstera pojawia się Tommy z ojcem.

- Przyprawiliśmy panu samochód - mówi Tommy.

Webster wstaje, podaje rękę ojcu chłopaka, który jest potężnie zbudowany, niższy od syna i łysieje.

- Wszyscy czekamy razem z panem - mówi ojciec. - Wszyscy się z panem modlimy. Tu są kluczyki. Granatowy volkswagen. Na desce rozdzielczej ma różową stokrotkę w wazoniku.

Webster przenosi spojrzenie z ojca na syna. Tommy nie odrywa wzroku od Rowan.

- To auto mojej żony - wyjaśnia gość. - Przepraszam za kwiatek.

- Dziękuję - mówi Webster. - Tommy, mógłbyś chwilę posiedzieć z Rowan? Lecę z nóg, powinienem odetchnąć świeżym powietrzem. Wrócę za dziesięć minut.

We dwóch z ojcem chłopaka zjeżdżają windą do holu.

- Niech pan mnie podprowadzi do samochodu - proponuje Webster. - Będę wiedział, gdzie stoi.

- Mój syn czuje się winny - oznajmia ojciec Tommy'ego, gdy wychodzą przed budynek. - Sądzi, że gdyby był bardziej stanowczy, nie doszłoby do nieszczęścia.

- Ja to widzę inaczej. Pana syn zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy, by ją powstrzymać, niestety, Rowan była pijana i go nie usłuchała. Może pan być dumny z chłopaka. Prowadził reanimację, uratował jej życie. Ja jestem z niego dumny. I niewymownie wdzięczny.

- Nie może się pozbierać.

- Nic dziwnego.

- Przeżywa pan piekło.
- W skali od jednego do dziesięciu jest to rzeczywiście cholerna dziesiątka.

Zbliżają się do parkingu.

- Ale i tak mnie jest łatwiej niż rodzicom tej drugiej dziewczyny - dodaje.

Ojciec Tommy'ego wsuwa ręce do kieszeni. Słońce połyskuje na przednich szybach samochodów.

- Pogrzeb jest jutro. Tommy nie wie, czy iść, czy nie.

- Ja bym poszedł, gdybym był w mieście. Żeby wyrazić współczucie.

- Przekażę mu. To ten samochód.

Webster osłania ręką oczy, widzi garbate granatowe auto.

- A, tak. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję. Tylko... nie wiem, jak długo tu zostanie.

- Nie ma problemu. - Ojciec Tommy'ego podaje mu rękę.

- Żona nalegała. Bardzo chciała pomóc panu i Rowan.

- Przyślę Tommy'ego.

Wróciwszy na OIOM, widzi przez szybę, że Tommy płacze.

Dobrze ci to zrobi, myśli.

Czeka kilka chwil, dostrzega pielęgniarkę idącą w jego stronę.

- Potrzebuję pani pomocy. Gdyby zechciała pani wejść i udać, że coś pani sprawdza u Rowan. Ten młody człowiek przy łóżku to jej chłopak. Popłakał się, chciałbym dać mu chwilę, żeby wziął się w garść, zanim wejde.

- Załatwione - obiecuje pielęgniarka z uśmiechem.

Webster czeka kilka chwil poza zasięgiem wzroku. Kiedy w końcu wchodzi do pokoju, Tommy siedzi przy nogach łóżka. Nos i oczy ma zaczerwienione.

- Ojciec czeka na ciebie na parkingu. Podziękuj mamie w moim imieniu.

- Podziękuję.
 - Wszystko będzie dobrze - obiecuje Webster.
- Widzi, że Tommy mu nie wierzy.

Mija następne pięć i pół godziny. Przychodzi pielęgniarka, prosi Webstera, żeby wyszedł, będzie myła Rowan. Sheila znajduje go w barku.

- Przestało padać? - pyta Webster.
 - Jest gorąco i lekko.
- Przygląda się stojącej przed nim tacy.
- Tak się odżywasz? Kawa i ciastka?
 - Nic innego nie mogę przełknąć.
 - Zaraz wracam.

Webster bierze w rękę kubek, odstawia go z powrotem na blat. Pewnie po wszystkim będzie przeklinał kawę. Sheila wraca z tacą. Zdejmuje z niej miskę zupy, podaje Websterowi.

- Minestrone.
- Obok pojawia się talerzyk.
- Kanapka z szynką.
- Jeszcze sztucce i serwetka.
- Dziękuję.
 - Wyglądasz, jakby cię z krzyża zdjęli.
 - A ty bardzo ładnie.

Pojawia się niewyraźne wspomnienie. Webster chce je uchwycić. U Keezera, kiedy Sheila tam kelnerowała, a on właśnie zszedł z nocnej zmiany. Osiemnaście lat temu.

Sam zdziwiony, ściska ją za przegub.

- Nie wytrzymam tego dłużej. To koszmar. Prawdziwy koszmar.

- Wytrzymasz. Nie masz wyjścia.

Puszcza jej rękę. Po wewnętrznej stronie nadgarstka zostają różowe ślady.

- Tobie też ciężko.
- Jasne. Ale cieszę się, że tu jestem. Nie przypuszczam,

żeby nawet w najmniejszym stopniu pomogła Rowan, jednak ona pomaga mnie.

Webster kiwa głową. Rozumie doskonale.

Tuż po północy w środę Webster siedzi z głową opartą na krawędzi łóżka. W pewnej chwili wydaje mu się, że Rowan poruszyła palcami w jego dłoni. Prostuje się gwałtownie, nie do końca pewien, czy to nie sen.

- Rowan?

Czeka dziesięć minut. Tak, znowu drgnienie palców. Musi mieć pewność, że to nie odruch.

- Rowan, to ja, tata. Trzymam cię za rękę. Jeżeli mnie słyszysz, ściśnij moją dłoń albo porusz palcami.

Natychmiast czuje poruszenie palców.

- Boże drogi, Rowan, o Boże.

Webster wstaje, otwiera drzwi i woła pielęgniarkę.

Pielęgniarka przychodzi, nachyla się nad jego córką, chce jej rozchylić powieki, sprawdzić źrenice, tymczasem Rowan, cudowna dziewczyna, niespodziewanie sama otwiera oczy.

Webster nigdy nie widział nic wspanialszego.

Rowan wydaje się skołowana, nie może się skupić. Ani mówić.

Webster jest szczęśliwy. Wie, że jej się uda.

- Au. - Pierwsze słowo Rowan. - Moja głowa.
- Webster ściska ją za rękę. Może już nigdy nie puści.
- Nic dziwnego. Nieźle się wyrznęłaś.
- Tak?
- Nie pamiętasz?
- Nie.
- Na razie jeszcze nie ma siły myśleć.
- W drzwiach pojawia się doktor Lockhart.
- Słyszałem dobre wieści! - Staje po drugiej stronie łóżka.
- Witamy szanowną panią.
- Rowan jest zmieszana.
- Kto to?
- Jestem lekarzem, nazywam się Lockhart - wyjaśnia neurolog. - Leczę cię. Doznałaś poważnego urazu głowy.
- Webster obserwuje, jak Lockhart sprawdza źrenice jego córki. Jak prosi, żeby poruszyła rękami i nogami, wygina jej palce u nóg, uciska dłonie i ugniata palce u rąk. Potem zadaje pytania. Który mamy rok? Kto jest prezydentem? Jaki jest teraz miesiąc? Gdzie Rowan mieszka?
- Rok przeszedł bez kłopotu, prezydent nieco wolniej, miesiąc okazał się nie do odgadnięcia, ale adres nie wymagał zastanowienia.
- Zaliczyłaś na B - stwierdza lekarz. - Za dwie godziny wrócę, znowu zadam ci kilka pytań i gwarantuję, że uzyskasz lepszą ocenę.
- Jestem w Mercy? - pyta Rowan ojca po wyjściu lekarza.

- Nie. W Burlington.

Rowan rozgląda się po pokoju.

- Dlaczego jesteście w Burlington?

- Tu jest oddział specjalistyczny. Zostałaś przetransportowana śmigłowcem. Co pamiętasz?

Przygląda mu się dłuższą chwilę. Websterowi pozostaje nadzieja, że pamięta cokolwiek prócz niego.

- Poszłam na bal - mówi Rowan.

- A potem?

- W sali było gorąco. Ktoś zaproponował, żebyśmy poszli popływać. - Milknie. - Potem się bałam, ale nie wiem czego.

Byłoby dziwne, gdyby pamiętała każdą chwilę przed urazem. Trauma skraca czas.

- Powiem ci, co się stało. Postanowiłaś wejść na drzewo nad Gray Quarry. Spadłaś, uderzyłaś się w głowę o jakąś podwodną półkę skalną. Zdarzyło się to o wpół do trzeciej nad ranem w nocy z piątku na sobotę. Tommy skoczył za tobą. Kiedy cię wyciągnął na brzeg, nie oddychałaś. Podjął reanimację. Wykaszłaś wodę i zaczęłaś oddychać, ale nie odzyskiwałaś przytomności. Co dalej... teraz jest noc z wtorku na środę. Właściwie prawie środa. Odjechałaś na trzy dni.

Rowan stara się ogarnąć sytuację.

- A dokąd?

- Chciałbym wiedzieć! - śmieje się Webster.

- To dlatego wyglądasz jak siedem nieszczęść.

- Mam za sobą najgorsze trzy dni życia, to pewne.

- Pielęgniarka też mówiła, że transportowali mnie śmigłowcem.

- Tak było.

- I nic z tego nie pamiętam? Nawet nie wiedziałam, gdzie jestem! W życiu nie leciałam śmigłowcem!

- Nic nie straciłaś - zapewnia ją ojciec. - Lot był koszmarny. Któregoś dnia, jak już wydobrzejesz, opowiem ci ze szczegółami. A potem przelecimy się śmigłowcem dla przyjemności.

- Wiadomo było, że się obudzę?

- Nie.

- Tato... Przepraszam.
- Rowan - Webster znów się uśmiecha - nie masz za co przeproszać. Obudziłaś się. Zaczynamy od nowa. Masz wolną rękę.
- Zawsze i we wszystkim?
- Tego nie powiedziałem.

Pielęgniarki wypraszają go z pokoju. Jest tak szczęśliwy, że zrobi wszystko, co mu każą. Wyjaśniają, że będą próbowały posadzić, a potem postawić Rowan. Chciałyby wyjąć cewnik Foley'a, może trzeba będzie ją umyć. Sugerują mu, żeby poszedł coś zjeść.

- Będzie tu, kiedy wrócę? - upewnia się Webster.
- Będzie, będzie.
- Nie chcę jej zostawiać samej.
- Przrzekam panu, będzie tutaj. Chociaż niewykluczone, że będzie spała.

- Dobrze - zgadza się Webster z ociąganiem. Sięga do kieszeni po telefon.

W drodze do barku uprzytamnia sobie, że umiera z głodu. Potrzebuje cukru. Bierze dwa kawałki szarlotki i pączka, do tego kubek kawy. Ciasto jest tak pyszne, że Webster mruczy z zadowolenia. Po jedzeniu dzwoni do Tommy'ego, do Giny i do Koeniga. W tej kolejności. Tommy'emu brakuje słów, Gina płacze. Koenig krzyczy z radości. Sheili spada kamień z serca. Mówi: „To prawdziwe szczęście”, a Webster słyszy ulgę w jej głosie. Koniec straszego zmartwienia.

- Już idę - mówi Sheila.
- Lepiej nie. Ona wcale nie wie, że tu jesteś. Nie wie nawet, że się z tobą skontaktowałem. Najpierw ja z nią porozmawiam, dobrze? Przygotuję ją.
- Będzie mogła wziąć udział w uroczystości zakończenia szkoły?
- W razie czego ją zaniosę.

Wróciwszy do pokoju córki, zastaje ją pogrążoną we śnie. Siada obok łóżka, jak dotąd, ale jej nie budzi, chociaż bardzo by chciał, ot, po prostu po to, żeby się upewnić.

Odkąd wyszła ze śpiączki, pokój wygląda lepiej. Zastłony nie są tak ponure, a telewizor beznadziejny. Webster doskonale zdaje sobie sprawę, że to wyłącznie kwestia jego nastroju. Spogląda na córkę.

Trzeba było jej ogolić czubek głowy, żeby opatrzeć głębokie rozcięcie, więc ma łysinę pięć na dziesięć centymetrów, pokrytą świeżym meszkiem. W śpiączce włosy przykleiły jej się do głowy, został tylko kosmyk schodzący na czoło. Teraz jednak, dosłownie w ciągu ostatniej godziny, ktoś ją uczesał, grzywka zakryła większą część czoła.

Rowan z pewnością uzna tonsurkę za spory kłopot w związku z uroczystością zakończenia szkoły.

A może się nią nie przejmie.

W progu staje pielęgniarka.

- Kręciło się córce w głowie, kiedy usiadła, więc nie próbowałyśmy jej namawiać do wstawania. Wyjęliśmy cewnik, może teraz korzystać z basenu. Zostanie przeniesiona na oddział, spędzi tam przynajmniej trzy dni, może więcej. Zanim ją wypuścimy, musi chodzić bez pomocy. Może mieć kłopoty z równowagą.

- W niedzielę ma uroczystość zakończenia szkoły.

Pielęgniarka przygryza wargę.

- Mało czasu. - Kiwa głową na boki. - A jak pan się czuje?

- Tysiąc razy lepiej.

- Powinien się pan przespać - radzi pielęgniarka. - Nie mogę panu rozkazywać, ale pan wie, że mam rację.

- Nie chcę jej zostawiać.

- Jest na OIOM-ie. Monitorujemy ją bez przerwy. - Uśmiecha się. - Najgorsze za wami, proszę pana. Może pan już być spokojny.

Stoi pod prysznicem przez dwadzieścia minut. Gorąca woda rozluźnia napięte mięśnie. W końcu Webster namydła się, myje włosy, wsuwa pod kołdrę. Zamyka oczy tuż przed świtem.

Budzi się w południe. Od razu czujny, musi sobie przypomnieć, że córka wyszła ze śpiączki. Leży na plecach, z rękami pod głową, i napawa się wspaniałą świadomością. Słoneczny blask wciska się do pokoju wzdłuż krawędzi zasłon. Webster zastanawia się, czy dziś porozmawiać z Rowan o matce. Czy to nie za wcześnie. Trudno zyskać pewność, ale zakłada, że Rowan lepiej przyjmie informacje o Sheili, będąc tutaj, w szpitalu, niż w domu, gdzie tyle wspomnień.

Trzeba spróbować.

Ubiera się i prawie biegnie do szpitala. Rowan jest już w nowym pokoju, nie śpi, siedzi i je lunch.

Webster stoi w progu, patrzy na nią szeroko otwartymi oczami. Taki zwykły widok, a tak zadziwiający.

- Cześć.

- Kim pan jest? - pyta Rowan.

Websterowi serce wali jak dzwon.

- Moim lekarzem?

- Rowan, to ja, tata. Nie pamiętasz mnie?

- Mój tata pracuje w jednostce ratunkowej w Hartstone.

Tym razem serce mu zamiera.

- Rowan... córeńko...

- Ale cię nabrałam! Żałuj, że nie widziałeś swojej miny!

- A c h , ty...!

Chwyta ją za nogę przez przykrycie i potrząsa.

Rowan śmieje się głośno.

- Mam kanapkę z indykiem i słodkim sosem. Pojęcia nie miałam, że tak uwielbiam ten sos.

- Szelma z ciebie. - Webster nadal z trudem wierzy własnym oczom. - Ślicznie wyglądasz.

- T a t o ! Wyglądam okropnie! Mam łysinę na pół głowy i bark w gipsie.

- Łysiną ma rozmiar pięć na dziesięć centymetrów.

- Nieważne. Na pół głowy. Ogromna. Najchętniej bym włożyła czapkę.

- Jeśli pielęgniarki pozwolą, kupię ci czapkę.

- Pewnie firmówkę Red Soksów.

- A może biret uniwersytecki?

- Zdaje się, że jesteśmy teraz blisko UVM? - pyta, jakby dopiero w tej chwili się zorientowała.

- Dokładnie rzecz biorąc, na terenie uczelni.

- Tylko nie kupuj mi baseballówki. Najlepiej taką... ech... ty nie będziesz wiedział... taką jak do golfa, tylko większą. Żebym mogła naciągnąć na uszy. Lepiej by było, gdybym sama wybrała.

- Zobaczymy, co się da zrobić.

- Gdyby tu była Gina... Ona by wiedziała, o co mi chodzi.

Nie wiesz, co się stało z moją komórką?

Ostatni raz widział jej telefon, gdy upychała go w torebce, wychodząc na bal. Może Tommy wziął torebkę razem z całą zawartością?

- Poszukamy.

Siąda na łóżku.

Kto w ten sposób przyjmuje odroczenie wyroku śmierci?

- Chcesz pół kanapki?

Chętnie by zjadł coś przyzwoitego, ale odmawia.

- Gina tu była. I Tommy z ojcem. Tommy uratował ci życie, wspomniałem o tym?

Rowan wydaje się zmartwiona.

- Nic nie pamiętam.

- Może sobie przypominisz.

Webster postanawia skorzystać z okazji. Bierze pół kanapki. Indyk, biały chleb, żadnych dodatków. Smakuje wyśmienicie.

- Może lepiej, że nie pamiętasz.

- Byłam pijana, tak? - pyta, ocierając usta serwetką.

Musi wszystko robić prawą ręką.

- T a k .

- Jesteś zły?

- Czy jestem zły? Tak. - Patrzy jej prosto w oczy. - Ale przede wszystkim czułem strach. Szczęściara z ciebie.

Nie powie jej teraz o Kerry, o dziewczynie, która nie miała tyle szczęścia. Nie teraz.

- Natomiast jeśli jeszcze raz się upijesz, wpadnę we wściekłość - ostrzega.

- Przepraszam.

- Czy wiesz, dlaczego się upiłaś?

- Po prostu.

Odsuwa tacę.

- Wychodząc z domu, byłaś bardzo zła.

- No to może wtedy nadal byłam zła. Nie mam pojęcia.

- Sporo osób cię tu odwiedziło - mówi Webster. - Ojciec Tommy'ego zostawił mi samochód żony. Cruiser został w jednostce, a kluczyki mam w kieszeni. Miła z nich rodzina.

- Wiedziałam, że ich polubisz - mówi Rowan. - Tato, naprawdę mi przykro. Nawet sobie nie wyobrażam, przez co przeszedłeś. Zachowałam się jak ostatnia świnia.

- Co fakt, to fakt - zgadza się Webster gładko. - Na szczęście jest jeszcze czas, żebyś się wzięła do siebie. Bo jeżeli zawalisz matkę i angielski, nie dostaniesz się na UVM.

- Już jestem w UVM.

- Pamiętasz, kiedy się ostatnio widzieliśmy przed bałem?

- Byłam na ciebie wściekła.

- Wiesz dlaczego?

- Czytałeś mój pamiętnik.

- Jeszcze jesteś zła?

- Teraz? Chybabym musiała zwariować. Tylko trochę mnie wkurza ta łysina.

- Przeczytałem niewiele, jeśli to coś zmienia.

Rowan wzrusza ramionami, prostuje się.

- W sumie mało ważne. Nie chcę o tym myśleć. Jakoś mi głupio.

- Nie ma się czego wstydzić.

- Jestem głodna. Jak długo nie jadłam?

- Cztery dni.
 - O, super. Ciekawe, czy schudłam.
- Przyklepuje prześcieradło na brzuchu i przy biodrach.
- Waga to twoje najmniejsze zmartwienie. - Webster znajduje jej stopę pod przykryciem i zamyka w dłoni.
 - Muszę ci coś powiedzieć.
- Rowan czeka.
- Twoja matka siedziała z tobą tutaj prawie cały czas, kiedy byłaś nieprzytomna.
 - Kto, przepraszam?
 - Odszukałem ją w zeszłym tygodniu. Potem, po wypadku, zadzwoniłem do niej, przyjechała natychmiast. Dzięki niej nie zwariowałem.
- Córka ma oczy wielkie jak spodki.
- Webster czeka, aż Rowan przyswoi sobie nowe fakty.
- Gdzie ją znalazłeś?
 - Zamieszkała w Chelsea.
- Przysuwa się bliżej do łóżka.
- Gdzie to jest?
 - Pod Bostonem. Wydaje mi się, że kiedyś, jak byłaś mała, rozmawialiśmy o tym, skąd pochodzi twoja matka, i pokazywałem ci to miejsce na mapie.
- Rowan opiera się na poduszkach, podciąga wyżej przykrycie.
- Jak ją znalazłeś?
 - Przez Internet. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczałem. Pojechałem do Chelsea, rozmawialiśmy.
 - I nic mi nie powiedziałaś?
 - Nie byłaś w nastroju. A ja musiałem się zastanowić, jak ci o tym powiedzieć. Potem, zanim się obejrzałem, już byłaś w śmigłowcu, przytroczona do deski.
 - Jaka ona jest?
 - Maluje obrazy. I to naprawdę dobre. Nie było jej lekko w życiu, swoje przeszła. Ale... mówię ci o tym dlatego, że ona chce się z tobą spotkać.
 - Ona ze mną?

Rowan podciąga prześcieradło pod samą brodę. Wydaje się zraniona.

Webster ma nadzieję, że żadna z pielęgniarek nie wejdzie akurat w tej chwili.

- Jeżeli ty będziesz tego chciała.
- Tutaj mamy się spotkać?
- Wołałabyś zaczekać, aż wrócimy do domu?

Rowan spuszcza wzrok, musi się zastanowić.

- Wrócimy do domu na zakończenie roku.
- Oczywiście. Ale raczej nie wcześniej.
- Mogę to sobie przemyśleć?
- Oczywiście.

Rowan mierzy go badawczym spojrzeniem.

- Czy wy...?
- C o ?

- No wiesz... Wracacie do siebie?

- Nie. - Z uśmiechem kręci głową. - Nie wracamy. Odzywamy się do siebie, ale rozmawiamy głównie o tobie.

- Jaka ona jest?

- I taka sama, i zmieniona. Spokojniejsza. Starsza. Co dla ciebie nie ma najmniejszego znaczenia, bo jej nie pamiętasz z czasów, kiedy była młodsza.

- Nie pamiętam, ale potrafię sobie wyobrazić. A w każdym razie mogę spróbować.

- Jedno powinnaś wiedzieć, zanim się spotkacie.

- Tak?

- Ona nie odeszła z własnej woli. Ja ją do tego zmusiłem.

Rowan ma twarz bez wyrazu, jakby nie rozumiała.

- Ja kazałem jej odejść - powtarza Webster.
- Nie odjechała sama? - pyta Rowan, zbita z tropu.
- Odjechała. Dlatego że ja jej kazałem.

Rowan patrzy za okno. Z łóżka widzi tylko niebo.

- Pamiętasz, powiedziałem ci, że odeszła, bo była chora, była alkoholiczką. I potrzebowała fachowej pomocy.

- Tak.

- To prawda. Tyle że po tym, gdy spowodowała wypadek, wioząc ciebie, nie mogłem jej więcej zaufać, nie mogłem jej powierzyć dziecka, a jednocześnie nie mogłem być z tobą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dlatego kazałem jej odejść.

Spogląda na Rowan.

- Gdybym tego nie zrobił, trafiłaby za kratki.

- Wobec tego ocaliłeś jej życie.

- Nie, Rowan. Uratowałem życie tobie.

- A co z twoim?

- Wtedy nie o to chodziło.

Rowan kiwa głową.

- Mówiłeś chyba, że miała iść na odwyk?

- Nie było nas na to stać. Takie rozwiązanie nie wchodziło w rachubę. Ośrodków było znacznie mniej niż teraz.

Chociaż jako paramedyk doskonale rozpoznaje objawy zdenerwowania - przyspieszone bicie serca, suchość w ustach, spocone dłonie - nie zna sposobu, żeby je powstrzymać. Ma je wszystkie.

- Nie stać was było? - powtarza Rowan.

Webster przypomina sobie propozycję ojca. Duma powstrzymała go przed przyjęciem pomocy.

- Wtedy takie wyjście nie było możliwe. Tamtego dnia. Gdyby została w mieście jeszcze dwie godziny, policja by ją aresztowała.

Rowan ma twarz bladą jak ściana.

- Naprawdę poszłaby do więzienia?

- Tak. To był jej drugi wypadek spowodowany pod wpływem alkoholu. Ucierpiał inny człowiek. Musieliby ją zatrzymać.

- Nie wysłaliby jej na odwyk?

- Więzienie jest w jakimś sensie kuracją odwykową. Chociaż nie zawsze. To koszmarnie miejsce. Nikt nie wychodzi stamtąd lepszy. Ona by tam nie przetrwała.

Jakiś czas milczą oboje.

- To było tak dawno - odzywa się w końcu Rowan. - Gdyby poszła na odwyk, moglibyśmy znowu być rodziną.

Okrutne słowa. Znowu rodziną. Sam myślał o tym tysiąc razy. Wsadzając Sheilę do samochodu, zniszczył rodzinę.

- Powinniśmy się rozwieść najdalej po roku. Nie potrafiłem jej zaufać. Przykro mi to mówić. Miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał. Alkohol rządził każdym jej gestem. A może w ogóle decydował o tym, kim była. Nie potrafiła zagrazać miejsca, szukała przygód, miała przede mną tajemnice.

- Skoro szukała przygód, dlaczego z tobą została?

- Kiedy ją poznałem - uśmiecha się Webster - właśnie uciekała przed brutalnym chłopakiem z Bostonu. Oboje pili. Szukała jakiegoś miejsca odpoczynku. Wydałem jej się strzałem w dziesiątkę, najlepszą opcją, a Hartstone dobrym miejscem, żeby przywarować.

- Kiedy się pobraliście, była w ciąży.

- T a k .

- Allison Newman powiedziała mi o tym tuż przed Gwiazdką. Jej mama pracowała w sklepie dziadka.

Webster próbuje sobie przypomnieć kobietę, która pracowała u jego ojca. Były takie raptem trzy, jednak przypomina sobie wyłącznie ich imiona.

- Ożeniłbyś się z nią, gdyby nie była w ciąży?

Webster prostuje się.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Kochałem ją. Jakiś czas kochałem ją tak bardzo, że aż.. do bólu. - Milknie.

- Jednak gdybyśmy się naprawdę znali, gdybym widział jej picie, przejrzał kłamstwa, może bym z nią zerwał. Kiedy zaszła w ciążę, nawet nie mieszkaliśmy razem.

- Więc jestem niechcianym dzieckiem?

Webster odwraca się do córki.

- Rowan, popatrz mi w oczy - prosi. - Czy czujesz się niechcianym dzieckiem?

Musi chwilę zaczekać na odpowiedź.

- Czasami tak.

Webster na moment przymyka oczy. Dlaczego nie rozmawiał z nią, kiedy była młodsza? Jednocześnie skąd ojciec ma wiedzieć, kiedy zacząć rozmawiać z córką o takich sprawach?

- Posłuchaj mnie uważnie. Dziecko nigdy nie jest niechciane. Nigdy. Wręcz przeciwnie.

Rowan odwraca twarz.

- Byłaś najukochańszą istotą na świecie, od chwili gdy przysłaś na świat. I dla mnie, i dla matki.

- Skoro tak mnie kochała, dlaczego mnie zostawiła? I dlaczego piła? Dlaczego ryzykowała moje życie?

- O to powinnaś ją zapytać. - Pochyliła głowę. - Każdy uzależniony musi mieć w sobie chęć do zmian. Inaczej nic z tego nie wychodzi. Twoja matka nie była wtedy na tym etapie. - Znowu milknie. - Nie mogłem pozwolić jej jeździć po pijaku, z tobą na tylnym siedzeniu. Koniec, kropka. Podejrzewam, że wtedy nie pierwszy raz wsiadła za kółko na gazie i ciebie ze sobą zabrała. Miałyście obie ogromne szczęście. Na drodze numer dwieście dwadzieścia dwa, na zakręcie, przy zwolnionym czasie reakcji... Cud, że nie wylądowała na drzewie.

- Skończyła z piciem?

- Tak.

- Co o niej myśleli babcia i dziadek?

- Z początku jej nie lubili. Czy może raczej nie podobało im się, że zamierzam się z nią ożenić. Ale po ślubie wszystko się ułożyło. A kiedy ty przysłaś na świat, byli w siódmym niebie.

Rowan stuka palcami w pustą puszkę na stoliku.

- Cieszyli się, kiedy odjechała?

- Nie. Wyjaśniłem im wszystko. Oczywiście, widzieli, co się dzieje, wiedzieli, jak wyglądają sprawy, ale o tym nie rozmawialiśmy. Wtedy już musiałem powiedzieć. Zamieszkaliśmy z nimi, ty i ja.

- Jak wyglądałam, kiedy się urodziłam?

- Byłaś strasznie pomarszczona. - Webster się uśmiecha.

- Miałaś czerwoną twarzyczkę. I spiczastą główkę.

- Poważnie?

- Wszystkie dzieci rodzą się ze spiczastymi głowami. Te, które przychodzą na świat siłami natury. A jak ci się na nie-

go śpieszyło! Mało brakowało, a urodziłabyś się w samochodzie!

- Tak?

- Byłem gotów przyjmować poród.

- A co... co na to... moja matka? Co o tym myślała?

- Ona wtedy nie myślała. Walczyła z bólami.

- Poród bardzo boli?

Webster wrzuca swój kubek jednorazowy do kosza na śmieci.

- To pytanie także powinnaś zadać matce.

- Może mam rodzeństwo.

Webster pochyla się ku niej.

- Rowan, kochanie, nie masz rodzeństwa. To pewnik. Nie miałaś matki przez większą część życia. To drugi pewnik. Takie karty dostałaś od losu, takie możesz rozgrywać. Możesz woleć inne, ale to nic nie da. Kiedy ludzie zaczynają się nad sobą użalać, to już po nich.

- Skąd tyle wiesz?

- Jakie znowu „tyle”... - Webster wzrusza ramionami. - Znam się na paru sprawach. Umiem wychowywać dziecko, od narodzin do siedemnastki.

Rowan mruży oczy.

- Nie wiesz wszystkiego.

Dosyć rozmów na jeden dzień, decyduje Webster.

- Masz na przetrwanie sprawy całe miesiące, a nawet lata. Teraz musisz odpoczywać. To najważniejsze.

- Najważniejsze, żeby mi włosy szybko odrosły.

Webster wraca do tematu Sheili dopiero następnego dnia. Zawiadomił ją, że prawdopodobnie będzie mogła zobaczyć się z córką rano. Tommy i Gina zapowiedzieli się na później w ciągu dnia. Wobec tego Webster rzeczywiście musi doprowadzić do spotkania rano, jeśli w ogóle ma do niego dojść.

- Jak się dzisiaj czujesz? - pyta, wchodząc do szpitalnego pokoju.

- Dobrze. Zaczynam rehabilitację barku i muszę udowodnić, że potrafię przejść kawał drogi, nie tracąc równowagi. Bo nie wolno mi się przewrócić na bark.

Webster siada na łóżku.

- Nie zauważyłeś, że umyli mi głowę.

- Zauważyłem. Wyglądasz świetnie.

- Kombinowałam, jak zasłonić łysinę.

Na wieszaku na drzwiach wisi kapelusz. Webster pojechał do kampusu, tam wypytał młodą sprzedawczynię, co też Rowan mogła mieć na myśli, a ona skierowała go do pobliskiego butiku, gdzie kupił dokładnie to, o co chodziło.

- Rowan, pytałem cię, czy chcesz się spotkać z matką, pamiętasz?

- A h a .

- Przemyślałaś sprawę?

- Tak. Chcę się z nią zobaczyć. I chcę, żebyś ty przy tym był, a najpierw ustalimy sygnał, który dam, kiedy będę chciała, żeby wyszła. Możesz poprosić pielęgniarkę, żeby nam przerwała, albo coś w tym stylu.

- A jaki to ma być sygnał?

Rowan zastanawia się chwilę nad odpowiednim kodem.

- Chyba po prostu powiem „poprosz pielęgniarkę”.

- Powiniennem zapamiętać - mówi Webster ze śmiechem.

Wstaje. - Nie wolno mi w sali używać telefonu. Muszę wyjść na korytarz. Zaraz wrócę.

- OK. Podasz mi kapelusz?

Webster rzuca jej nakrycie głowy.

Dziesięć minut później widzi Sheilę na korytarzu i mówi do córki:

- Już jest. Ma wejść?

- Boję się.

- Ja też.

Wychodzi na korytarz i kiwa na Sheilę.

- Czy to aby na pewno dobry pomysł? - niepokozi się Sheila.

- Bo ja wiem? Chyba tak. Chociaż wasze spotkanie może potrwać dosłownie minutę. Nie wiem, ile Rowan będzie w stanie znieść.

Sheila ubrana jest w krótką białą bluzę, spod której wystaje długi czarny T-shirt. Do tego, jak zwykle, džinsy. Włosy rozpuszczone, odgarnięte za uszy. Webster nie ma pojęcia, co będzie dalej. Ryzyko istnieje, wcale nie małe. Jeżeli Rowan nie da sobie psychicznie rady z tym spotkaniem, konsekwencje dla obu będą poważne i długotrwałe.

Odstępuje na bok, wpuszczając Sheilę do pokoju.

- Rowan, to jest Sheila Arsenaault.

Sheila robi krok do przodu.

- Witaj.

Rowan nie może wydobyć słowa. Całkiem jakby doznała paraliżu strun głosowych. Wygląda, jakby chciała coś powiedzieć, ale milczy.

Webster widzi uderzające podobieństwo obu kobiet.

Sheila robi krok w stronę łóżka. Przechyla głowę, patrzy na Rowan.

- Mogę usiąść?

Na Rowan robi pewnie wrażenie osoby nieśmiałej. Webster zauważa, że córka nadal ściska w dłoniach kapelusz.

- Jasne - odpowiada wreszcie.

Podpierając się zdrowym ramieniem, siada nieco wyżej.

- Miałaś paskudny wypadek.

Nie padło dotąd słowo „córka”. Ani „matka”. Sheila mogłaby równie dobrze być przyjaciółką ojca, która zajrzała w odwiedzinę. Webster zastanawia się, czy któraś z nich dostrzega, jak bardzo są do siebie podobne.

- Wyglądasz świetnie - mówi Sheila.

Webster spodziewa się lada chwila umówionego znaku, zaczyna nabierać przekonania, że to spotkanie jest pomyłką. Rowan przywodzi mu na myśl zwierzę zapędzone w pułapkę.

- Lekarze twierdzą - wtrąca się - że za dwa dni będzie mogła wyjść do domu.

- Akurat na zakończenie roku - mówi Sheila.

Rowan wydaje się zaskoczona, że Sheila wie o zakończeniu roku.

- Podobno malujesz - mówi.

- Maluję.

Sheila kładzie torebkę na podłodze.

Webster stoi w nogach łóżka, żeby dobrze widzieć twarz córki. Gotowy na umówiony sygnał. Jak maleńki jest jego wszechświat.

Rowan podnosi się jeszcze odrobinę wyżej. Ciągłe trzyma kapelusz, ale już go nie ściska. Włosy opadły, odsłaniając łysinę, lecz zdaje się o tym nie pamiętać.

- Tata mówi, że twoje obrazy są bardzo dobre.

- Twój tata jest bardzo uprzejmy. - Zmiana tematu. - Wyglądasz inaczej. Jesteś śliczna.

Rowan czerwienieje. Webster wstrzymuje oddech na dwa uderzenia serca. Teraz wszystko jest możliwe.

- Ile masz wzrostu? - pyta Sheila.

- Metr siedemdziesiąt. A ty?

- Metr siedemdziesiąt pięć. W każdym razie kiedyś. Teraz... nie wiem. Podobno ludzie kurczą się na starość.

- Wyglądasz na wysoką.

Sheila uśmiecha się.

- Włosy mamy tego samego koloru - mówi Rowan.

Sheila kiwa głową.

- Od razu zwróciłam na to uwagę. Kiedy byłaś mała, miałaś ciut jaśniejsze.

No i jest. Kontakt nawiązany. Wspólna historia, nawet jeśli dla Rowan dość mglista.

- Ale kosmiczna sytuacja - mówi Rowan. - Mam z milion pytań.

- A ja dwa miliony - przyznaje Sheila.

Ani słowa o porzuceniu i o poczuciu winy. O gniewie i wyrzutach sumienia. Na to jeszcze przyjdzie czas. Raczej nie dzisiaj. Obie są dość mądre, by unikać przykrych tematów. Teraz już przy łóżku Rowan nie siedzi obca osoba. Raczej dawno niewidziana ciotka.

Sheila zdejmuje bluzę. Czy gorąco jej z nerwów? Rowan siada na łóżku prosto, pochyla się, pokazuje Sheili łysinę.

- Co ja mam z tym zrobić? Za trzy dni zakończenie roku...

Sheila traktuje pytanie całkiem poważnie.

- A ta czapka szkolna jej nie przykryje?

- Owszem, ale na koniec rzuca się czapki w górę.

Sheila znów przekrzywia głowę.

- Mogę? - Sięga do włosów Rowan.

Dziewczyna zgadza się w milczeniu.

Sheila przeczesuje jej włosy palcami, przekłada je, przygląda się bliźnie.

- Mogłabyś ściąć włosy. Na krótko. Zaczesać do góry, na jeża. Masz bardzo gęste włosy. Potraktować łysinę jako element nowej fryzury. Bo schować to jej się nie da. W pierwszej chwili pomyślałam, żeby zrobić coś na kształt zaczeski, ale w rezultacie byłoby chyba jeszcze gorzej.

Rowan przesuwając palcami końce włosów.

- Zawsze miałam długie.
- Tak?
- No, w każdym razie od dwunastego roku życia.
- Może czas coś zmienić.
- Umiesz obcinać włosy?
- Nie. Ale potrafię znaleźć odpowiedniego fryzjera.
- Przyjdzie tutaj?
- Jeśli pielęgniarki pozwolą, tak się z nim umówię.

Webster, zbity z tropu, tylko patrzy. Doskonale wie, że to za- ledwie początek długiej drogi, na której będzie wiele dziur i wybojów, może nawet całe kraterzy. Dziwne, jak niesamowicie kobiety potrafią się zjednoczyć w razie kryzysu estetycznego. U mężczyzn taką rolę odgrywa sport.

Sheila upewnia się, że będzie można sprowadzić fryzjera do szpitala, umawia go na popołudnie. Po przybyciu fachowca Webster wychodzi z pokoju, przekonany, że Rowan w ogóle nie dostrzeże jego nieobecności. Przygląda się scenie przez chwilę. Pielęgniarki usadziły pacjentkę w fotelu na kółkach i okryły prześcieradłami. Sheila siedzi na łóżku, obserwuje palce fryzjera we włosach córki. Pyta, czy Rowan jest pewna, że chce włosy obciąć, i kiwa głową, gdy ta odważnie potwierdza. Sheila wyjaśnia fryzjerowi, co ma na myśli, a Webster, obserwując scenę, myśli: mogłaby być naprawdę dobrą matką.

Po seansie rehabilitacji, po wizycie Giny i Tommy'ego, w czasie której Webster i Sheila, stojąc w korytarzu, słyszą dobiegające z pokoju śmiechy, Rowan stwierdza, że po porcji koszmarnych ćwiczeń zrozumiała, jak dużo pracy nad barkiem ją czeka. Ponieważ pielęgniarki zachęcają ją do chodzenia, Webster spaceruje z nią po korytarzu. Raz wyprowadza ją na zewnątrz, w letni zmierzch. Rowan łąpczywie wciąga świeże powietrze. Webster, patrząc z góry, widzi łysinę doskonale, jednak rzeczywiście jest ona mniej widoczna przy fryzurze

na jeża. Pyta córkę, co myśli o Sheili, ale Rowan jest mniej wylewna, niż oczekiwał. Nie ma pewności, czy córka nie chce się dzielić wrażeniami na temat matki, czy sama jeszcze nie wie, jak ma się w tym wszystkim znaleźć.

- Pielęgniarka mi powiedziała, że zostałam sparaliżowana na czas lotu. Ty to zrobiłeś?

- Nie. To rola paramedyków z ratownictwa powietrznego.

- I powiedziała, że znała pacjenta, którego wyleczono z obrażeń, ale paraliż nie ustąpił.

Głupia baba.

- Też o tym słyszałem - przyznał. - Ale nie znam nikogo, komu by się to przydarzyło.

- Wiedziałeś o tym wtedy, kiedy mnie paraliżowali?

- Tak. Wcałe mi się to nie podobało, ale takie są standardowe procedury przy transporcie powietrznym ofiary z urazami głowy.

- Pewnie się bałeś.

- Byłem przerażony.

Ścisła go zdrowym ramieniem.

- Przepraszam.

Następnego ranka Webster zastaje w pokoju córki Sheilę. Siedzi na krześle tuż przy łóżku, gadają jak najęte. Rowan ma w oczach zdumienie i podziw, nawet przez szybę słysząc jej śmiech. Webster nie chce im przeszkadzać, więc spaceruje po holu, zaglądając co dwadzieścia minut.

Za drugim razem nadal rozmawiają.

Za trzecim widzi Rowan roześmianą od ucha do ucha. Ciekawe, czy Sheila opowiada córce historyjki z czasów, gdy ta była małeńka.

Przy czwartym podejściu widzi twarz przy twarzy, obie poważne. Wchodzi.

Podnoszą na niego zdziwiony wzrok. Sheila prostuje się w krześle. Milczą.

- Przeszkodziłem?

Rowan wzrusza ramionami.

- Ktoś chce coś z automatu? - pyta Webster speszony.

Obie kręcą głowami.

- Dobra, idę na kawę.

Daje im kwadrans. Gdy wraca do pokoju, Rowan płacze.

Cholera żeż jasna.

Sheila odwraca się do niego i robi uspokajający gest dłońmi, co ma oznaczać: „Nie denerwuj się. Nie ma powodu”.

Rowan sięga po chusteczkę, wydmuchuje nos.

- Gdybyś jej nie kazał odjechać, byłibyśmy rodziną.

Sheila podnosi rękę, uprzedzając Webstera.

- Twój ojciec postąpił właściwie. Mogłam cię zabić. Prawdziwy cud, że do tego nie doszło.

- To nie jesteś na niego zła?

- Kiedyś byłam - przyznaje Sheila. - Ale nie mam wątpliwości, że uratował ci życie.

- Dajcie spokój, nikogo nie uratowałem - mówi Webster, stawiając kubek z kawą na parapecie. - Co było, to było, przeszłości się nie zmieni. Każde z nas przeszło swoje. - Milknie.

Czy naprawdę tak sądzi?

Tak.

- Mamy z Rowan sporo zaległości - mówi Sheila, wstając

- Wychodzisz? - pyta Rowan skonsternowana.

- O ile się znam na zegarku, to za pięć minut przychodzi po ciebie terapeuta. A poza tym muszę wrócić do domu. Nie chcę cię zostawiać, ale naprawdę muszę.

Rowan odrzuca przykrycie, siada na krawędzi łóżka. Nogi ma chude i białe. Webstera nieodmiennie dziwi, jak szybko człowiek traci masę mięśniową.

- Kiedy będziesz szła przez podium, trzymaj głowę wysoko i nie myśl o łysinie. Zresztą właściwie już zarosła.

- Naprawdę? - upewnia się Rowan, macając wygolone miejsca.

- Zadzwoń do ciebie, jak tylko dojadę. Czas na mnie. Muszę zwolnić pokój w motelu, bo mi policzą za kolejny dzień.

**Rowan patrzy na ojca spłoszonym wzrokiem, jakby mówiła:
„Załatw sprawę”.**

- Zostań jeszcze jeden dzień - podsuwa Webster. - Jedź z nami do Hartstone. Możesz zamieszkać w Niedźwiedziej Gawrze.

Tam, gdzie jedli obiad weselny.

- A jeśli nie będzie wolnych pokoi, znajdziemy coś innego. Nie chciałabyś zobaczyć, jak to smętne, żałosne, łysie stworzenie będzie odbierało dyplom ukończenia szkoły?

- Chciałabym - odpowiada Sheila. - Bardzo bym chciała.

- Odwraca się do Rowan. - A czy ty mnie zapraszasz?

- Tak.

Sheila przyjechała z motelu wcześniej rano. Zapina Rowan suwak na plecach. Jeszcze niedawno ten obowiązek spełniał Webster, od jakiegoś czasu zawsze słyszał: „Nie patrz”.

Moje dziewczyny.

W ostatniej chwili gryzie się w język. Przypomina mu się popołudnie sprzed lat, gdy zastał Sheilę i Rowan śpiące na trawie. Tyle że teraz Sheila należy do niego w tym samym stopniu co kosiarka sąsiada. Jest jednak coś w scenie, którą ma przed oczami, gdy matka i córka pomagają sobie wzajemnie w ostatnich przygotowaniach. Coś, co mu sprawia przyjemność.

Rowan jest zdenerwowana. Częściowo przez włosy, trochę dlatego, że ciągle jeszcze niezbyt pewnie stoi na nogach, a także z powodu spotkania z przyjaciółmi.

Minęło piętnaście lat od czasu, gdy byli w tym domu we troje. Rowan tego nie pamięta.

Sheila daje córce prezent na zakończenie roku, krótki naszyjnik z błękitnych kamieni i nierówno zmatowionych srebrnych kul. Robi to z widoczną nieśmiałością. Jakby nie miała prawa własnej córce niczego podarować. Zniknęła gdzieś niezmacona radość sprzed dwóch dni.

- I jak? - Rowan staje przed ojcem w błękitnej sukience z jednym rękawem lekko nadprutym, żeby zmieścić gips.

- Wyglądasz bajecznie. Szykownie i elegancko.

Rowan krzywi się niemiłosiernie.

- A co ty wiesz o szyku i elegancji?

Sheila poprawia biały zakieć, wyrównuje spodnie w talii. Webster dostrzega błysk jedwabnego topu.

W szpitalu powiedział Rowan, że w ramach prezentu na zakończenie szkoły dostanie od niego czterodniową wycieczkę do Nowego Jorku. Kiedy już całkiem wyzdrowieje. Dwuosobową. Ona plus Gina. Będą chodziły do muzeów, do teatrów, do restauracji.

- Tylko nie będziesz piła - zastrzegł. - Rozumiesz, nie wolno ci pić.

- Rozumiem.

- Mój tata wypomniał mi kiedyś, że nigdzie nie byłem. Byłby zadowolony, gdyby wiedział, że ty zobaczysz kawałek świata.

- Tato, a dlaczego Gina, nie ty? Nie wolałbyś ty pojechać?

Wolałby.

- Zanudziłabyś się ze mną. Ja bym cię wyciągał na długie spacerunki i zwiedzał jednostki ratownicze. I kładłbym się do łóżka o dziesiątej. Z Giną będzie ci znacznie przyjemniej.

- Chyba padnie, jak jej o tym powiem - mówi Rowan. - Bardzo ci dziękuję.

Ustalono, że Rowan rozpocznie ceremonię w towarzystwie Tommy'ego, ponieważ mieli włożyć szkolne stroje galowe i ustawić się do pochodu. Przewidziano marsz do wtóru „Pomp and Circumstance”, podobnie jak za czasów Webstera. Współczuje rodzicom jedynej uczennicy, której tam nie będzie. Gdy powiedział Rowan o Kerry, córka płakała przez godzinę. Martwi się, że trudno jej będzie znieść minutę ciszy, jaka z pewnością nastąpi. I że będzie musiała stać na słońcu. Lekarz przestrzegał przed nawrotem konwulsji. Przez najbliższe dwa tygodnie Rowan nie może być sama.

Oboje z Sheilą zamierzają się pojawić w szkole nieco wcześniej. Między innymi po to, by zająć miejsca jak najbliżej pierwszego rzędu. Przed podium będą rozstawione metalowe krzesła. Ich nogi będą się zapadały w miękką trawę. Webster bierze ze sobą aparat, będzie robił zdjęcia także po ceremonii. Chce

sfotografować Rowan na tle szkolnego muru, lecz obawia się, że córka będzie zakłopotana nową fryzurą i obecnością Sheili. No i chyba powinien potem poprosić je, żeby pozowały razem? A to już prośba najeżona minami. Postanowił zrobić zdjęcie Rowan w szkolnym stroju galowym i w odświętnej sukience.

- Sprytnie urządzenie - mówi Sheila, dostrzegając srebrną kostkę na parapecie nad zlewem. - Naprawdę zapowiada pogodę?

- Dałam ją tacie na urodziny - wyjaśnia Rowan, biorąc zabawkę do ręki. Opisuje matce, jak kostka działa. Potrząsa nią lekko i stawia na stole. - Tutaj daje wskazówki na przyszłość. - Przekrzywia głowę, czyta: „Powoli i bez szarżowania”. Chała. Zresztą to już było. A właściwie dla kogo ta przepowiednia?

- Dla ciebie - przesądza sprawę Webster. - Ty potrząsałaś.

Uważa, że to dla córki doskonała rada.

- Ale kostka jest twoja - odparowuje Rowan. - Dostałeś w prezencie.

- No dobra - zgadza się Webster, w gruncie rzeczy zadowolony, że nie wyszło nic gorszego. - Niech będzie, że dla mnie.

Rowan potrząsa kostką jeszcze raz.

- „Jeżeli szukać potrafisz, prawdziwy skarb znajdziesz” - czyta. - A to niby co ma znaczyć?

- Pewnie dokładnie to, co przeczytałaś - mówi Webster. - Masz coś wspaniałego w zasięgu ręki, tylko musisz to dostrzec.

- Co to takiego?

- Tego się musisz domyślić.

- Teraz ty. - Rowan podaje kostkę Sheili.

Sheila cofa się o krok.

- Nie, dzięki. Może innym razem.

Nie lubi niespodzianek.

Sheila i Webster idą przez zieleń. Dotarli później, niż zamierzali. Pierwsze rzędy są już zajęte. Sheili obcasy zapadają się w ziemię, raz muszą przystanąć, żeby wyciągnąć but z trawy.

Webster wybiera miejsce z brzegu. Zawsze musi być blisko wyjścia, skrzywienie zawodowe. Macha do matki Giny, Eileen, która z nieskrywaną ciekawością spogląda na Sheilę. Webster rozgląda się po gęstniejącym tłumie. Są dziadkowie i rodzeństwo, oczywiście rodzice. Niektórzy w jego wieku, inni starsi. Będzie wiadomo, kto jest kim, gdy absolwenci zaczną wchodzić na podium. Każda rodzina będzie wiwatowała na cześć swojego dziecka. Webster jest zadowolony, że są z Sheilą we dwoje. Bo ileż hałasu może narobić samotny ojciec?

Jego rodzice też tu kiedyś siedzieli, tak jak on teraz. Pamięta, wtedy myślał jedynie o tym, żeby już się urwać z przyjaciółmi na serię imprez, na których tak się skuł, że rano powitał jego podłozę w obcym domu.

Podchodzi do nich jakaś kobieta, której nie kojarzy. Obok niej stoi młody człowiek w ciemnych okularach.

- Pan Webster? - pyta nieznajoma.

- Tak?

- To jest dziecko, któremu pomógł pan przyjść na świat dziewiętnaście lat temu. Aaron. Jesteśmy tu dziś na promocji jego młodszego brata, Joshuy.

- Niemożliwe! - Wstaje. Przeskakuje wzrokiem z matki na syna. Jest poruszony i zdumiony. - Witaj, Aaronie.

Chłopak podaje mu rękę.

- Bardzo się bałam tamtej nocy.

- Ja też. Byłem wtedy nowicjuszem.

- Od lat zbierałam się, żeby panu podziękować, ale nasze drogi rzadko się krzyżowały, a jeśli już, to zwykle w towarzystwie osób trzecich.

- To było dla mnie wspaniałe doświadczenie.

- A wie pan, kiedy przestałam się bać? Powiedział pan: „To dziecko urodzi się z dzikim wrzaskiem. Już go słyszę”. Śmiałam się z tego do łez, wiedziałam, że wszystko pójdzie

jak trzeba. - Raptem ściska Webstera za ramię. - Nigdy tego nie zapomnę.

Webster siada. Wielu osobom, które tu dziś przyszły, zdarzyło mu się pomóc. Nie jest miejscowym bohaterem. W zasadzie raczej ludzie mają nadzieję, że go więcej nie zobaczą u siebie w domu albo na środku drogi. Ale mimo wszystko stanowi element siatki zabezpieczającej, owiniętej wokół Hartstone, i za to są mu wdzięczni.

Słońce pali, temperatura rośnie. Pewnie już jest ponad dwadzieścia stopni. Mężczyźni zdejmują marynarki, kobiety - szale. Ogromne boisko wydaje się żywe. W pewnej chwili odzywają się głośniki, płynie z nich muzyka, wszyscy wstają. Sznur absolwentów w długich brązowych strojach galowych czeka obok przejścia. Prowadzić będą nauczyciele, kilkoro w szatach akademickich z szarfami. Dyrektor szkoły, pani McDougal, ma na głowie czarny aksamitny beret. Kobiety na miejscach dla gości już powyjmowały chustki na głowę. Włożą je, gdy usiądą.

Dzieciaki w szeregu są podekscytowane, gotowe na wszystko. Czy szkoła jest aż tak straszna, że nie mogą się doczekać, kiedy ją opuszczą? Czy po prostu celebrują milowy krok na drodze życia? Webster cieszy się, że Sheila, jako osoba dość wysoka, wszystko widzi. Będą stali prawie do końca uroczystości, nim zobaczą córkę. Wielu rodziców do tej pory już usiądzie. Webster będzie czekał, aż wszyscy uczniowie znajdą się na podium.

Coś go ściska w gardle, to pewnie przez muzykę. Zerka na Sheilę, która ma przyklepiony na ustach uśmiech. Wyrażnie się odpręża, gdy dostrzega Rowan. On także patrzy, gdy córka zbliża się do podium. Rozsunęła nieco suwak stroju galowego, na tyle, by pokazać srebrno-niebieski naszyjnik. To ukłon w stronę matki. Czapka się sprawdza. Rowan stoi prosto. Idzie równo, połączenie powagi i rozbawienia; kiedy się zatrzymuje, puszcza oko do ojca.

Pohukiwania i okrzyki przycichają, gdy na podium wkracza pani McDougal. Prosi o minutę ciszy dla upamiętnienia śmier-

ci Kerry Coolidge. Wiele dziewcząt z najstarszego rocznika ma łzy w oczach. Rodzice też płaczą. Straszna chwila. Webster wbrew sobie myśli, że niewiele brakowało, by to jego córce poświęcono ten moment ciszy. Skojarzenie nie do zniesienia. Czy rodzice Kerry są dziś gdzieś w tłumie? Gdyby to jego córka zmarła, zostałaby w domu. Albo wyjechała do Afryki. Byłoby obojętne gdzie, byle nie tutaj.

Pani McDougal szybko wraca do ceremonii, mówi o tym, jak wspaniały był miniony rok dla najstarszego rocznika. Przedstawia dokonania grupowe, wśród których prawdziwie interesujące jest jedno: zwycięstwo w stanowych zawodach debatowania. Drużyna piłki nożnej nie dotarła tak daleko, zespołowi hokeja także niespecjalnie się powiodło. Pani dyrektor informuje zebranych, że osiemdziesiąt pięć procent uczniów z najstarszych klas rozpocznie teraz naukę w czteroletnich college'ach. Zebrani biją brawo. Webster myśli o pozostałych piętnastu procentach. Co będą robić? Studiować w dwuletnich szkołach technicznych? Zaciągną się do armii? Przejmą gospodarstwa? Pani McDougal dodaje, że jest szczególnie dumna z pracy społecznej, wykonanej przez klasę Rowan: absolwenci pomagali w schroniskach, w szkołach zawodowych, zajmowali się uczniami wymagającymi szczególnej troski.

Potem pani McDougal robi coś, czego Webster nie przewidział. Prosi wszystkich rodziców, by wstali. To samo poleca uczniom, by mogli gromkimi oklaskami z całego serca podziękować rodzicom za trud i poświęcenia, na jakie się zdobyli, by ich dzieci osiągnęły zamierzony cel.

Webster patrzy wyłącznie na Rowan, a ona śmieje się do niego i nie mogąc klaskać, podnosi zdrową rękę w geście zwycięstwa. Ojciec odpowiada jej szerokim uśmiechem.

Spogląda na Sheilę, która wygląda, jakby dostała w twarz. Webster chce ją podnieść, ale ona siedzi sztywno, czeka na koniec aplauzu.

- Przykro mi - mówi Webster, siadając. - Nie wiedziałem, że coś takiego będzie miało miejsce. Inaczej bym cię uprzedził.

Sheila lekko wzrusza ramionami, jakby to dla niej nic nie znaczyło, ale Webster widzi na jej twarzy ból. Przez piętnaście lat nie kiwnęła palcem, by pomóc córce w czymkolwiek. Po prostu jej przy niej nie było.

Przemowa goni przemowę, robi się coraz cieplej. Nadchodzą czas rozdania trofeów sportowych, wydają się ważniejsze niż nagrody akademickie, które zostały przyznane na odrębnej ceremonii w zeszłym tygodniu. Webster nie ma nic przeciwko temu rytuałowi. W jakimś stopniu służy on dzieciom, które nie osiągnęły innych sukcesów. Niektóre z nich ledwo ukończyły szkołę i nie mają co ze sobą zrobić w przyszłym roku. Odbierają należny im przydział okrzyków i wiwatów, mają swoje piętnaście sekund sławy.

W szpitalu Rowan pod okiem rodziców napisała dwa testy końcowe. Wypełniła je z łatwością niepozostawiającą wątpliwości, że celowo sabotowała własną wiedzę i stopnie. Elizabeth Washington zawiadomiła komisję uniwersytecką o sytuacji uczennicy i wyjątkowych okolicznościach. Tak więc Rowan pójdzie jesienią do college'u.

Webster zdejmuje marynarkę, Sheila żakiet. Nauczyciele w oficjalnych strojach wachlują się programami. Webster rozluźnia krawat. Pogoda z pewnością będzie stanowiła temat rozmów podczas rodzinnych uroczystych obiadów: jak to prognozy mijają się z życiem, o tym, że aura bardziej przywodzi na myśl sierpień niż czerwiec. Fryzury oklapną, podciągnięte koszulki odsłonią brzuchy.

Gdy pani dyrektor dochodzi do nazwisk rozpoczynających się na literę „R”, Sheila trąca Webstera. Chce wziąć aparat.

- Nie trzeba - oponuje Webster - ja zrobię.

Zamierza odejść dwa kroki w bok, przykucnąć w trawiastym przejściu między rodzicami dzieci o nazwiskach na T i na V, robiącymi swoim pociechom zdjęcia w momencie odbierania dyplomu.

- Chcę, żebyś spokojnie patrzył - mówi Sheila. - Jeśli człowiek robi zdjęcia, skupia się na fotografii, a nie na tym, co się dzieje.

- Umiesz robić zdjęcia takim aparatem? - pyta Webster z obawą, czy Sheila nie zacznie w ostatniej chwili szukać właściwego przycisku.

- Umiem.

Mniej więcej w środku nazwisk na S, a tych jest zawsze dużo, Sheila prześlizguje się obok Webstera i biegnie pod scenę, schylona, zdecydowana, w białym topie oraz czarnych spodniach. I boso.

Webster podnosi wzrok akurat na czas, by zobaczyć Rowana na schodach wiodących na scenę. Słyszy imię i nazwisko córki. „Rowan Webster”. Kiedy Rowan idzie przed zebranymi i potrząsa dłońią wicedyrektora, wielu uczniów klaszcze i pokrzykuje. Reakcja na kontuzjowanego gracza. Publiczność wiwatuje po prostu dlatego, że Rowan jest, że kroczy przez podium tak jak inni. Webster, niebotycznie zdumiony swoim zachowaniem, także pokrzykuje i gwizdże.

Rowan uśmiecha się, ściąga czapkę z głowy, pochyla ją i wskazuje łysinę. Wśród zebranych rozlega się prawdziwy ryk.

Przed zejściem z podium jeszcze pozuje do oficjalnego zdjęcia, które każdy uczeń otrzyma w ciągu lata. Na tej fotografii będzie miała lekko odwróconą twarz, oboje z Websterem doskonale wiedzą dlaczego. Szukała wzrokiem ojca wymachującego obiema rękami.

To jest to, mówi sobie Webster, spoglądając na boisko, dzieci i rodziców.

Niczego więcej mi nie trzeba.

Sheila przysiadła na krześle obok.

- Mam kilka niezłych ujęć.

Schyla się, wkłada buty.

Webster wyciąga rękę i - jakby to robił zaledwie wczoraj - przesuwa palcami po kręgosłupie Sheili. Od dołu do góry.

Sheila odwraca głowę.

- Powoli i bez szarżowania.